

Narcyza Żmichowska

POGANKA

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

WSTĘPNY OBRAZEK.....	3
1.....	28
2.....	45
3.....	56
4.....	65
5.....	92
6.....	111

WSTĘPNY OBRAZEK

Jaki to był prześliczny ów kominek, cośmy go kilka lat temu gro-nem dobrych znajomych w domu Emilki obsiadali, co dzień prawie, przez całe, długie, jesienne i zimowe wieczory. Niziutki, czarnym marmurem wyłożony, miał dokoła brązową galeryjkę od staczania się głowien zabezpieczającą, dwie żelazne podstawki, na których się drewnka układało – a drewnka olszowe, takie suche, tak mało zostawiają-ce po sobie węgla i popiołu, tak czyste, jasne, płomienne, że choćbyś miał smutek na sercu, choć zgryzotę na sumieniu, to przy ich blasku i myśli ci się rozjaśnia, i droga zbawienia ukaże. Teraz jeszcze trzeba sobie wyobrazić, że ten kominek bezcenny znajdował się w dosyć du-żym i wysokim pokoju, że ten ogień niepokalany rozświecał połyskami swoimi bielutkie ściany, dwa gotyckie okna z przymkniętymi od ogro-du okiennicami, śnieżyste zwoje muślinowych firanek, złote ramy kilku miejscowych krajobrazów, karmazynowym adamaszkiem wybite me-ble, fortepian w głębi stojący – a począwszy od ósmej godziny, trochę na uboczu, stolik niewielki z całym herbacianym rynsztunkiem, z szklankami, filiżankami i z świecącym samowarem, który w miarę do-sypywanych węgla syczał lub warczał gotującą się w nim wodą. – Im niepokodniej było na dworze, tym rozkoszniej lubowaliśmy się ogniem kominka i cichością pokoju, i muzyką samowaru – ach! bo nam wtedy tak dobrze było jednym z drugimi – ach! bo my wtedy kochaliśmy się tak szczerze, szanowali tak ufnie, spodziewali się tak niemylnie!... Dzi-siaj? los nas rozwiął po szerokiej ziemi, obojętność, zapomnienie, gorzka uraza lub żal gorzki śladem za tymi lub owymi biegną. Gdyby nam znów gościnne kto rozniecił ognisko, gdybyśmy się tak wszyscy dokoła niego zgromadzili – czyby się też zapomniało uraz? czyby już wszelką z serca zrzuciło tęsknotę? czy przyjaźń znów by zbliżyła dło-nie, a pogodą czoła błysnęły? Nie, ja radzę, nie próbujcie nigdy powtó-rzenia przeszłości waszej. Kto kochał wtedy, niech już teraz ukocha-nych swoich nie spotyka, kto w trumnie złożył najdroższych, niech dziś wskrzeszonych nie ogląda. Kto stracił, niech nie odzyskuje, bo to

okropność spostrzec, po latach dwóch, trzech, dziesięciu spostrzec, jak oni różni od tego, czym byli, lub jak my sami różnymi; zawieść się na nich lub na sobie, z wspomnienia mieć rozczarowanie lub w obecności zegar bijący smutną niedołęstwa godzinę!... Bodajby to nam oszczędzonym zostało, nam wszystkim, cośmy wówczas siedzieli przy kominkowym ogniu i gwarzyli tak wesoło, tak swobodnie, tak poczciwie – a była nas dość liczna gromadka, a nieraz jeszcze kto z dalszych znajomych zawitał. Pamięć moja wiernie mi przechowała każdego i przechowała takim, jakim go miała w chwilach owych; nie takim, jakim jest teraz, lub jakim ja go być sędzę. – Najpierw Emilka, pani domu, wdowa po mężu, który jej zatrął dni pierwszej młodości; była to – waham się w doborze wyrazów: anioł czy święta? – boć jeszcze między jednym a drugim wielka zachodzi różnica, w niej zaś do jednego i drugiego wielkie było podobieństwo. Anioł, posłannik, to duch czysty i spokojny, który prosto jak rozkaz Boży ku dobremu idzie. Święta, to córka tej ziemi, która w trudach i boleści, walką i zwycięstwem doku-puje się nieba.

Otóż myśl Emilki była aniołem, jej serce świętej sercem – jak anioł nie wątpiła ona nigdy, cicha i spokojna, żadnym instynktem, żadną potrzebą ciała ani umysłu nie stanęła na poprzecz prawdom religii chrześcijańskiej. Ale ta walka unikniona w rozumie przeniosła się do serca i serce cierpiało okropnie.

Występki bliźnich, niedoskonałości ukochanych, klęski braterskie, stawały się dla niej żywym jak rana cierpieniem – oburzenia, skargi, potępiających wyroków nie znały usta Emilii – znała jej dusza za to okropność daremnych wysień i ciężkie próby strudzenia – wszystko jednak przetrwała, zawsze łagodna jak słońce, które złym i dobrym świeci, zawsze cierpliwa jak rzemieślnik, który dzień po dniu tąż samą robotę zaczyna, zawsze łatwa do oszukania jak dziecko, które samo nikomu nie skłamało jeszcze; bo ona anioł i święta – dwie istoty w połączeniu swoim tworzące taką kobietę, jaka za trzysta lat, najprędzej i najpochlebniej dla rodzaju ludzkiego licząc, będzie dopiero mogła żyć bezpiecznie, błogo i szczęśliwie.

Teraz miejcie się z nią na ostrożności, młode głowy i ufne serca. Emilka wam świat cały w swoje własne ubierze sukienki, pójdzie z wami szukać ślicznych a dalszych jak niepodobieństwo obrazków, rozpieści was za lada poczciwszą obietnicę, nie wyłaje nigdy, nie odepchnie nigdy! choćbyście na to sto razy zasłużyli, choćby to wam do zdrowia najpotrzebniejszym było – chyba? – lecz znów życie anioła

płynie sobie tak jasnym strumieniem, że zupełnie „czarne diabły” nic z nim nie mają wspólnego. Stąd też zapewne Emilka w swoim własnym przekonaniu jest bardzo surowa, bo żadnemu z nich nie przebaczyła jeszcze, a inne odcienia popielate, sine, brudne, jej białości nie ujmują przecież, same nią wzbogacić się mogą. – Emilka nie wątpi o nikim. Śmiałem się z niej czasem, że gdyby od niej zależało, to by nawet Judasz był kiedyś zbawionym, i trzeba wyznać, że nigdy szczerze na ten żart nie odpowiedziała.

Obok Emilki jako zupełną inność Felicję sadzać lubiłam. Felicja była dla mnie ideałem obecnej chwili, miała siłę potrzebną do moralnych tego wieku zapasów, namiętne wszelkiego dobra pragnienie, gwałtowną złego nienawiść, sąd rozumu bez litości, miłość dla myśli swej większą niż dla ludzi, a jednak ludziom bratniej myśli rękę z pomocą wyciągniętą i życie całe wydane. Jak Emilia nie znała, tak Felicja nie rozumiała błędów i ułomności ludzkich. Emilii grzech bliźniego tłumaczył się nieszczęściem lub cnotą omyloną, Felicji upadkiem zupełnym, przed Felicją nie było Sakramentu Pokuty i łez oczyszczenia; jeśli wzgardą nie zaczepiła, to przeszła obojętna, tuląc dokoła szaty swoje, aby gdzie mimowolnie ich skrajem kału brudnego nie dotknąć. Kiedy jej raz wymawiałam taką niemiłosierną sprawiedliwość, brakiem czasu mi się tłumaczyła. Według zdania Felicji łatwiej nawet wznosić, niż zniszczone podźwigać; zniszczenie uważała ona za najlogiczniejsze dla wszelkiej niedokładności następstwo i oddawała mu bez żalu zrywane stosunki, zapominane imiona ustających na wpol drogi towarzyszy swoich. Felicja, choćby i za najartystyczniejszych wrażeń podarunek, nigdy się spóźnić nie chciała. Czynność jej była zadziwiająca – od najprostszej jałmużny do najwznioślejszej około oświecenia bliźnich pracy, od gospodarstwa domowego do filozofii, od igły do poezji, od gawędki do nauczania – dni jej starczyły na wszystko i wszystko było dobrze lub pięknie, szlachetnie lub odważnie. Prawda, że też Pan Bóg do wszystkiego jej drogę ułatwił – od dzieciństwa otoczył ją kółkiem poczciwej rodziny, dał jej kochającą matkę, wykształconych braci, położenie w świecie niezawisłe, wyższe zdolności umysłowe i prawną naturę.

Pieszczona, rozumna, śliczna, biała jak lilijka, jasna jak gwiazdeczka, tak snadnie wzbija się na wysokości człowieczeństwa, tak wygodnie zawarowała osobistość swoją w zatraceniu egoizmu, radość swoją w obowiązkach, że nie umiała sobie dobrać skali na mierzenie postronnych uchybień. Jej życie całe było czyste i tylko ciągle z niższej do

wyższej przechodząc piękności rozwijało się niby dzieło muzyczne według praw rytmu i harmonii w coraz śmielsze, bogatsze i wdzięczniejsze akordy. Nigdy Felicja nie miała powodu, żeby choć na chwilę o samej sobie zwątpić. Z okiem badawczym, nieustannie w głąb własnej duszy zwróconym, widziała tyle świętości, tyle prawdy w jej najtajniejszych zakątkach, że prawda i osobiste uczucia w jedność się dla niej zlały zupełnie i że na koniec, jak każda wyższych przeznaczeń istota, wierzyć sama w siebie zaczęła. Współwyznawców jej nie brakło, ja także należałam do ich liczby. Felicja, pełna wdzięku i uroku, odważna, dowcipna, otoczona przyjaźnią serc poświęconych, zazdrością nikczemnych, a szacunkiem ogółu, wyobrażała mi kobietę najzdolniejszą do przeprowadzenia w rzeczywistość wszystkich kobiecych o niepodległości marzeń. Ona jedna mogła stanąć tak silnie, że jej boleść nie zachwiała, tak wysoko, że jej śmieszność nie dosięgła, a tak pięknie i bezpiecznie, że aż innym z nią razem stanąć by się chciało. Wszystkie cnoty, które jedynie w normalnych warunkach bytu ludzkiego rozwinać się mogą, były właśnie cnotami Felicji; brakło jej wprawdzie cnót anormalnych, drobnych cnót cierpienia – lecz co tam dzisiaj po nich – cnoty cierpienia: pokora, skrucha i litość bez granic, rezygnacja niewyczerpnięta to dobre dla ascetów, dla pustelników Tebaidy lub męczenników w Kolizeum. Nam trzeba cnót siły, cnót tryumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia, żeby inni w nas uwierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. O! bo głównie o innych chodzi. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do Królestwa swego; to samolubne zbawienie postów i umartwień, długich pacierzy i ciasnego życia, nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale żeby braciom twoim weselej było na świecie; módl się, żeby nieprzyjaciółom twoim jaśniej było w duchu – to Bóg kiedyś policzy cierpienia i przyjmie modlitwy twoje. Jak nie, to nie. Przekonanie moje w tym względzie było tak silne, że nad tysiące owych biernych zalet, które indywidualność bogacą, nigdy na zewnątrz nie rozpromieniając się, wołałam wszystkie wady Seweryny długim ciągiem nieszczęścia zakorzenione w jej duszy. Te wady przynajmniej obok najszlachetniejszego charakteru, obok najpiękniejszych skłonności, głośno zdawały się upominać o prawo do szczęścia, o prawo do tego, co dobrym dobroć ułatwia, co chętnym czynnymi być daje.

Młodość Seweryny ubiegła wśród ludzi złych i obojętnych; brudom szlacheckiego życia, nikczemnościom salonów przypatrzyła się na własne swoje oczy. Karmiono ją szyderstwem i nienawiścią, ona szyder-

stwo i nienawiść przetrawiła na oburzenie, na drażliwość, na nieufność i wzgardę. Oblicze jej było surowe, sposób wyrażania się cierpki i ostry – ale serce? – Szczerzej, silniej kochającego nie było wśród wszystkich serc od Boga wybranych. Każdychwilowe zapomnienie siebie samej, każdychwilowa praca dla drugich, bez żadnej nadziei zwrotnego odwdzięczenia, bo nawet gdy ją kto kochał, Seweryna nie dowierzała, bo nawet gdy przyjazną rękę kto do niej wyciągnął, Seweryna nie ujęła jej wcale, odosobniona w boleści podejrzliwością swoją. Dla Felicji dopełnienie każdego obowiązku było zawsze radością najwyższą, dla Seweryny, nieufnej względem siebie i względem drugich, bardzo często stawało się prawdziwą męczarnią, jednak nie uchyliła się przed żadnym wymaganiami swojego sumienia; gdy uznała, że coś jest potrzebne lub sprawiedliwe, z wytrwałością szła ku spełnieniu tego, a szła przez własną boleść, przez obce potwarze. Felicja więcej może dobrego zrobiła, Seweryna, źle nawet robiąc, miała niezawodnie więcej osobistej zasługi. Gdyby mi wolno było dla tych dwóch kobiet przypuścić jakieś w ludzkości stosowne do ich pracy terażniejszej odrodzenie, to bym powiedziała, że na przyszłość Felicja będzie artystką, Seweryna kapłanką. Felicja objawi ludziom piękność w moralnej doskonałości, Seweryna

da im pociechę. Obręb doczesnego życia dla nieszczęść Seweryny nie ma jeszcze przystosowania. Są to bezpłodne nieszczęścia, które ją samą zrobiły mniej dobrą, a złych obok niej trochę gorszymi. Spostrzegam się jednakże, że zbyt nieuważnie szafuję tymi słowami: szczęście – nieszczęście – radość i cierpienie, a mógłby kto pomyśleć, że ja szczęściem i radością nazywam wielkie przyjemności, nieszczęściem i cierpieniem przykrość jaką wielką. A zatem majątek, wygody, zbytki, wielki los na loterii, szczęśliwe pociągnięcie talii faraona, koń, pałac, suknia modna, wstążeczka lub krzyżyk złoty: wszystko razem byłoby szczęściem. Ubóstwo, zarobek ciężki, przeszłoroczny kapelusz, odzież trochę wytarta, zgubione rękawiczki, ciasna stacyjka – wszystko nawzajem nieszczęściem być by musiało. Oh! mój Boże! zgódźmy się na znaczenie wyrazów, lub kiedy się zgodzić nie możemy, to na ciąg czytania tej książki przyjmijcie państwo moją własną definicję. Szczęście i nieszczęście od żadnych zewnętrznych nie zależy okoliczności. Szczęściem nawet nie jest ukochanie nas przez najukochańszą istotę, nieszczęściem nie jest nawet śmierć najdroższych naszych – po prostu ja przez szczęście rozumiem to, co zbawiennym wpływem wznosi, kształci i uszlachetnia ducha naszego, a nieszczęściem to, co go poniża, nikkzemni i gnębi.

Dlatego też różne są szczęścia i nieszczęścia różne, dlatego też widziałam częściej nieszczęście wśród wielu przyjemności, jak nieszczęście wśród przykrości wielu. Jednak co korzystniejsze, trudno by dać wyrok, cała tajemnica osobowości człowieka w tym leży. – Felicję nazwałam szczęśliwą, bo rosła wśród dobrego, dobrą Sewerynę nieszczęśliwą, bo wśród złego całej dobroci swojej rozwinąć nie mogła i nieraz nawet zły pozór przybrała; nieszczęśliwą jednak nie nazwałam Tekli, chociaż powieść jej życia była daleko smutniejszą.

Tekla ciężkie przeżyła straty, ale boleść nie zatrzymała jej stosunków z ludźmi, prawda, że też jedynie od losu, nie od ludzi cierpiała. Zawsze spokojna i poważna, zdawało się, jakoby doświadczone koleje ułatwiły jej tylko ogólną dla wszystkich dobroć. O cóż się miała gniewać, o co niepokoić, kiedy ci, którzy byli wyrazem jej egoizmu na ziemi, a których byłaby może ukochała z całą słabością drobiazgowych kłopotów i kobiecej drażliwości, pod ziemią dawno spoczęli. Sierota i wdowa bezdzietna, sama w sobie zwinęła się jak listek czułki mimozy, zbyt religijna, zbyt szlachetna jednak – w sobie, nie dla siebie zwinęła. Owszem, jej ponętna, pełna cichej godności uprzejmość wszystkie serca ujmowała i co dziwniejszym zdawać się może, ze wszystkich serc te szczególnie, które namiętniej i gwałtowniej w młodych uderzały pierśsiach. Bo też trzeba powiedzieć, że Tekla wśród tylu kobiet, które znałam, jedna Tekla prawdziwie pobłażającą być umiała. Emilki łagodność była raczej wiecznym usprawiedliwieniem; ja sama nieraz, kiedy co złego zrobiła, a chciała koniecznie, żeby moje złe nie tak mi czarno z sumienia wyglądało, to tylko poszłam do Emilki i uskarżyłam się przed nią, ona zaraz dowiodła mi, jak ja to pragnęłam dobrze uczynić, jak ja to będę mogła jeszcze przeinaczyć, jak ja to zawsze poczciwa jestem, aż słowo za słowem uwierzyłam jej nieraz i zdarzało się nawet, że potem silniejszą byłam w odtworzeniu i poprawie, niżbym nią po spowiedzi w kornej pokucie bywała. – Ale z Teklą to rzecz inna. Tekla miała o złem i dobrem sąd niezachwiany, wyraźny, stanowczy, a zawsze z zimnym rozsądkiem zgodny. Tekla każde zdarzenie oceniała według urzędowej społeczności taksy, każdą pobudkę według moralnych przepisów, chociaż dłużnicy największy przystęp do niej mieli, chociaż się nigdy przed błędzonymi nie usunęła. Dla mnie wyobrażała ona jakąś zasadę przykrojonej rzeczywistości, objawianą miłosierdziem chrześcijańskiego serca i wspartą przykładem chrześcijańskich uczynków. Bardzo często sprzeczałyśmy się okropnie. Jej pojęcia zamknęły się w niektórych formułach tak przeciwnych usposobieniu mojemu, że się z nią

w ciągu rozmowy na dwa słowa zgodzić nie mogłam, ale kiedy czułam jakie symptomata bezcelnego rozmarzenia i rozbiegłe na cztery fantazje myśli, kiedy mi trzeba było hartu, karności, zgody ze światem i zimnej wody na głowę, to stawałam przed nią i mówiłam: „Łaj mnie, Teklo”, a gdy Tekla łajała, ja kłótni żadnej nie wszczynałam już.

Obok tych czterech kobiet, ze stale określonymi charakterami, wyobraźcie sobie trzy inne jeszcze, które nie były tym, czym ich Pan Bóg stworzył. Jadwiga nie była poetką. Augusta nie była artystką. Anna nie była matką. Jednak pewną jestem, że nim przyszły na świat, ich przedchrzestne imiona w niebie były: poetka, artystka, matka. Do urzeczywistnienia owych imion na ziemi Jadwidze brakło pisarskiego talentu, Auguście pracowitości, a Annie dziecięcia.

Jadwiga rzuciła się nawet we wprost przeciwny poezji zawód; spiżarnią i krosienkami centralne kółko życia swego obwiodła, sama siebie nazywała bardzo praktyczną kobietą i prawie była nią nawet. Wewnętrzna za to jej duszy historia rozwijała się oderwanymi rzutami szalonych pragnień, zachwyków, zniechęceń i uwielbień. Sprzeczność tła takiego z rysami głównych niby figurek osobliwszą też tworzyła mieszaninę. Coś na kształt gorących włoskiego nieba obłoków, pod którymi by malarz wyobraził śniegi Północy i kwitnącą pomarańczę, Żmudzina w kozuchu i klęczące przy kapliczce neapolitanki. Na pozór życie Jadwigi płynęło cicho, jednostajnie, gospodarsko; kto mu się z bliska przypatrzył, ten widział dopiero całą dramatyczność jego, chociaż w kształty wypadków objętą nie była, ten czuć musiał całą lirykę, choć mu jej słowa nigdy nie wypowiedziały. Jadwiga dla każdej piękności, dla każdego wrażenia miała struny od serca do mózgu przyciągnięte i te struny pod każdym dotknięciem dźwięczały najcudowniejszymi tonami uczucia i wyobraźni, ale dla niej samej w zamknięciu głębokim dźwięczały. Czasem uroda kobiety zajęła ją tak żywo jak oczarowanego kochanka, po całych godzinach słuchała mile brzmiącego głosu, patrzyła w czarne lub błękitne oczy, układała sploty jasnych lub ciemnych warkoczy. Przez jedną zimę szalenie lubiła tańce, potem kwiaty, potem muzykę, upodobania jej wyrównywały w sile i zmienności namiętnościom innych kobiet, tylko że Jawidze z upodobań jej przybywało ciągle władz i pojęć nowych, a innym kobietom z namiętności życia i prawdy ubywa. Jadwiga w kochanych swoich kochała zawsze pierwszą chwilę własnego pociągu, sympatię swoją, lecz jednocześnie dla sprawiedliwości swych pojęć musiała w nich stworzyć jakąś doskonałość. Wiele było takich ludzi, od których wstręt nieprzezwyjęzony ją

dzielił, na mierność nie miała żadnego uczucia, w terażniejszości często bardzo okropne spotykały ją zawody, lecz przeszłość odgadywała tak bystrym i trafnym wnioskowaniem, jak gdyby historia najodleglejszych wieków jej własne zawierała wspomnienia, a z przyszłością tak ściśle poświęcenia i zapału stosunek ją łączył, że nieraz jej nadzieje mogły się darem prorocstwa wydawać. Niespokojna, natchniona, z entuzjazmem w utrudzenie się przerzucająca, z utrudzenia w wątpliwość, a potem znowu jedną chwilą zachwytu, jednym promieniem piękna orzeźwiona, a zawsze przez pośpiech i przez zmęczenie swoje ku najwyższosci dobrego biegnąca, a zawsze w chwilach rozpacz i szczęścia z niewidzialnym tajemnym Bogiem ideału w piersiach swoich, czyż Jadwiga nie była prawdziwą poetką? Oh! ja wam ręczę, że była, tylko nie wszyscy ją odgadli, bo to mało mówiąca, kamiennego na zewnątrz ułożenia kobieta, ledwie że czasem, czasem płomiennym jakim spojrzeniem dusza jej szczerze przez oczy mignęła.

Augusta była jawnie tym wszystkim razem, czym Jadwiga w skrytości tylko, w treści swego życia być umiała. Nadto Bóg ją jeszcze obdarzył znaczną porcją talentu i dziwactwa, a przyodział wdziękiem tak uroczym, żeśmy ją wszystkie psuły po trochu. Jadwiga szczególnie, czcicielka wszelkiego piękna, oprawiła ją w serce swoje niby diament najprzeczystszej wody. Trudno bo też wyobrazić sobie więcej ponętne stworzenie; każdy jej ruch z osobna mógł być żywcem na model przez snycerzy wzięty, każde przegięcie jej drobnej i szczupłej kibici mogło być przez bajadery wschodnie studiowane – a jak śpiewała! to istny słowik sponad brzegów Pilicy słuchany, tylko że słowik rzadko się odzywał, a młode orle często za to niejedną z nas i skrzydłem potraściło, i szponami drasnęło czasem. Sarkazm był u niej na każde zawołanie gotowy, po sarkazmie pieszczota, stąd przykrość może, ale gniewu nigdy. Zmienny, a w każdej zmianie zarówno gwałtowny charakter Augusty mimowolnie przywodził mi na myśl jakieś cudzoziemskie pochodzenie; według rodziców jednak była to prawdziwa, nawet zdaje mi się wielkopolska szlachcianka, według ducha zapewne we francuskiej lub włoskiej myśli poczęta być musiała. Kto jej nie spotkał, ten sobie wyobrazić nie może tak różnorodnych żywiołów w jeden utwór kobiety zmieszanych. Jakaś nadzwyczajna delikatność zmysłów na pochwylenie wszelkiej gry słonecznych promieni na oceanie dźwięków, na użycie każdego zjawiska natury i sztuki. Jakieś rozkapryśzenie dziecinne a męska w urzeczywistnieniu swoich pragnień wytrwałość. Jakaś niepojęta, że się tak wyrażę, elastyczność umysłu i zdania, a bezprzestanne

toż samo dążenie ku spotrzebowaniu wszelkich przedmiotów na wrażenia swoje. Jakaś bezmyślność cygańska a wymagania królewskie, jakaś tkliwość wybujała a ciekawość Nielitosna, jakaś osobliwość z najpospolitszymi spadkami a chwile niespodzianego entuzjazmu z najczystszy Duchą wzniesieniem i obok tego jeszcze dar malarstwa, podwójny, słowem i pędzlem, pieśnią i farbami – to była Augusta. Malowała też ona życie swoje, malowała w zachwycające obrazki, w miłość, w przyjaźń, w poświęcenie, a ja posądzałam ją, że dlatego maluje tylko, by im się przypatrzeć z rozkoszą. Ludzie poważni, ludzie surowi jak artykuł kodeksowy, ciężkie mieli przeciw niej zarzuty. Mówili, że to lekka i płocha kobieta, mówili, że to zawodne i kłamliwe serce, lecz co tam oni wiedzą tacy ludzie, oni nawet się nie domyślają, ile prawdy być może w jednej chwili zachwycenia, ile cnoty w jednym, błędzie. Ja tam nie usprawiedliwiam i nie tłumaczę, ale widzę tak, jako jest, i wiem, że serdecznie kochałam Augustę, i wiem, że ona nigdy nie skłamała nikomu, bo nigdy nie skłamała samej sobie, a kłamstwo zupełne, kłamstwo solenne najpierw od samej siebie się zaczyna. Wprawdzie niebezpieczną rzeczą było uwierzyć jej każdemu słowu; kto uwierzył, sobie mógł tylko winę przypisać, bo czemuż lepiej nie zastanowił się nad warunkami, w których te słowa wymówione były; ze zmianą warunków i wartość słów się zmieniała. Pomimo takiej niepewności jutra, pomimo takich dziwactw dnia dzisiejszego, co szczególniej ku Auguste nęciło silne i szlachetne serca, to przeczucie jej słabości, jej, że tak powiem, kobiecego niedołęstwa. W całej hardości, we wszystkich uchybieniach, w każdym rozkazie tej dumnej pani łatwo można było odgadnąć pokorną na kiedyś i wypartą z indywidualności swojej niewolnicę.

Przypuściwszy, że ta kobieta pokochała się na koniec i wzajemnie pokochaną została, ręczę, że człowiek jej wyboru jest człowiekiem niepospolitych zdolności, przed którym ona padła na kolana, któremu więcej zawierzyła niż sobie samej, niż prawdom religijnym. Ten człowiek mógłby ją bić, mógłby ją sponiewierać, mógłby ją w wiecznym przed sobą utrzymać poddaństwie, ale biada mu, jeżeli się do szaleństwa wdziękiem syreny upoi, biada mu, jeśli na wyłączność jedyną, na cel życia jedyną artystkę umiłuje. Artystka mu serce pogryzie – w jej cudzoziemskim południowo-wschodnim uczuciu nigdy nie ma spokoju i równowagi, z nią zawsze walka nieustanna o koronę lub kajdany; jak nie ma walki, tak już i uczucia nie ma.

Anna piękniejszą była od Augusty, trochę starszą za ledwie, a przecież obok niej mężczyzna, młody i namiętny nawet, daleko prędzej mógł zapomnieć, że się znajduje obok kobiety, którą marzeniem i pożądaniem, świętością i grzechem ukochać mu jest wolno.

Nie idzie za tym, by temu lub owemu w głowie się nie zawróciło, by ten lub ów nie wymodlił do niej najgorętszej młodocianego serca modlitwy, ale przynajmniej, o ile nie wysłuchany, o tyle z wolna inne przyjmował stosunki, o ile tego godny, o tyle szczerym zostawał przyjacielem i bratem życzliwym. W istocie ja sama nieraz zastanawiałam się daremnie, kogo by też Anna pokochać mogła taką zwyczajną, uległą, kobiecą miłością? Jej dusza była pełna i zawsze samej sobie wystarczająca, jej charakter stały i mocny bez żadnego wysilenia, bez żadnej z ludźmi lub ze sobą walki, jej dni były zajęte i czynne użyteczną pracą, jej osobistość tak pięknie i doskonale rozwinięta, że w moim przekonaniu miłość nic a nic już do niej przyrzucić nie mogła, miłość zaś (i to także w moim przekonaniu) na uzupełnienie tylko, na wyższą doskonałość władz i skłonności daną jest człowiekowi. Jeśli dowód jaki mógł stanowczo poprzeć zdanie moje o Annie, to właśnie było to uczucie macierzyńskie, bez dziecięcia – jak już wspomniałam – zbudzone w jej piersi. Żadna osobista namiętność nie wtajemniczyła jej w objawy tego instynktu, a przecież objaw żaden ukrytym nie był przed domyślnością i cudowną wszechwiedzą jej serca. Wszystkie dzieci zajmowały ją tak szczerze, jak zajmują owe dobre matki, co w nich widzą swojej własnej osobistości podobieństwo lub różnicę, swojej przyszłości nadzieję lub trwogę. I nie myślcie, że jej macierzyństwo względem tych drobnych istotek przemawiało jedynie. Anna w każdym uczuciu swoim, w przyjaźni, w dobrej znajomości, nawet w uczuciu względem rodziców, zawsze trochę matką była. Kto zaszedł w kółko jej życia, ten musiał doznać jej troskliwości i opieki; krewni, domownicy, sąsiedzi, włościanie wioski, w której mieszkała, czy to w zmartwieciu, czy to w kłopotach, czy to w chorobie, pewno ją zaraz przy sobie widzieli i pewno widząc byli zaraz cierpliwszi, spokojniejsi i zdrowsi, bo Anna umiała wszystkiemu zaradzić, na wszystko znaleźć pomoc i lekarstwo. A jednak ta Anna, co tak ciągle drugimi się zajmowała, mogła słuszniej niż sto innych kobiet o samej sobie pomyśleć tylko i nikt by się temu nie dziwił, wielu bardzo przebaczyłoby zupełnie. Przedmiot zdolnym, był nawet samolubstwo usprawiedliwić. Wzrost wysmukły i powiewny jak topolki młodej, rysy czysto oznaczone jak w najpiękniejszym szkicu Retza, których ołówkiem poezje Schillera i

Goethego dla wzroku tłumaczył, oczy promienne jak dwa czarnoksiężskie karbunkuły, nogi do perskich kobierców, ręce do złotych pierścieni, kształty ciała do atlasów miękkich... i to wszystko trudziło się koło ciebie nieraz, a tak składnie i zręcznie, tak jakoś z przywyknienia i bez myśli niby, że na słówko sporne stosownej chwili brakowało ci zawsze. Prawda, że też Anna umiała przybrać nakazującą powagę, rzadko kto mógł się jej z karbów posłuszeństwa wyłamać, ja tego nie próbowałam, nawet ją w rękę całowałam nieraz, oh! całowałam z wielką przyjemnością... bo co za ręka!...

Niegrabnie tutaj określane sylwetki muszą czytelnikom wystarczyć na zapoznanie się z żeńską połową naszego zgromadzenia. Dla dokładności rejestrowej moją własną jeszcze umieścić by się godziło, ale ta próżność nieszczęśliwa!... przy poprzedzających nieco za trudny obowiązek.

Lepiej wam powiem, przebiegnijcie tę książkę, będziecie mieli niektóre zarysy, jestem po trochu tym wszystkim, co w niej napisałam, chociaż jestem daleko więcej tym, czego w niej nie napisałam wcale.

Z mężczyzn, którzy co wieczór prawie uzupełniali nasze towarzystwo kominkowe, najlepiej pamiętam:

Alberta-Filozofa, Henryka-Zapaleńca, Leona-Methodystę, Edmunda-Mistyka, Teofila-Dzieciaka i Beniamina z dwoma przydomkami, bo w dni uroczyste zwał się Humboldtem, w dni powszednie Łysym.

Albert „Filozof” stosownie do swego tytułu kochał mądrość, kochał ją szczerze, poczciwie, ale w książkach dopiero. Żywego życia nie nauczył się jeszcze, chociaż gwałtem ku temu zdążał. Dziwnie odbijała jego zdolność rozumowa, nadzwyczaj trafna w kombinacjach wniosków i wyobrażeń, obok naiwnej niedomyślności rzeczywistego świata, a przy tym obok ciągłej pracy nad zastosowywaniem wszystkich czynów do wszystkich pojęć swoich.

Wiedza i praktyczność tkwiły w duszy Alberta, lecz, jak dwie linie równoległe, nigdy się złączyć w punkcie uznania nie mogły. Kiedy rzecz szła o historię, Albert jak najbłębszy historyk umiał ocenić stronictwa, czyny i zasady, mnie się jednak zdaje, że gdyby sam do usunięcia i przeprowadzenia jakiego planu przystąpił, tyle by mu nadał wszechstronności, tyle ozdób i różnorodnych warunków, że na koniec z całą nieskończonością swoich widoków do końca trafić by nie mógł, albo przynajmniej tok zdarzenia zupełnie od pierwotnego by się różnił deseniem. W rozmowie o uczuciach Albert prześliczne nieraz prawil nam aforyzmy, pewne dane słowa tak logicznie rozwijał i delikatnie cienio-

wał, że aż słuchać było przyjemnie, lecz mógł się kochać do późnej starości i nie wiedzieć z pewnością, czy to miłość jest taka? Lub nawzajem mógł się nie kochać wcale i dla tej lub owej okoliczności, której miał „a priori” pojęcia, dla tego lub owego stosunku, który według zasad rozumowania powinien się być z wynikiem miłości jednoczyć, mógł najsumienniej być przekonany, że się kocha prawdziwie, namiętnie, poetycznie. Rzadkim u nas nieszczęściem Albert czytał i pisał zbyt wiele. Ta pracowitość niemiecka rozdzieliła kierunek sił jego, zaczęła nawet grozić ich wyczerpieniem, jak uschnięcie grozi młodej drzewinie, gdy bujnymi sokami zbyt wiele u stóp swoich przekarmia gałęzie. Nasz klimat widać nie sprzyja erudycji – to monarchini wyłącznej służby i zupełnego żądająca poddaństwa, u nas głowy aż lekkie czasem od zbytku poezji, serca aż ciężkie czasem od zbytku uczucia.

Niejeden chciałby erudycję zrobić powolnym narzędziem swoich wymysłów i pragnień – oszukuje się tak samo, jak Albert oszukał. Między erudycją a rodzimymi skłonnościami pozostaje cicha, niepostrzeżona walka, której ofiarą paść musi albo rozum, albo szlachetność młodzieńcza, albo człowiek młody. Wszystko to jest wszelako moim przypuszczeniem tylko; pewnikiem w życiu Alberta były jego obyczaje nieskażone, jego charakter prawy i tak pełen godności, że mu zjednał ogólny w rówieśników gronie szacunek. On młody, on ubogi i cichy stał się prawie jakąś moralną dla nich władzą i potęgą.

Oh! bo młodzież nasza, chociaż zepsuta, próżniacka, niewykształcona, ma ten instynkt przynajmniej, że uszanuje zawsze ludzi prawdziwie moralnych, szczególnie gdy ci ludzie piszą i czytają książki. Literatura nie straciła wśród nas jeszcze swojego uroku, gdyż została po części owym bóstwem wymagającym ofiar z życia, szczęścia i myśli, a nie zniżyła się do stopnia posługaczki-karmicielki, przynoszącej ofiary dla zbytku, próżności i złota.

Henryk „Zapaleniec” stąd otrzymał swoje przezwisko, że tak żył prędko, chciwie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkich najwcześniej miała wybić ostatnia godzina. Alchemik, co by wziął trzech ludzi z burzliwymi i sprzecznymi skłonnościami, czterech innych z cnotą najwznieślejszą, pomieszał razem, utłukł w młotku, nalał wodą wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcedził przy księżycu, trochę podsycił siarką i saletrą, miałby dopiero dla osobliwości lub dla przestraszenia spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencję podobniutką do takiego jak Henryk człowieka. Ile ten chłopiec przed dniem pełnoletności swojej nauk, uczuć i zdarzeń spotrzebował, to by

jakiemu staremu Francuzowi na dwunastotomowe pamiętniki wystarczyło, każdy tom in 8-vo i bez interlinii drukowany. Przy nadzwyczaj wątlej postaci, przy dość miękkim wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadała pod żadnym nadużyciem zbytków i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach! żal mi teraz, że napisałam to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majątkiem, szczęściem, co dla przyjacieli lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania, nazwać go egoistą! Kiedy dzisiaj pierwszy lepszy czytelnik zrozumie przez egoistę człowieka, który wszystko, a szczególnie pieniądze garnie ku sobie, który niczego, szczególnie pieniędzy nie da od siebie, fe! to szkaradne wyrażenie nadużycie. Henryk nie był egoistą. Henryka osobistość tylko była tak wydatną w tym, co czynił, tak zainteresowaną w tym, czego pragnął, tak połączoną z tym, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludziom i mnie samej zdawać się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło. Inne jego z egoistami podobieństwo leżało w upornej zaciętości, z którą wszystkie swoje przeprowadzał zamiary. Czasem były to sprawy zupełnie dla niego obojętne, a zawsze takie, z których mu żadna wyłączna korzyść płynąć nie mogła. Czy szło o to, żeby jakie małżeństwo znajomych przywieść do skutku, czy żeby miejsce stosowne dla kogo wyrobić, czy żeby książkę z jednej do drugiej przenieść biblioteki, skoro sobie powiedział, że to będzie dobrym i pożytecznym, zaraz brał się do uskutecznienia projektu i wtedy nic go już nie obchodziły postronne przedmioty; z najobojętniejszym okrucieństwem stapał po spotkanych w drodze zawadach, z najdoskonalszą pogardą umysłu i twarzy wesołością zbliżał się ku zamierzonej mecie, choćby tam kogo w drodze potrafił i zdusił. Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczyma, z ślepym niedoświadczeniem, z żądzą płomienną. Przechywał się, że dusza jego, silnym pchnięciem bożym w świat przestrzeni rzucona, musi bez spoczynku i zboczenia jakieś fatalne, planetarne zakreślić koło. Nigdy się Henryk nie cofnął przed żadnym środkiem, który mu osiągnięcie celu ułatwiał. Z upodobania nawet wybierał makiawelsko-zręczne podstępny, chociaż cała natura zdawała się raczej do gwałtownych ciągnąć go czynów. Było to właśnie najosobliwszym dziwactwem jego osobliwej i dziwacznej indywidualności, a może też było resztą jeszcze pewnego studenckiego humoru, który w przebiegłości dowcip jedynie, w podejściach figle widział złośliwe. Bądź co bądź, Henryk daleko więcej się ucieszył, kiedy złęgo oszukał, niż kiedy dobrego przekonał. Dni mistyfikacji, wykrętów i zwodzeń były jego nie-

dzielnymi, jego rekreacyjnymi dniami, wtenczas jak dziecko prawdziwe skakał, przyśpiewywał sobie, rąk zacierał i włosów poprawiał. Różnorodność żywiołów składających moralną jego istotę wielce mu się stawała w razach takich pomocną.

Nowożytny Alcybiades mógł każdą rolę z zadziwiającą dokładnością przedstawiać, gdyż rola każda tą lub ową stroną o prawdziwość jego charakteru zaczepiała. Tak niebezpieczny talent rozwinął w nim szkaradną jego wadę. Czy mu było potrzeba, czy nie było potrzeba, Henryk kłamał bez litości; jak tylko szło o jaki fakt, szczegół, zewnętrzzną okoliczność, czy to błahą drobnostkę, czy przedmiot największej wagi, on pewno nigdy prawdy nie powiedział, a przecież ze wszystkich kłamców on jeden szczerzego wstrętu nie obudził w nikim – prędzej nienawiść lub chęć zemsty wywołał. Wstręt i pogarda śladem kłamstwa idą, bo kłamstwo każe się zawsze domniemywać tchórzostwa i podłości. Od wysokich do niskich, kto kłamie, ten się boi; kto kłamie, ten zdradza i chce ze zdrady korzystać, lecz Henryk?...

Henryk był odważnym jak lew – był w gruncie serca szlachetnym jak epopeja; jeśli kłamał, to ze zbytku gorączkowych myśli, z maligny lub fantazji tylko, a przy tym w życiu swoim miał jedno uczucie, jedną świętość, która mogła i stokroć cięższe winy łaską sakramentalną w oczach bardzo surowych sędziów okupić. Za głos kobiet ręczę przynajmniej – Henryk kochał swoją matkę! Miłość synowska jak polarna gwiazda zbawienia przyświecała nad burzliwością jego szaleństw, namiętności i błędów – strzegła go od zatury, ku cnotcie natchnieniem wiodła. Trzeba go było widzieć z tą matką, żeby mieć dokładne pojęcie o tle zbytecznych naddatków, o tle rzeczywistym tyłu poplątanych arabesków. Kiedy szło o jej przyjemność, całe dni ciężkiego znoju wydawały się chwilami najrozkoszniejszej uczy. Kiedy zasłała, całe noce bezsenne nie mogły zwątlić jego troskliwej opieki. Dla matki byłby się wyrzekł wszystkiego, przez matkę, gdyby nawet religia w sercu jego wygasła, przez matkę byłby Boga zrozumiał. Oh! jak to dobrze, Henryku, że my się już nie spotkamy z sobą! – zostałeś w myśli mojej takim pięknym, takim uświęconym, takim okupionym ze wszystkich grzechów i niedokładności twoich. O! jak to dobrze, Henryku. Może później byłbyś się zmienił – może trochę więcej siebie lub inną ukochał kobietę, może byś stracił to młode zuchwalstwo twoje, może zwątpił o ludziach, może własnej sile zaczął już nie ufać, a może byś z uporu szedł tą drogą, którą szedłeś z przekonania, może przez próżność czynił, co przez zapał czynić tylko nawykłeś! Może byś mi się zepsuł

pierwszą pomyślnością, zatrul pierwszą goryczą, niezręcznie z pierwszych poprawiać chciał pomyłek – a ja cię tak lubiłam w prostocie twojej złej i dobrej natury, w bogactwie twego światła i w czarności twoich cieniów! Oh! jak to dobrze, Henryku, że my się już nie spotkamy z sobą! – Niech będzie znak krzyża Chrystusowego, pieśń i blask słońca nad wspomnieniem twoim!...

Leon „Metodysta” miał bardzo tkliwe i kochające serce, wyobrażenie nadzwyczaj łatwą do zajęcia, umysł dziwnie przedsiębiorczy i odważny, więc dla tego wszystkiego „metodystą” został. W istocie owe najpocziwsze skłonności takiego mu strachu napędziły do głowy, że sobie jak liszka usnuł na zewnątrz gęstą, z zimnego rozsądku, wyrachowania i obojętności poczwarkę. Mało mówił, o sobie nigdy nie wspominał, żywsze wrażenia taił z grobową skrytością, drobnych formułek powszedniego życia dopełniał ściśle i niezmiennie, a entuzjazmu wystrzegał się jak zbrodni. – Każdy czyn jego za to był doskonałym zaprzeczeniem tych wszystkich pozorów. On, wyrachowany, całą nadzieję swej przyszłości oparł na własnym sercu i na własnej ręce; on, obojętny, z uczucia tylko brał siłę wytrwania pośród wszelkich trudności, pośród niedostatku i pośród samolubstwa otaczającej go kasty. Gdy mu która z nas kiedy stawiała na oczy taką sprzeczność treści z maksymami, dowodził jej bardzo poważnie, że tej sprzeczności nie ma w nim bynajmniej, że słowa, które mu narzucamy, są jedynie słowami poezji, a matematyka rzeczywistości na innych rozwija się prawach, jak gdyby matematyka nie była najidealniejszą nauką, jak gdyby poezja w rytmie i harmonii swojej nie miała matematycznych zasad. Cóż robić? Już to widać jest taki los wielu bardzo pocziwych naszych. Stokroć lepsi od świata, ale różni, ale inni zupełnie, lękają się potępieniem, temu światu ubliżyć i wolą samych siebie zastosować do jego wymagań. Świat chce liczb? piszą liczby – świat się lęka jaskrawych kolorów? zrzucają swoje piękne, młodzieńcze sukienki – świat ma odwieczny jakiś dykjonarz? uczą się wszystkich jego wyrazów i myślą potem, że im wolno będzie własne wyobrażenia tymi półsłówkami tłumaczyć, że im dadzą wygodne szaty skroić sobie z tej zmurszałej materii, której każdemu już po trochu braknąć zaczyna; myślą, że w obrachunku ta sama co i innym suma im wypadnie. Biedni marzyciele! Oh! nie trwóźcie się własnymi skłonnościami, nie wiercie, choćbyście zewsząd słyszeli, że miłość urojeniem, że zapał gorączką, że szlachetność pomyłką arytmetyczną, że piękność ideałem. Wy lepiej znacie się na tym, bo wy kochacie i wierzycie. Rodzimy wasz entuzjazm jest jedynym „religiantem”

waszym, nie zapierajcie się tej cechy i tego chryzmatu. Gdyby nie entuzjazm, przy dzisiejszym rozbiciu głów wszystkich na pojedyncze fantazje lub filozoficzne systemata, człowiek by chyba zwątpił o słowach ewangelii, o szczęściu, o wszystkim. Nad potopem naszych cnót i wyobrażeń to jedyna tęczą Boża, która rozprysnięte uczucia spromienić może w jeden objaw światła i piękna. Gdziekolwiek teraz jesteście, Leonie – wyzuj się z ciasnej niewłaściwego rozsądku powłoki, Kochaj, ciesz się, płacz i unosz zachwytem według natchnienia chwili obecnej – bo ja ci powiadam, że masz czyste i prawe instynkta; co ukochasz, dobrym będzie, co cię rozraduje, to ci siłą i wspomnieniem w życiu pozostanie; nad czym zapłaczesz, to prędzej przed siebie usuniesz. Nad czym się uniesiesz i zachwycisz, to łatwiej spełnisz i wcześniej osiągniesz. Koteryjne opinie, towarzyskie przesady nie mogą być dla ciebie prawem, młody atleto; twoją powinnością jest właśnie, abyś walczył z nimi. Nie ciśnij się między starców zgrzybiałych, nie przyswajaj sobie języka ludzi doświadczonych, nie siej tak skąpą ręką na glebie twojej przyszłości, aby lada ustąpienie wyprosić, lada pochwałę uzyskać, lada ziameczko drobne wypielegnować. To się na nic nie przyda, Leonie. Uszanuj starców, bo oni kiedyś młodymi byli, lecz żyj godziną wiosny życia twojego, by ciebie kiedyś uszanowano za to. Radź się ludzi doświadczonych, lecz pamiętaj, że doświadczenie jest zbiorową mądrością całej przeszłości, z wyłączeniem teraźniejszego momentu; pamiętaj, że doświadczenie ma sąd i pojęcie na wszystko, co się stało, tylko nie ma pojęcia na to, co się w tobie dzieje; a gdy siał będziesz, rozsiewco ostrożny – nie lękaj się pełną garścią śmiałych życzeń przed siebie rzucić; i tak za ledwie setne ziarno się przyjmie, jeżeli mało do ręki ich weźmiesz – po długich słotach i po wichrach mroźnych, cóż się na gruncie zostanie? Bóg z tobą, Metodysto! z tobą uśmiech twej kochanki i złoto twego zarobku, i szczęście twego marzenia – a od ciebie precz szatany, precz obłuda i nieśmiałość, precz ascetyzm i rachunki!

O Edmundzie „Mistyku” nasza Emilka tak mówiła zawsze:

– Mój Boże! jacy to ludzie są niesprawiedliwi! Czego oni chcą od tego chłopca? Wyrysował im tyle ślicznych obrazków, wypowiedział tyle ślicznych myśli, a oni koniecznie zapędzają go jeszcze do innej roboty – łaja o niepraktyczność i próżniactwo. Przecież trzeba poprzestać na tym, co kto przyniesie, szczególnie gdy jest daleko więcej takich, co nic nie przynoszą, a nawet i takich, co wynoszą ze wspólnej towarzystwa skarby. Lecz, jak widzę, towarzystwo rozkaprysiło się teraz. Przyjdzie człowiek z sercem, to go pyta: a masz ty talent? –

przyjdzie człowiek z talentem, to nań woła: a masz ty serce? – i tak ciągle wymagania tylko.

– Ależ moja Emilciu – rzekłam raz do niej – cóż robić, jeżeli towarzystwu koniecznie ludzi z sercem i talentem trzeba?

– Jeśli trzeba koniecznie – odpowiedziała mi na to – nie wątpij, Gabriello, że ich Pan Bóg ześle; jeżeli zaś nie trzeba koniecznie, tylko towarzystwo uznaje, że takimi być powinni, to ono samo powinno także starać się, aby im drogę ku temu ułatwić: talent otoczyć miłością – to się serce zbudzi, serce wesprzeć ogólnym rozumem – to będzie miało prawdziwego rozumu natchnienia; lecz zawsze wymagać – żądać – cenzurować – to nikogo nie uczy i nikogo nie poprawia.

Tak słusznym uwagom nie przeczyłam wcale, jednakże nie dziwiło mię też bynajmniej, że na Edmunda o czyny wołano. W istocie ten człowiek miał wielką zdolność do rysunków i często nam przynosił charakterystyczne, precyzyjnie określone szkice, miał wielki dar do wymowy i często nam prawił zachwycające rzeczy, lecz poza talentem stał próżny i czczy elegancik, chwiała się giętka i powiewna trzcina. Przewaliliśmy go mistykiem, bo w tym roku właśnie uwierzył w duchy, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym heglistą; na przyszłą wiosnę mógł bardzo rozsądnym człowiekiem się zrobić. Jego miękka i wrażliwa natura z otaczającymi ją żywiołami zawsze się do równowagi układała. Ta własność asymilacji, ta własność przyswajania sobie z na zewnątrz wewnętrznych usposobień i przekonań była w nim nawet zupełnie odrębną oryginalnością. Wymawiano mu ją nieraz, lecz ja się ujmowałam, bo w tym korzyść nasza była – zupełnie jak gdyby co kilka miesięcy przychodził nam kto czytać nową, a zawsze pięknym stylem napisaną książkę.

Teofil zwał się w gronie naszym „Dzieciakiem”, nie dla wieku, bo starszym był od innych, ale dla niekarnej prostoty swego ułożenia. Rozpierał się na wszystkich stołach, rozkładał na wszystkich kanapach, głośno krzyczał, kiedy mówił, lubił ciastka i cukierki, bawił się puszczonego balonem i złapaną pod szklankę muchą – a przy tym wszystkim, lub raczej jakby na odpokutowanie tego wszystkiego, rozmiłował się w najstarszej, najcudniejszej, najcięższej nauce – w numizmatyce. Za jeden ugrynszpaniony pieniążek byłby całe godziny spokojnie i prosto jak panienka na krześle siedział – po jeden rzadszy medalik byłby z narażeniem wolności i życia najniebezpieczniejsze odbywał drogi – a tak szanował dokładność zbiorów, tak artystycznie kochał swój przedmiot, że raz dla uzupełnienia bogatszej jakiejś kolekcji sam się z bardzo

ciekawego ogołocił egzemplarza. Tytuł Teofila w uczonym, powierzchowność zaś jego w towarzyskim świecie były to dwie najuciesznij-sze sprzeczności, mogłabym nawet powiedzieć, że to była jedna żywa szarada, której prawdziwego słowa wiele osób odgadnąć nie umiało. Jedni posądжали o udawanie, drudzy o rubaszość, a tymczasem to był dzieciak i numizmatyk; w przydatku, to było także najlepsze, najpo-cziwsze serce. Mogłeś mu zabrać płaszcz i zegarek, czas i wesołość – mogłeś od niego żądać dobrej rady, przysługi, kurs mającej monety, bylebyś starożytnej nie rozrzucił – to wszystko ci oddał, wszystko zro-bił, choć czasem według humoru mniej więcej pogrymasił sobie. Mimo tak niezaczepnej z pozoru natury, miał jednak Teofil bardzo licznych nieprzyjaciół – zwyczajnie jak dziecko, i do tego trochę zepsute a bar-dzo gadatliwe dziecko, zawsze każdemu wypowiedział wszystko, co mu do myśli przychodziło – że zaś był dowcipny, psotny i pełno róż-nych ludzi spotykał, więc mu do myśli przychodziły różne koncepta o głupstwie, próżności, nieszczerym ugrzecznieniu, zabawnej intrydze – ot tak sobie dla śmiechu – a słuchający obrażali się często. Jednak Teo-fil nikomu nie szkodził – jemu okropnie szkodzono.

Beniamin ze wszystkich znajomych najpóźniej do naszego grona się przyłączył – jego też przezwiska nie miały umysłowego znaczenia, tylko się do zewnętrznych stosowały okoliczności. Wołaliśmy nań:

„Humboldcie” – dlatego, że dalekie odprawił podróże; „Łysy” dla-tego, że już wyłysiał okropnie. Teofil pierwszy nam go przyprowadził, zapoznali się z sobą u jakiegoś antykwariusza, przy jakiejś numizma-tycznej ciekawości, później różne zdarzenia coraz ich więcej zbliżały, a na koniec jednego wieczoru Teofil stawił go w naszym kółku z tym poleceniem, że to jest człowiek, który najbieglej czyta przytarte greckich medalów napisy i najodważniej broni szarpanej swoich przyjaciół sławy. Jedno i drugie prawdą było – jednego i drugiego sam Teofil do-świadczył, znalazło się też zaraz dla Beniamina miejsce przy ulubio-nym naszym kominku. Gawędki wieczorne wzbogaciły się różnymi szczegółami o Hiszpanii, Włoszech, Turcji, Persji, Egipcie. Beniamin ślicznie opowiadał, a nade wszystko z niezwykłą dla podróżników skromnością. Prawie nigdy siebie na scenę nie wprowadzał. Rzadko kiedy wspominał: „Ja tam byłem, ja to widziałem”. – Gdy mu przyszło opisywać miejsce lub zwyczaje, zdawać się mogło niejednemu, że tyl-ko dzieł cudzych najpierwsze przytacza wyjątki – wszelka indywidual-ność spostrzegacza niktęła, rozwijały się obrazy po obrazach z dagero-typową dokładnością przedstawione. Widać w nich było cień każdego

listeczka, źdźbło trawy najmniejsze, grę promieni słonecznych, obłoczne fantasmagorie, więcej nawet, w nich było słyhać zmieszane głosy natury i ryk zwierząt drapieżnych, tajemne brzęczenie muszek nad sławnymi wodami, i świergotanie ptaszka w sławnych rozwalinach, i pieśń młodej dziewczyny przy zapomnianym grobie, i wszystko – wszystko – prócz echa doznanych wrażeń. Beniamin nigdy swojej powieści liryką nie dopełnił. Felicja najpierw zrobiła tę uwagę – jej sąd o łysym Humboldcie był dosyć surowym nawet. Nie mogła mu przebaczyć, że jak w opowiadaniu ze szczegółów przedmiotowych osobistość jego choćby na ich uzupełnienie wybić się nie umiała, tak w życiu rzeczywistym on nie umiał z pełnienia cnót obowiązkowych wznieść siły swego ducha do twórczych natchnień i działań. Ten brak inicjatywy, rzutkości, pierworządztwa wypadków i zdarzeń obok niezaprzeczenie wyższych zdolności tłumaczył się Felicji pewną dozą lenistwa jedynie, a lenistwo było w przekonaniu Felicji najcięższym terażniejszości grzechem. Co do mnie, szczerze wyznaję, że daleko pochlebniejsze tworzyłam sobie o nowym naszym przyjacielu wnioski. Z jego pięknych, lubo nieco przywiędłych już rysów czytałam historię głębokich myśli, stłumionych gwałtownie uczuć, trudnych a wytrwale dokonanych przedsięwzięć. Byłabym ręczyła nawet, że jego martwa spokojność jest siłą męskiego charakteru – jego mierność ukrytą wyższością – jego lenistwo, jak mówiła Felicja, środkiem tylko pewniejszego spełniania nie docieczonych jeszcze przez nas widoków i zamiarów. – Czym zaś było to wszystko? Zobaczycie. – Beniamin własną biografią rozpoczął zbiór swych powieści, które nam się przez całą zimę snuły potem wśród rozmów i ustępów ufnej przyjaźni pożycia.

Raz pamiętam, było to w grudniu – czas na dworze szkaradny, wszystkie wichry odśpiewały jakieś przeraźliwe requiem uwiniętej w śniegową płachtę ziemi, a mowę płachtę nie opone, bo śnieg gruntu nie przykrył zupełnie, bo leżał w szmatach brudnych, podartych, tu i ówdzie rozrzuconych, tak że biedna owa ziemia strupiałych członków swoich jak cyganka-żebaczka nie miała w co otulić. Nam przecie musiało być dobrze i miło jednym z drugimi, kiedyśmy się pomimo zimna i błota wszyscy z różnych stron miasta przy kominku u Emilii zgromadzili. Gawędka szła poważnie, biegła szalenie, skakała wesoło, aż na koniec zahaczyła się o przedmiot niewyczerpany, odwieczny, o miłość. Prześladowano Edmunda jakąś bardzo piękną panią, on się wypierał – ja bez myśli rzuciłam uwagę, że dziwnym obyczajem, wszyscy zakochani kryją się z miłością swoją jak z grzechem.

– Jak z grzechem? co za przyrównanie – podchwyciła Augusta – jak ze skarbem, jak ze stukaratowym diamentem znalezionym w kopalniach, gdzie inni ledwie po trudach największych maleńkie ziarnka świecące znajdują. Gdyby dojrzeli twego bogactwa, ich zazdrość by się zbudziła, gdyby dojrzeli twego brylantu, ich niedowiarstwo by się odezwało i może dla próby roznieciliby wielki ogień i tak długo w ogniu ciekawy kamień trzymali, aż kamień by się na nicość przepalił.

– Ja bym ci jednak, Augusto, nie życzyła takiego znaleźnego – odezwała się Tekla.

– A to czemu?

– Bo niebezpiecznie.

– Ej! co tam niebezpieczeństwo! A szczęście, moja droga? Dajcie mi, dajcie chwilę miłości! Świat taki nudny, zamierzchły, zbłocony. Każda godzina w życiu pracą ciężką, obowiązkiem, nałogiem – jutro podobne do dnia wczorajszego, a dzień wczorajszy taki sam, jak nieznośne dzisiaj. Muszę myśleć: dwa a dwa cztery. Suknia wełniana czy jedwabna? Obiad spóźniony czy wczesny? Ubogi głodny czy pijany? Gość nowo przybyły zły czy głupi? – Muszę myśleć w te wszystkie szkaradne, obrzydliwe słowa. Miłości! ach miłości!

– Haczczysu! ach! haczczysu! – przedrzeźniała ją Felicja.

– Zbyt wyszukany środek – po prostu kieliszka tęgiej wódki! i to może wystarczyć – przydała Seweryna.

– Nie bluźnijcie, kobiety! – ujął się Edmund. – Augusta ma słuszność, bez miłości świat nudny i brudny. Miłość mówi: ja jestem przedwiecznością w początku, trwaniem w nieskończoności, jasnością w świetle, tchnieniem w powietrzu, wonnością w kwiecie, szczytem w nieskończoności, dźwiękiem w głosie, widzeniem we wzroku, radością w szczęściu, mądrością w rozumie, wdziękiem w piękności, a potęgą w sile. Ja jestem, która jestem!

– Ja jestem bóstwo indyjskie i wyznanie Brahmy – dokończył żartobliwie Albert, który z nas wszystkich najlepiej znał ten ustęp, rzeczywiście z ksiąg indyjskich przerobiony trochę.

– Zaraz widać niechrześcijańskie zastosowanie – odezwała się Anna – bo juściż miłość jest tym wszystkim, czym się być przez usta Edmunda mieniła, tylko uczucie zjednostkowane, którego sobie Augusta dla rozrywki życzy, nie jest całą miłością; jest w miłości jednym promieniem, w mądrości jedną prawdą.

– Bogdajby chociaż i tym było! – wątpięcym głosem znowu pomruknął Leon.

- Czy wątpisz? – zagadnęła Jadwiga.
- Nie widziałem – krótko jej odpowiedział.
- Jak to nie widziałeś? – spytała żywiej nieco. – Przypomnij sobie tylko, czy nigdy nie widziałeś ludzi młodych, szczęśliwych podzielnym uczuciem, a przez to samo śmielszych w dobrym, szlachetniejszych w pomysłach, pracowitszych w obranym zawodzie.
- Widziałem tylko ludzi, którym podzielane uczucie nie stawało na przeszkodzie do tego wszystkiego.
- Dajcie teraz pokój Leonowi – rzekła wesoło Augusta – już on czuje, że wielką niedorzeczność powiedział, to najuparciej bronić jej będzie.
- Przepraszam, moje panie, ani oporu, ani niedorzeczności w tym nie ma. Bardzo łatwo arytmetycznie tego paniom dowiodę. Proszę tylko sumiennie obliczyć, ile znacie ludzi zakochanych, którzy się na nic nie zdadzą, ilu takich, którzy się przez miłość z poświęcenia w samolubstwo ześliznęli, ilu takich, którzy z miłością w dobrym wytrwali? Porównajcie sumy ogólne i wyrzeczcie dopiero, czy ja zbłądziłem bardzo, gdym mówił, że tylko kilku wybranym przeszkodą w życiu nie stanęła.
- Ale im za to stanęła pomocą tak wielką! – odezwała się Jadwiga.
- Przypuszczenia to nie moja rzecz, ja tylko fakta zapisuję – lecz jeżeli i mnie wolno pójść drogą wnioskowań, czemuż nie mam sobie powiedzieć, że gdyby nie ta słabostka jedyna, ludzie wybrani byłiby zupełnie świętymi ludźmi – apostołowie przecież żon i kochanek nie mieli.
- Bo to łatwiej zostać świętym bez żony jak z żoną – zakrzyczał wyciągnięty na kobiercu Teofil.
- Ale co łatwiejsze, to mniej piękne – rzekł znowu Edmund.
- Słusznie mówisz – odezwał się Henryk – co łatwiejsze, to mniej piękne, a co mniej piękne, to mniej prawdziwe także. Wielka mi cnota wyrzeczenie się wszystkiego – jeszcze za życia ucieknę z ziemi, to po śmierci wprost trafię do nieba. Ja bym niebo zamknął przed takimi tchórzami. Idź, żyj na świecie, garnij wszystko do piersi swojej, wszystko myślą uświęcaj, to ci otworzę, będziesz miał zbawienie – ale tak odartego, nagiego nie wpuszczę. Z waszą teorią o świętości wy z niej jakąś klasztorną regułę dla kawalerów mieczowych zrobicie. Ja chcę, żeby świętość była całej ludzkości zakonem – żeby świętością żył człowiek najzwyczajniejszy, a nie ten tylko, który w nienaturalnych, wymuszonych rozwija się warunkach – ja chcę...

– Bardzo to jest łaskawie z twojej strony, że powiadasz „ja chcę!” a nie „tak jest już” – przerwał mu Leon.

– Mylisz się – co ja chcę, to już tak jest – albo w potrzebie czasu, albo w mojej duszy. Ja się kocham szalenie, a nic mi to w naukach nie przeszkadza. Ja będę miał żonę i dzieci, a nigdy bliźniemu pomocy nie odmówię, z kolegami młodości mojej też same wzajemnej uczynności i przyjaźni zachowam stosunki – ja kupię dobra i założę fabryki, a dlatego po sławę i wiedzę z kapitanem Ross lub Parry choćby do samego bieguna wśród lodów się przedrę – ja sobie sprawię ucztę szaloną i na aksamitach, złotych i atlasach, jak Teofil na tym dywanie, przeciągać się będę, a gdy przyjdzie potrzeba, to wszystko rozdaję ubogim, to dla każdego z was będę biegał po gorszym niż dzisiejsze błocie, będę marznął na zimniejszym, niż ten, co słyszycie, wicherze. Jeszcze by też, moi trapiści, tego tylko brakowało, żeby szlachetność, dobroczynność. bezinteresowność zrobić wyłącznym celibatu przywilejem. No, to niech śpią w egoizmie swoim wszyscy ojcowie rodzin i żonaci obywatele – niech was nawet oszukują, niech was krzywdzą. Sakrament małżeństwa według naszego zdania zupełnie im daje do tego prawo.

– Hej! Galop! galop! galop! – z głośnym śmiechem zawołał Teofil.

– Istotnie przegalopowałeś trochę – powtórzyła za Teofilem Emilia.

– Rodzinne stosunki nikogo od poczciwości nie uwalniają; Leon tylko chciał powiedzieć, że do cnót nadzwyczajnych, do poświęcenia i wspaniałości mniej zdatnymi nas czynią.

– Co wy gadacie o cnotach nadzwyczajnych? – z oburzeniem odrzekł Henryk. – Co to są cnoty nadzwyczajne? Jeśli te, które się rzadko widują, to wszystko od razu – bo ja ani rzetelności w codziennych sprawach, ani wzajemnego przywiązania w rodzinach, ani przykładnego pożycia w małżeństwach, ani ładu i pilności w gospodarstwach nie spotkam dziś „zwyczajnie” – wszelkie dobro jest nadzwyczajnym – lecz jeśli przez nadzwyczajne cnoty chcesz jakieś „nadnaturalne” cnoty rozumieć, to się źle wyraziłaś, Emilio, takich cnót nie ma wcale, każda cnota jest naturalną każdemu człowiekowi, każda cnota jest powinnością każdego człowieka.

– Górą Henryk! – przyklasnęła Augusta.

– Za sto lat – dokończył Leon.

– Ja widzę, nie zrozumiecie się nigdy – rzekł Albert poważnie – pomieszaliście wszystko razem, ten o tym, a ta o tym prawi. Najpierw podziękujcie Annie, że stanowiąc rozróżnienie między miłością ogólną a jednostkową, oszczędziła wam wiele niedorzeczności – później

podziękujcie mnie, że wam dalszych oszczędzę, dalsze różnice przypominając. Nazywacie miłością wszelką wyłączną skłonność osoby ku osobie – pamiętajcież, że i ta miłość jeszcze potrzebuje właściwego określenia. Jest miłość kochanie – jest miłość namiętność – jest miłość fantazja. Pierwsza tłumaczy się w życiu świętością, druga nieszczęściem, trzecia grzechem – o którejże z nich mowa?

– Jak filozof ze swoim „distinguo” się odezwie, to ja już nic po nim mówić nie chcę – odpowiedziała Augusta.

– Dlaczego? – zagadnęła Seweryna. – Czy doprawdy żadnego „distinguo” nie przyjmujesz? wszystko weźmiesz od razu? świętość, nieszczęście i grzech?

– Co to jest nieszczęście i grzech? To wasze rozumowane przesady i złość wasza tylko. Prawda, że często są nieszczęśliwi ci, co kochają, i często grzeszni są nawet, ale dlaczego? bo gdy ich zewnątrz tysiąc oplata niechęci, tysiące rozdrażni pocisków, to muszą w końcu cierpieć i grzeszyć. Ich grzech będzie jednak przypadłością obcą zupełnie naturze uczucia, będzie może wynikiem innych wad i zbroczeń, uczucie samo w sobie będzie zawsze cnotą. Włoch, który w chwili zazdrości morduje swego współzawodnika, córka, która dla kochanka potajemnie dom rodzicielski opuszcza, żona, która zdradza męża – popełniają okropne występki, pełnym sercem naczerpują w życie nieszczęścia i grzechu, ale naczerpują z postronnych okoliczności – błędzą postronną ujemnością swego charakteru; jedyną chwilą prawdy, jedyną może odkupienia chwilą jest dla nich właśnie szczerzej miłości chwila.

– Zdaje mi się, Augusto, że twoje ostatnie „distinguo” jeszcze subtelniejsze jak różnicowy podział Alberta – rzekła Seweryna.

– Moi państwo, na czymże stanie? – odezwał się wtedy. – Uchwalcież co stanowczego, abym z pewnością wiedzieć mogła, czy od dzisiejszego dnia będzie wolno kochać się, czy nie?

– No, dalej – zawołał Teofil – zbierajcie głosy; idzie tu o emancypację miłości – kto za i kto przeciw – ty sama, Gabriello, głos pierwszy.

– Przecież wam trzeba kogoś, co by przyjął ustawę – ja będę gminem waszym, ty zaś, Teofilu, jako dzieciak rozpocząć musisz. Wszakże w senatorskich naradach najmłodszy najpierw się odzywają. Między nami nie ma nikogo, co by był od „Dzieciaka” młodszy. Spiesz się więc, rzucaj gałkę.

– Rzucam jak śnieg bieluteńką. Na cześć miłości tyle prześlicznych wybito medali, że to musi być godne wiekopomnej chwały uczucie.

– A teraz w koło, sąsiadko Emilio!

– Emilia przyjęła wniosek, lecz z poprawką Alberta. Inni mniej więcej swoje własne dorzucali zastrzeżenia – na dwóch skrajnych zostali: Seweryna z Leonem i Augusta z Henrykiem.

– Co to znaczy, Humboldcie? – rzekłam, zwracając się ku siedzącemu w kącie pokoju Benjaminowi. – Co to znaczy? Przy tak ważnej naradzie jeszcze nie wystąpiłeś ze swego milczenia. Większość stanowcza się zebrała wprawdzie, ale twój głos mógłby nam zapewne wiele nowych rzeczy dopowiedzieć, mógłby stanowisko rzuconej wątpliwości rozjaśnić. Spróbuj, może odciagniesz stąd lub zowad stronników?

– Dajcie mi pokój, mnie się nie chce mówić – krótkim, przerywanym głosem odpowiedział zagadniony.

– Byłam pewna tego – rzekła wtenczas Felicja – gdybyście się go poradzili o cudze względem miłości zdanie, przytoczyłyby wam wszy-skie prawa i aforyzmy wszystkich znakomitych mędrców i poetów, od Konfucjusza aż do najnowszego kodeksu, od Salomona aż do Jerzego Sand, powiedziałby wam, jakie w tej mierze mają wyobrażenia Turcy, jakie Indianie, jakie Hotentoci, jakie Grecy, ale mu się nie chce powiedzieć, jakie on ma sam.

– Czemużby mi się nie chciało powiedzieć? Rzecz łatwa przecież, ja sam nie mam żadnego, ale mnie też nie chodziło o powiedzenie tego zdania, mnie po prostu mówić się nie chciało.

– Często jakoś zapadasz na ową przeklętą chorobę milczenia.

– Po co ty mu się zawsze sprzeciwiasz, Felicjo? on może naprawdę jest chory – ujęła się Emilka.

– Albo leniwy – pierwsza znów odparła.

– Nie chory i nie leniwy – rzekł Benjamin. – Mówić mi się nie chce, bo wiatr wieje, a ogień na kominku się pali.

– Dziwny jednego z drugim stosunek – podchwyciła Felicja.

– Ja nic w nim dziwnego nie znajduję – odezwała się Anna – powietrzna za oknem muzyka i te płomienne ognia poskoki mogą duszę w stan jakiegoś błogiego rozmarzenia wprowadzić, drętwiejemy wtedy na zewnątrz i myśl nasza śni sobie snem ciągłym a pamiętanym.

– Na nieszczęście nie mogę w całości przyjąć tego usprawiedliwienia – rzekł Benjamin. – Mam odrętwienie, ale snu pamiętanego nie mam... Ot! powiem państwu prawdę – chorobliwe dziwactwo, nic więcej, napadło mnie, już trzeci rok temu będzie – wskutek osobliwego wypadku.

– Co za szkoda, że dzisiaj przystąpił paroksyzm, byłbyś nam ten wypadek opowiedział – rzekła Augusta.

– Teraz już bym mógł opowiedzieć, już się rozgadałem, to mi i przeszło, ale historia za długa.

– Ja tak lubię historie za długie – prosiłam bardzo pokornym głosem.

– Historie! historie! – zaczął się napierać Teofil.

– Jeszcze was muszę przestrzec, że to cała moja biografia.

– Biografia! Biografia! – wołaliśmy za przykładem Teofila.

– No, to zaczekajcie, muszę sobie wszystko od początku przypomnieć.

I na chwilę Benjamin twarz ukrył w obie ręce łokciami na kolanach wsparte i zdawał się dumać głęboko – a my wszyscy rozsunęliśmy się tak szerokim kołem, że z dala dotychczas siedzący, stał się niby najważniejszym jego ogniwem. Emilia kilka suchych drewek dorzuciła, płomień buchnął żywszym blaskiem i gdy na koniec wzniesioną głowę Beniamina oświecił, zdawało się przez dziwne optyki złudzenie, że głowa ta rozjaśniała młodością, rozblysnęła szczęściem.

W pierwszej chwili nawet tak nią potrząsnął wdzięcznie i żwawo, jak gdyby z przywyknienia chciał utraconych włosów odrzucić pierścienie, ale prędko spostrzegł pomyłkę, roześmiał się, pogładził łysinę i tak mówić zaczął.

1.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną oazę w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą a szczęśliwą. W tej rodzinie, lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszym świetle księżyca pełnią swoją rozświecającą najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecko płci męskiej, dziewiąte z kolei – a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte z taką radością, takim błogosławieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku – lecz nie, błuznierstwem jest to porównanie, dziecko przyjęte taką miłością, jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone; – tym dziecięciem ja byłem. Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zacieżyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile przymusowej cichości, narzuconego rozsądku, uskąpionych pieśczęt, ani matki, że z danym życiem jej życia się ujmie, że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają, ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu sił i spokoju już nie wystarczy – dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było.

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. Jeden z braci na niespodziankę uplótł zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie pocziwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym. – „Oto człowiek świata się narodził”, rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł co prędzej do żony swojej, pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł, aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodczy jaśniejąca radością, z nowo narodzonym przy boku nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. Przez długi czas nie miałem imienia: zwano mię tylko maleńkim – synkiem – pieszczotką, a narady odbywały się długie, jak zwać miano na później. Teresa, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historię synów Jakubowych, tak się rozmiłowała w małym Beniaminku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę, dziewczynka, siedząca w tej chwili nad kołyską, uroczyście, wzniosła swój paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem:

– Ty, maleńki, będziesz Beniaminkiem.

Od tej chwili nadano mi imię Beniamina. Pocziwa Teresa! Zapomniano jej powiedzieć, że Beniamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni to znaczy „syn boleści”, a matka moja, rodzeństwo moje pochwyliło wyraz dziecięcia, bo im do serca przypadał, a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatera, jego ideału wśród sławnych mężów – Franklina. Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważeniu tych stosunków tajemnych, a zawsze logicznych, które upodobania i różne sympatie człowieka z treścią jego własnej natury łączą. Co do mnie, taki mam – w tym względzie przynajmniej – niechybny instynkt, że raz, gdy w galerii Luwru widział pięknego młodego człowieka, jak się długo i z najspokojniejszym obliczem zatrzymał przed Katonem Velasquez'a, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera – powiedziałem zaraz: to zły człowiek i – i sprawdziły się słowa moje – ten człowiek był anatomem ludzkiego serca; spotkałem go później na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu – na moje sumienie mierząc – obwinionemu niewinnie. Lecz wracając do osobistej biografii, już wiecie pod jakim wpływem, w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię – zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych, a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tym ciepłe uczuć, w tej pogodzie szczęścia, jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej – oh! gdybym mógł pamiętać! – ale ja nic, nic nie pamiętam – a jednak to było już życie moje, to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi

ducha mego i stał mi się tym, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. Każdy mnie kochał, ja się ocknałem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, pije – przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz nie dosyć na tym – ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystko w różnych objawach, w różnych jej kształtach – a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów – każdy coś kochał na swoją własność szczególną – tylko bierzcie to w dosłownym znaczeniu: kochał, nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada, a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawą się trudnił, a moja siostra Ludwinia kochała wodę bieżącą i kwiaty nie zerwane, a mój brat Karol kochał psy, konia i strzelbę swoją dwururkę, a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, a mój brat Cyprian kochał obrazy, a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi – i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Najdawniejszy obrazek, w którym Julcię pamiętam, to jakaś ławeczka drewniana pod otwartym oknem. Dzień był bardzo jakiś ciepły niby, ale taki pochmurny, jak gdyby kto ołowiu po niebie rozlał. Julcia nad szyciem schylona śpiewała taką rzewną, takich przeciągłych a coraz smętniejszych tonów piosnkę, że widać nie mogły się w ciężkim rozpląnąć powietrzu, tylko mi wszystkie, siedzącemu przy jej nogach, o piersi się odbijały i zacząłem płakać. Julcia spojrzała na mnie – przez chwilę umilkła, lecz w tym milczeniu mój płacz, cichy zrazu, wybuchnął prawdziwej boleści łkaniem, wtedy siostra przytuliła mi głowę do kolan swoich, upieściła gładzącą włosy ręką i znowu śpiewać zaczęła, a ja znowu zacząłem cichuteczko płakać i było mi z tymi łzami tak dobrze, tak miło, jak nigdy z podarowanym przez starą piastunkę ptaszkiem – wesołą makolągwą – co do mnie w klateczce na każdy widok skrzydełkami trzepotała.

Adama pamiętam najpierw, wchodzącego do pokoju z jakąś białą, białą ubraną dziewczynką.

– Kto to jest? – spytałem go.

– To siostrzyczka wasza – odpowiedział z uśmiechem.

– Nasza siostrzyczka, Adasiu? – powtórzyłem zdziwiony. – A czemu ja jej nie znam, gdzie ona była?

– Ośmnaście lat temu była w niebie jeszcze! Gdy zaś z niedowierzaniem patrzyłem to na niego, to na nią: – W niebie – rzekł znowu – spojrzij tylko w oczy tej siostrzyczce, widzisz, jaki to szafir jasny i czysty, czyż w dzień najpogodniejszego niebo inne bywa?

Spojrzałem, dziewczynka zarumieniła się i głośno rozśmiała, ja wykrzyknąłem z radością.

– Ach prawda, takie same, Adasiu, jak oczy naszej siostrzyczki.

– Nigdy nie mów naszej do mnie, Beniaminku, bo to twoja i wasza siostrzyczka, ale nie moja – pamiętaj, że nie moja.

– To ty biedny, Adasiu, że masz mniej od nas jedną siostrzyczkę.

– Czy ja biedny? – spytał brat, odwracając się do białej dziewczynki z uśmiechem, choć mu słowa na ustach drżały. Dziewczynka owinęła się prawie jak kwiatek ślazowy koło ręki mego brata – głowę miała spuszczoną, a jednak bez namysłu, pewniejszym daleko niż głos pytającego głosem, odpowiedziała mu prędko:

– Nie, ty nie biedny, ty bardzo bogaty, Adamie.

– Ja szczęśliwy – przydał, jak gdzieś na dnie serca wymówionym słowem, i nie wiem czemu, wziął mię na rękę, a uścisnął tak tkliwym, tak drżącym, gdy dziś o nim myślę, to mi wolno powiedzieć – tak namiętnym uściskiem, że go nawet spytać zapomniałem o wytłumaczenie dla mnie zupełnie niezrozumiałych wyrazów. Później – nawet niedługo – pojąłem całą świętość ich znaczenia. W naszej rodzinie miłość nie była ani tajemnicą towarzystw salonowych przyzwoitości, ani zgorznięciem przed okiem dzieci bacznie ukrywanym. U nas miłość to szczęście życia. Ta najpiękniejsza prawda boża szła z podniesionym dumnie czołem wśród spółczucia, wśród skromnego uszanowania i uznania serc życzliwie przyjaznych. Raz, kiedy po przeczytaniu przez Walerię poezji Bohdana Adaś zbliżył się do niej i wzięwszy w obie ręce ową złotowłosą główkę w same nieco otwarte usta pocałował, kiedy Waleria od czoła po ramiona tym całunkiem zakraśniała, kiedy mimowolnym rzutem przechyliła się ku siedzącej obok niej matce mojej i skryła się jak ptaszek w jej objęciu – toć ja dobrze dziś pamiętam jeszcze, nikt z nas się nie uśmiechnął nawet, nikt żartem chwili szczęścia kochanków nie rozstroił; matka tylko Adasiowi znak dała, żeby się schylił ku niej, i trzymając ciągle Walerkę do łona przyciśniętą, na głowie schylonego tkliwy, jakby powierzony tylko, a święty jak błogosławieństwo, z głębi własnej piersi wyciągnięty złożyła pocałunek.

Józefa najstalszym przypomnieniem widzę wśród żniwiarzy na polu. Śmieje się, snopki wiąże, na wyładowanych zbożem wozach z for-

nalami się ściga, a na jeden ładowany mnie winduje i ja siedzę przy nim jakoby na tronie, a on mi pokazuje ziemię, królestwo wszechludzi, przyszłe państwo moje, które ja prawem natury odziedziczę, a w którym pracą rządzić będę, i nazywa mi wszystko ślicznymi słowy – żyto srebrem, pszenicę złotem, czerwieniejącą tatarkę purpurą; a ja mu wierzę, że to jest właściwie srebro, złoto, purpura, że innych nie ma w świecie. Józio po drodze zrywa dla mnie ukoralone już gałęzie jarzębiny, którą na kilka staj rodzice wysadzili gościniec – ja sam trzymam pęki zbieranych modraków, kąkoli, bratków, kłosów dojrzałych żyta, niedojrzałych owsa i mieszam te białe i te zielone kity w różnych zastosowaniach – to między grona jarzębiny, to między modraków równianki – i czuję, że mam wszystko, że natura w korzyściach, w piękności swojej, natura cała, natura zawsze moją. Tylko sobie słowami tego nie mówię, ale uczuciem, czynem, chwilą w życiu mam.

Ludwinę moją, najmniej ładną, najcichszą, najteśkniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. Przy końcu naszego sadu, za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka, bezimienna, wąska, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a czysta, a żwirem drobnuteńkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna różnokolorowe – nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwinia tuż przy brzegu, przygięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać, a woda odbitą kołysała równie, ciągle, spokojnie jak do snu. Zmęczony bieganiami, przykłępiem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne krople.

– Nie budź mnie, Beniaminku – szepnęła tylko siostra i to tak cichutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

– Czy ty śpisz, Ludwinko? – spytałem.

– Śpię, śpię, braciszku – odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem, że oczy, choć ku wodzie spuszczone, nie zamknięte, niezaspane były.

– Oh! żartujesz – zawołałem z pustotą i uderzyłem jeszcze mocniej, aż się cała nadbrzeżna woda zmaciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

– Obudziłeś mię – rzekła bardzo, bardzo smutnie i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem: przykrość temu, co już cierpiał.

– Ale kiedyś ty nie spała – rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie. – Tyś nie spała, Ludwinko – dodałem w prośbę. Siostra nic mi nie

odrzekła na to, tylko mię nieledwie wzięła na ręce i pochyliwszy się wraz ze mną, na uspokojoną wodę lekko palcem wskazała. Zobaczyłem siebie i Ludwinę. Jak zwierciadełko zabawił mnie ten obrazek, lecz z wolna, im dłużej w niego patrzyłem, tym zupełnie ogarniała mię jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silnie w jednymże utrzymanie wygięciu – była to raczej senność mojego odbicia, jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy, bez zmiany. Ale na błękitnym tle nieba, którego barwą rzeczka jakby własnym swoim kolorem płynęła, tuż nad naszymi głowami właśnie osunął się odłamek srebrnego obłoczka i przerwał jedność widzenia – zaraz pobiegły za nim oczy moje dziecinne, lecz obłoczek i na niebie i w rzeczce gdzieś zginął.

– A gdzie on, gdzie on, Ludwiko? Ludwika nie patrzyła za obłoczkiem, jednak widziała jego przejście i zrozumiała pytanie.

– Daleko – odpowiedziała mi tak jak pierwej, szepnięciem jedynie.

– Gdzie to jest „daleko”, moja Ludwiko? – ja nie wiem, gdzie to jest „daleko”.

Ludwinka zamyśliła się, czy nad sposobem wytłumaczenia, czy nad treścią wyrazu, nie wiem – po chwili wstrząsnęła główką, jakby resztę uśpienia lub resztę wrażeń z czoła odpaść jej przez to miało i rzekła nieco wyraźniejszym, ale zawsze tak stłumionym jak przy zwierzeniu tajemnicy głosem:

– Pytasz? Pytasz mię, gdzie jest „daleko”, Beniaminku? Oto patrz – chciej gonić za tą wodą, co tak wolno płynie, nie dogonisz, nie dogonisz – woda ucieka do Sanu, San ucieka do szerokiej Wisły, a Wisła ucieka do głębokiego morza – a morze? ja ci nie powiem, gdzie to jest. Morze daleko. A teraz, tam na końcu tej łączki, widzisz, jak niebo tuż do ziemi przytyka, idź po szafirowy kawałek tego nieba, idź przez łączkę – niebo będzie za polem, idź przez pole – niebo będzie za lasem, idź przez las – niebo będzie znów za łączką, znów za polem, lasem, rzeczką, a gdzie jest niebo? Ja ci tego nie powiem. Niebo jest daleko – daleko. A teraz przynieś tu klatkę z twoją makolągwą, wyżywioną, wypieszczoną przez całą zimę – teraz jest wiosna, Beniaminku, kwiatki kwitną, drzewa się zielenią, ptaszków mnóstwo śpiewa wszędzie. Otwórz klatkę, braciszku, otwórz – zobaczysz, jak makolągwa, co cię kochała, co ci z dłoni ziarnka jadała, z ustek wodę ocukrzoną piła, zobaczysz, jak makolągwa ku wiosnie, ku nowym kwiatom wyleci, a tobie będzie smutno za nią i spytasz może – Ludwinko, gdzie ptaszyna? – a

ja ci tego nie powiem, Beniaminku, bo ptaszyna daleko – oh, daleko! Dalej niż woda rzeki, którą gonisz, dalej niż niebo, którego chcesz dostać, dalej niż życzenie, dalej niż nadzieja, dalej niż podobieństwo – „dalej” jest to, braciszku, co nas w życiu opuszcza, co nas kochać przestaje. – I Ludwinka znów pochyliła się nad wodą rzeki, tylko jej obrazek zadrżał trochę więcej niż przedtem i rozstał się pod dwiema kroplami, które nań spadły po chwili. Obejrzałem się: twarz Ludwiki była bardzo spokojna, ale długie, jasne rzęsy jej siwych oczu świeciły jeszcze czystą łezką ostatnią. Na patrzącego niespokojnie Ludwinka wniosła długie, smutne spojrzenie.

– Beniaminku – rzekła jednak dość wesołym głosem – po co ci pytać, gdzie to jest „daleko” – oto lepiej biegnij się bawić kwiatkami – kwiatki zawsze blisko, a najczęściej nisko rosną braciszku – i lekko zsunęła mię z kolan, lecz ja nie pobiegłem według jej rady, tylko sobie poszedłem brzeżkiem rzeczki i próbowałem, czy też ja się dostanę daleko – do morza albo do nieba. Szedłem, szedłem ciągle, za ogór, za pole i domek nasz z oczu straciłem i gdy mię nóżki boleć zaczęły, gdy przed sobą zobaczyłem las ciemny, nieznany, a końca rzeki nie zobaczyłem, gdy ręką wyciągniętą iglastych krzaków jałowcu się dotknął, a nie dotknął ściany nieba – wtedy dopiero zrozumiałem, co to jest „daleko”, i zrozumiałem, co to jest „kiedyś w przyszłości”.

Ja tam „kiedyś” dojdę, rzekłem sobie, kiedyś, jak starszym będę – i wracałem uspokojony tym zamiarem i po drodze zbierałem kwiatki dla mojej siostry Ludwinki. Uzbieranymi znienacka zasypałem w tymże samym miejscu, tak samo nieruchomie nad wodą siedzącą.

Ludwinka zgromadziła je wszystkie, popatrzyła chwilkę i zwracając się ku mnie:

– Szkoda – rzekła. – Szkoda tylu kwiatków, Beniaminku. Potem wzięła, wybrała co świeższe, co trwalsze, co w ciepłe rąk moich nie zwiędły, i każdy kwiatek kolejno i starannie w wilgotnym piasku nadbrzeża sadzić zaczęła, jak czasem dzieci w swoich sztucznych jednogodzinnych zasadzają ogródkach. – Pomagałem jej w tej pracy, odgadłem ja, dziecię, ją, marzycielkę, kobietę – lub raczej nie odgadłem, uczułem tylko, co ona czuła, i gdy wszystkie zasadziliśmy, kwiateczki świeżością zajaśniały.

– Im tu będzie lepiej – odezwałem się swobodnie – lepiej niż tam, na polu pod skwarem słońca, nawet dłużej będą żyły.

– Ale gdy wędnać przyjdzie, to smutniej zwiędną – odpowiedziała siostra, a ja nie pytałem o słów tych znaczenie: to były także słowa mojego instynktu.

Brata Karola nie przypominam sobie wyłącznym wspomnieniem w pierwszych chwilach mojego dzieciństwa, bo Karol z nas wszystkich najmniej w domu przesiadywał. Przy rozdziale ogólnej gospodarskiej pracy, jemu się część leśna, bardziej domyślną należnością, niż wyraźną ugoda dostała. Może już dziewięć lat miałem, kiedy się pierwszy raz stanowczo osobną w moim życiu wyrzył pamiątką. Zdaje mi się, że go dziś widzę jeszcze: rześki dwudziestoletni chłopak, opalony jak góral, ciemnowłosa, czarnooki, w zielonej, bajowej burce. Świsnął i na świśnięcie poskoczył ku niemu wielki czarny brytan. Karol go dla tej barwy przezwiał Molochem, lecz nieraz żał mu było, że tak najszlachetniejsze, najulubieńsze mu zwierzę czartowskim mianem zbeczczył; chciał mu je zmienić nawet, ale mu w tym Ludwinka przeszkodziła.

– Niechże i Moloch zacznie być dobrym, choćby jako zwierzę tylko – rzekła do niego.

A Karol, jakkolwiek wszystkim dość częsty i dość zwawy stawił opór, to nigdy Ludwince. Ludwinka była jego wybranką, jego najukochańszą z ukochanych, więc też Moloch został Molochem. A był to pies rzadkiej cnoty, rzadkiej siły i odwagi, zadziwiającego instynktu; nigdy nie ukąsił nikogo, lecz kiedy mu się kto nie podobał, to go na ziemię wyrzucił i trzymał go spokojnie, ale mocno, dopóty kto z domowych obronić nie wyszedł. Karol nigdy nie byłby zaufał tak przyjątemu od Molocha gościowi i kiedy chciał o kim powiedzieć, że złym jest człowiekiem, to mawiał zwykle:

– Poterałby go Moloch, oj poterał, jak się należy. – Wspanialszego ani ładniejszego w całym psim rodzie nie widziałem stworzenia; choćby czasem jaki pokojowiec i szczeknął, i rzucił się na niego, to Moloch dumnie tylko machnął ogonem, otrząsnął się jakby z wody lub kurzawy i szedł dalej w niezachwianej powadze swego majestatu. No, nie śmiecie się państwo, że wam tyle o tym Molochu prawię – w całym życiu nie spotkałem podobnemu jemu... człowieka.

– Ha, tak, człowieka nawet – co najsilniejszy, swej siły by nie nadużył. Są silni świętymi, ale najsilniejszy – jeden wśród nich najsilniejszy... może zresztą przypomnieć sobie – ja przypomnieć nie umiem – okropnie w tych latach ostatnich mego życia na pamięci podupałem. Jednak dziwna rzecz, jak wszystko, co dawniej było, wszystkie te najpierwsze obrazy i znam dobrze, i patrzę na nie czystym okiem, i widzę

je dokładnie. Oh, ten ogromny, ten poczciwy Moloch, jak on wybiegł ze swojej budy i swemu panu się radował, gdyż nie użyję na Molocha tego słowa: „łasił”. Moloch się nigdy nie łasił nikomu, Moloch witał, Moloch się cieszył, bawił, albo wywracał na ziemię. Karol przyjął uśmiechem szczerzy objaw Molochowego przywiązania, poklepał go po karku z taką miną, z jaką to czasem oficer żołnierza po ramieniu klepie, kiedy mówi o nim do drugiego oficera: Patrz, to tęgi wiarus. Potem Karol zawołał: Zitta – i ze stajenki naszej wybiegła w podskokach składna jak sarenka, kara jak noc klaczka, prawdziwie tureckiej rasy, już okulbaczona i paśowym pokryta czaprakiem. Tę klaczkę ojciec przypadkowo nabył bardzo tanio, źrebięciem jeszcze, małym i słabym nawet, od wojskowych, kwatery swoje porzucających. Darował ją Karolowi pod warunkiem, żeby on sam na jej utrzymanie zarobił. Ten warunek zbożował mnie później przy narodzinach zupełnie nową kołyską; bo chłopiec, co by za konia był pewnie krwi swej nie pożałował, nie pożałował i czasu. Wyuczył się koszykarstwa, wiązał miotły, spletał słomiane płachty do podłóg sieniowych i w pobliskich miasteczkach przedawał, a co ładniejsze, to nawet do samego Lwowa posyłał. Tym sposobem Zitta miała zawsze pod dostatkiem najwonnieszego siana, najsmaczniejszego obroku, a jak dorosła, to się i siodło znalazło. Spotykały też nieraz Karola i sute w tym względzie wsparcia – na kolebę często po kilka korcy owsa przysypano mu do jego składu, a przed rokiem, w dzień urodzin, przy łóżku śpiącego jeszcze siostry rozwiesiły ów paśowy czaprak, w którym Zittcie tak prześlicznie było. Napoleon, co w paczce czekolady książęcy tytuł Lefebvrowi przesłał, nie zrobił mu pewnie miłszej niespodzianki. – Karol z radości nie mógł przyjść do siebie, bo on po zaporosku swoją Zittę kochał, on ją sam karmił, poił, upiększał, a pewno nie byłby jej sprzedał za wszystkie Galicji i Lodomerii skarby. Zitta była jego czarną orlicą, jego dziką Murzynką, jego zaklętym w konia płomieniem. A było też widzieć, jak Zitta patrzyła na niego swoim zmyślnym, dziwnie połyskliwą białością ode łba odciętym okiem. Jak mu czasem ów łeb na ramieniu z jakąś lubością wschodnią, miękką, wdzięczną a namiętą oparła, jak na głos jego przybiegała z daleka, a posuwisto, a lekko, a chyżo, a doprawdy nie dopatrzyłby człowiek, czy tam ona kopytami ziemi dotknęła się nawet. Oj, Zitta! Zitta! Niedawno śniło mi się o niej i mówcie tam sobie, co chcecie, moi państwo, ja po tym śnie przez cały dzień nazajutrz weselszy i młodszy byłem. Otóż więc we wzmiankowanej chwili moich wspomnień widzę Karola wśród wszystkich jemu najmiłszych

przedmiotów, bo zapomniałem powiedzieć, że miał na plecach swoją dwururkę Augustówkę – fuzja jak cacko – świecąca, leciuchna niby klejnocik kobiety, a pewna, niechybna, jakby sama do celu trafiała; zdawało się, że strzelającemu dość ją było wziąć do ręki i spuścić kurtek, choćby z zamkniętymi oczyma. Karol, który lubił wszystko imieniem znaczyć, nazwał ją sobie „Kochalką”. Raz, jak zaczął mówić o jej doskonałościach, o jej piosence dla ucha najmilszej, to aż się ktoś z mniej go znających zapytał: Czy daleko stąd mieszka ta młoda osoba? Młodą osobę Karol przedstawił z największą powagą, ku największemu zdziwieniu pytającego.

– No, chłopcze – zawołał wtedy – czy chcesz się przejechać ze mną? – Ja na odpowiedź wyciągnąłem ręce do góry, żeby co prędzej siodła się uchwycić, ale bez strzemięcia trudno mi było nań wskoczyć. Brat się uśmiechnął widząc moje usiłowania i gwizdnął właściwym sobie sposobem. Na gwizdnięcie Zitta przyklęła, cienką swoją żyłastą szyjkę tak wyciągnęła ku mnie, że ją mogłem rękami objąć, a gdy objąłem, gdy się na grzbiet jej przerzuciłem, Zitta zerwała się równymi nogami i tylko jakby na umocnienie mnie siedzącego, karkiem silnie wstrząsnęła.

– Obwińże go dobrze burką, żeby nie zmarzł! – odezwała się przez okno patrząca matka.

– Obwinę, obwinę, bądźcie spokojni – odkrzyknął Karol i wziął mię przed siebie, do piersi jedną ręką przycisnął, a drugą lekko uzdeczki potrząsnął. Na ten znak Zitta sunęła, sunął Moloch i w kilka minut już dom i wioskę straciliśmy z oczu.

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. Pędziliśmy z bratem – pędzili, aż na koniec i w bór się wjechało; ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsianym, i tej czarnej Zitcie, i temu czarnemu Molochowi wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygnęła uszami – Moloch stanął i sierść najeżył. Bratu rozdęły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować i konia zatrzymał.

– A to co będzie, Karolku? – spytałem.

– Cicho, cicho, to wilk.

O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi; powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mię obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. Spojrzeniu jego dość spokojnym odpowiedziałem spojrzeniem,

jednak ręczyć nie śmiem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

– Dobrze, dobrze! Wcale nieźle – poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniejsze dodał:

– Zabijemy wilka, Beniaminku!

– Jak to, czy i ja go zabiję?

– I ty, chłopcze, tylko uważaj, baczność! przytul się do mnie plecami, tak, dobrze, teraz – wziął fuzję, wymierzył – teraz daj tu obie ręce, trzymaj, gdzie ja trzymam – i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położył. W czasie tych przygotowań mały punkcik na drodze z dala czerniący, przybliżył się wolno, poważnie jak monarcha w granicach państwa swojego; – było to ogromne wilczysko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt” i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony, zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać – rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu – leżeć! – i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu jakby z rozpaczą upokorzenia. Wilk stanął – w tej chwili brat mi palec naciśnął – strzał wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. Ale prędszej, niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem objąć, zwierz skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty – klacz przeraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja, który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak kulka na ziemię. Kiedym się zerwał równymi nogami, pamiętam w najdrobniejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy – mimo wiedzy prawie odbiły się na niej tak dokładnie, tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, skąd mi do pamięci wracają wycieniowane zupełnie jak obecność. – Z tego obrazu, na przykład, widzę doskonale nie tylko mego brata, co z siodła zeskoczył, przede mną stanął i obie ręce rozgarnął, by mię własnymi piersiami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonić, nie tylko Zitte, która się wspięła pod przemożnymi łapami wilka, co choć targany przez Molocha, jej napierśnika trzymał się jeszcze, nie tylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było, nie tylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony odwrócił się do nieprzyjaciela gwałtownym karku przegięciem, ale widzę krwawomigotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści, widzę wszystkie

zęby w rozwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się z przede mnie, wziął fuzję i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu – jednym rzutem oka wymierzył, za palec mój pociągnął i wilczyisko ani zipnęło już nawet. Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem trzęzi obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnął, żeby Zitta przede mną uklękła. Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki, rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach – tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przyplątał – wyraz „bojaźń”. Karol nie wspomniął go i w zapytaniu nawet;

dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięstwa jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludzkiej istocie zdarzenie. Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie i kiedyś zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dlatego, że dzik był pysznym odyńcem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

Siostra Bronisława jedno słowo tylko rzuciła w życie moje. Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin, ale przypadała, jak widać, w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje, ale powietrze, ziemia, niebo całe odzywało się do nas jakimś wyraznym, choć nie wyrażonym głosem rojących się nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś z dala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnobłękitnej przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, unoszących się orłów. Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczymi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie; bo i czegoż ja tam nie widziałem! – aż siostra wzięła mię za rękę.

– Beniaminie – rzekła, gdyż ona jedna nigdy pieśczętą nie zmieniała imienia mojego. – Beniaminie, czy słyszysz?

– Oh! słucham ciągle, siostrzyczko, wszakże to łąki i drzewa tak grają.

– Beniaminie, czy widzisz? – spytała znowu i wskazała do góry.

– Oh! patrzę ciągle, siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypriana obrazki.

– Beniaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? – i przyłożyła mi rękę do serca.

– Ja czuję – odpowiedziałem po chwili – że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi – i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy, kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednym objęciem uściskać i wszystkiemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czym to jest, siostrzyczko.

– A ja ci powiem, Beniaminie, tylko pamiętaj na całe życie swoje – to, co usłyszysz w tej chwili, co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie – to wszystko – śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe – to wszystko jest Bóg...

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała, na całe życie moje, i przeczycie wiele ksiąg mądrych i niemądrych, kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze, lecz w każdej chwili i po każdym przejściu wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego, zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im. Byłem zmartwiony a bolejący, lecz choć nie czułem, widziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe, to Bóg – że mądrość, to Bóg – że siła, to Bóg – że szczęście, to Bóg – że miłość, to Bóg... Cały ów wieczór, na kamieniu pod lipą z Bronisławą przesiedziany, był wstępną życia mojego modlitwą.

Jeśli Karol i Bronisława tak wyraźnym, lecz jedynym w mej przeszłości odbili się wspomnieniem, daremnie bym za to Cypriana i Terenię chciał w tych pierwszych latach dzieciństwa jakąś wyłącznością odznaczyć sobie; widzę ich w każdej godzinie, mam w pamiętce każdej. Cyprian malował mi lub przez innych namalowane pokazywał obrazki. Terenia o każdym z nich i jemu, i mnie cudowne opowiadała historie – lecz gdybym chciał powtórzyć te, co na mnie więcej zrobiły wrażenia, to by końca temu i przez dziś, i przez jutro nie było; ja przecież w czternastym roku dopiero ich słuchać przestałem, a kiedym zaczął? – doprawdy, sam nie wiem. Z nazwiskami otaczających mnie

rzeczy jednocześnie usłyszałem tysiące dziwnych wyrazów, jak np. zaczarowana księżniczka, piękny rycerz, cudowny sygnet, czarodziejski zamek, diamentowe podziemne pałace, ogniste duchy na chmurach lecące – i to wszystko ułożyło się jakoś w naturę moją, nie na zabobon, nie na słabość charakteru, ale prędzej bym powiedział na jakąś dziwną siłę fantazji; kiedyś, gdy wam się uiszcę z wywołanej życzeniem waszym powieści mego życia i gdy znowu, tak jak dzisiaj, zbierzemy się na dobrą chwilę przed ten ciepły kominek, byle wiatr tylko nie świszczął, to państwu opowiem którą z tych bajek Tereni. Was to przecież nie znudzi, Henryku, Teklo, Edmundzie – ci, co życia nie znają, co je poznali aż do stracenia ostatniej nadziei, aż do odzyskania najpierwszej spokojności, ci lubią bajki cudowne – wszakże prawda, moi drodzy? – Ach, te bajki i te obrazki Cypriana! Lecz Cyprian już wchodzi w szalona biografię moją, a mnie jeszcze myśli i słowa w dawniejszy czas uciekają ku świętym pamiątkom.

O moim ojcu jużście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery, lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. Ja w tym wzrosłem i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła po cichu na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało. Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nic a nic nie szeleściły karty starego jakiegoś dzieła in 4-to, w którym były wszystkie wizerunki królów. Oh! mój Boże, jak to ja pamiętam! Cyprian gniewał się na nie, a szczególnie, że Wandzie dano rogatą czapkę, a Jadwidze ogromną kryzę, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie co dzień, jak coś nowego, bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmunów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa prześlicznie śpiewać zaczęła i miałem ogromną chętkę wybiegnąć do niej, a bałem się ojcu przeszkodzić, tym bardziej że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały – kto wie nawet, czy klamka nie za zbyt wysoko dla mej ręki

była osadzoną. Patrząc ciągle uważnie spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi zmarszczył i taki groźny twarz jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozniewał. Potem wsparł głowę na rękę i przez chwilę nie patrzył w książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośne westchnienie z piersi mu się wydarło.

– Ojczy, ojczy, co ci jest? Czy cię co boli? – spytałem prędko, biegnąc ku niemu.

Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremnie bym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu na owym męskim, pełnym siły i dobroci obliczu. – Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem – a równego młodzieńczą prawie rzeźkością i grą fizjonomii nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. Była to twarz pociągła trochę żółtawoblada, nos rzymski, brwi czarne mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze i gdzieniegdzie już srebrzące wśród kručzej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakaś, lecz za to w całym rysunku ust dość wydatnych było tyle tkliwej słodczy, tyle pieśczoły prawie, że my, dzieci, nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

– Ojczy, ojczy! Co cię boli? powtórzyłem z płaczem nieledwie.

– Mnie to boli – rzekł ojciec, wskazując na książkę.

Szkaradna, niegodziwa książka – zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

Źle robisz, synku – odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

– A cóż to jest, ojczy?

– Historia.

– A cóż jest w tej historii?

– O mój synku! Wszystko, czego już nie ma, wszystko, co jest, wszystko, co będzie, to się znajdzie w książkach do tej książki podobnych.

A kiedym ja się dziwił bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na której różne znaczki były i powiedział mi, że za pomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć, o czym mówiono najdalej lub najdawniej, widzieć aż po krańce ziemi i nieba, aż po głębię duszy ludzkiej. Ja też co prędzej wszystkich nauczyłem się znaczków, ich

użycie sam ojciec mi wskazał dziwnym sposobem. Pamiętam, kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia te słowa: „Mama cię kocha”, to mi potem odebrał elementarz, kazał oczy zamknąć i wyobrazić sobie mamę w tej chwili, gdy nad moim łóżeczkiem schylona, budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Później obiecał mi, że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców i dał mi przeczytać – „ogród”. Później na wyraz „gwiazda” przypomniał mi, jak to ona małeńka drżącym światełkiem gdzieś wysoko na niebie migoce, a powiedział mi jednak, że gwiazda to świat. I ja tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą.

Ale wy, moi drodzy, dziwicie się zapewne, czemu dotychczas o matce mojej nic nie nadmieniałem jeszcze. Ach! bo dla mnie w każdym wspomnieniu ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko albo do niej mówił.

Matka... Czy wy wiecie, dlaczego ja z takim uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło

mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? Czy wiecie wy, dlaczego nieraz w kościele, a nade wszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościółku, mnie się łązy w oczach zakręca, gdy spostrzegę z dala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? Czy wy wiecie, dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął, koło smutnego, bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, bym go wyrazem pieczyoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? Czy wiecie wy, dlaczego? Oto dlatego, bo miałem matkę!... bo w każdej chwili podobnej zawsze ją widzę przed sobą – tkliwą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem. Oh! doprawdy, kiedy mi się błogie dni pierwszej młodości w pamięci rozwiną, kiedy później w przeciwieństwo stawię... – ale przecież wy nie lirycznej elegii chcieliście ode mnie, ja mam tylko co do wypadków mego życia waszą ciekawość zaspokoić, jednak pozwólcie na chwilkę rozdziwaczenia. Czy się, z was komu śniło kiedy, że go z wysokiej bardzo i bardzo stromej góry, np. z takiej góry, z jakiej Chrystus widział wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go, mówię, z takiej góry w przepaść jakąś strąciła – ot, dajmy na to, ręką szatana, któremu on, co nie jest Chrystusem, jak Bogowi zaufał. Przypominacież wy sobie owo spadanie, coraz wolniejsze, coraz cięższe – ziemia cała już sprzed oczu zniknęła, niebo tylko

widać przez małą szczelinę, ale i niebo znika – a coraz ciemniej, coraz okropniej, a spadający wie, że tam gdzieś na dnie rozbić się musi, tylko dna nie dojrzy, nie dojrzy! Oh! wtedy po pierwszej chwili odurzenia następują długie chwile wściekłej rozpacz – jest czas na wspomnienie każdej radości straconej, wszystkich nadziei swoich, wszystkich czynów swoich, wszystkich wzniosłych zamiarów, wszystkich może wielkich, może dla świata użytecznych zdolności, co tak bez śladu

zniszczenia, których już nie ma nawet, choć my jesteśmy jeszcze. A tu, jakby dla zaostrenia tortury, piekielną fantasmagorią rozwija się przed nami ów obraz na owej górze podziwiany; i choć poznaliśmy szatana, my czujemy, że byśmy znowu na jedną chwilę podobną drugi raz wieczność oddali. I tylko nam sęp żalu kawałami serce szarpie, że gdy się miało umierać, czemu się z tej góry głowy nie rozbiło? A potem inna boleść, potem widzimy najdokładniej każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było, rozważamy każdy sposób, każde podobieństwo ratunku, przekonywamy się, że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli, gdy jeden krok tylko, jedno poruszenie, jedna myśl – a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy, zaciążyliśmy nad głębią, trzeba spadać – spadać – spadać! Jedna przyszłość nam została, jedna nadzieja tylko – zdruzgotania się tam na dnie – i gdyby raz już skończyć, gdyby spaść, gdyby nie żyć – cała rozpacz przesila się w tę szaloną niecierpliwość, ale przepaść głęboka, przepaść miltonowska, do której to się leci dziewięć dni i dziewięć nocy. Więc niecierpliwość sama siebie zużyła nareszcie – człowiek jest kamieniem – wie i pamięta, lecz nie boleje, nie rozpacza już. Człowiek-kamień, gdy upadnie, czyż choć tam w głębi ostatnią iskrą w rozbiciu ostatnim zaświeci?... Ach! darujcie mi, darujcie państwo, miałem zupełnie o czym innym mówić; ten sen, ta przepaść, to do niczego niepodobne – chyba do tego, com ja czuł na jawie – ale wam niech los szczęści, cieszę się nieskończenie, że mnie tu nikt nie zrozumiał.

Ale za to zrozumieliście mój wiek dziecienny i ówczesną naturę moją – wiecie, że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym – kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych sumariusz; w przydatku do niego nauczyłem się górnictwa i mając rok siedemnasty zostałem górnikiem.

Od tego to siedemnastego roku zaczyna się dziwna powieść bardzo zabawnych zdarzeń – uśmiejecie się serdecznie.

2.

W domu rodziców obchodzono Wigilię Bożego Narodzenia. Dzieci się pojeżdżały, bo już nie wszystkie pod rodzinnym żyły dachem. Dwóch braci ożenionych, Adam i Józef, w dalszych mieszkało okolicach. Trzy siostry poszły za mąż: Julcia, Bronisia i Terenia. Karol wojskowo służył w Królestwie i z Lubelskiego na czas krótki tylko za urlopem przyjechał, Cyprian gdzieś aż z Rzymu ostatni list pisał, ja sam z Węgier wracałem, a przy rodzicach aniołem pociechy tylko Ludwinka została – moja Ludwinka zawsze blada, zawsze smutna, zawsze, nawet w chwilach radości swojej, jakby za szczęściem nieujętym tęskniąca. Ja dziś myślę, że Ludwinka musiała żyć z jakimś utajonym w głębi duszy cierpieniem, jak nieraz kwiatki te kochane jej rosna długo ze zjadliwym w cieniu swych listków owadem. Na pewno jednak ręczyć za to nie mogę, Ludwinka nigdy przed nikim się nie skarżyła.

Wtedy na wigilię stół długi białym obrusem przykryto, świeżym sianem podeślano, i gdy pierwsza gwiazdeczka błysnęła, na odgłos dzwonka zgromadziliśmy się wszyscy koło niego – rodzice, dzieci, wnuki, domownicy.

Matka wzięła opłatek i podając go ojcu:

– Do wsiego roku ! – rzekła uroczystym, choć lekko drżącym od wzruszenia głosem. – Do wsiego roku, mężu mój, dzieci wszystkie moje. Do wsiego roku! Niech każde z was tak kiedyś łamie się chlebem Bożym z rękoma dzielnych synów, szczęśliwych córek, pięknych wnucząt, przyjaznych sług domu swojego; niech kiedyś dłoń, co na jego dłoni z niezawiedzoną ufnością przez długie lata się wsparła, tak mu poda święcony opłatek, jak ja w tej chwili ojcu waszemu podaję.

– Amen – odpowiedzieliśmy wszyscy i rodzice rozłamali się opłatkiem, a potem matka szła kolejną

od najstarszych do najmłodszych, każdemu dając część jego i tej części cząstkę oddaną przyjmując; lecz gdy Terenia w następstwie rękę wyciągnęła, matka cofnęła się nieco i łzy jej w oczach stanęły.

– Nie, to kolej oddalonego – rzekła. – Na imię Cypriana z błogosławieństwem moim niech będzie aż do chwili jego powrotu ten kawałek opłatka zachowany – i według słów swoich szła go na bok odłożyć...

W tej chwili drzwi się rozwarły, ktoś na progu stanął...

– Matko, syn wraca o dział swój w szczęściu rodzinnym się upomnieć – przemówił głos tak dobrze znany, że każda pierś go okrzykiem radości odbiła.

– Cyprian! Nasz Cyprian...

W istocie brat mój Cyprian, malarz, wędrowiec, artysta powrócił...

– Albercie, filozofie! powiedz mi, czy jest przecucie?...

Ha! szczęście twoje, że tak poważnie skinieniem głowy potakującą dałeś mi odpowiedź, bo cię miałem zaraz drugim uderzyć zapytaniem: dlaczego mnie na wejście Cypriana serce się boleścią ścisnęło?

Tak jest, moi państwo, wyraźnie mówię, boleścią, chociaż w pierwszej chwili nie umiałem jej od wielkiej radości rozróżnić.

Po kilku latach rozstania witać brata, współnika myśli i zabaw dziecinnych, witać ze łzą w oku, drżącą ręką i bladym czołem, mnie się to zdawało tylko nowym jakimś na uczucie szczęścia sposobem. Sposób dziwny jednak... później dokładniej zdałem sobie z niego sprawę i dziś ręczyć mogę, że on był tylko boleścią przerażenia.

Cyprian matkę najpierw uściskał, ojca rękę najpierw ucałował, a potem siostry jedna przez drugą cisnęły się ku niemu, a które z nich dzieci miały, to mu je wyciągały na rękę do wcześniejszej pieśczoły, na lepsze powitanie. Ja ostatni się zbliżyłem.

Cyprian objął mię za szyję, lecz nim do piersi przycisnął, zatrzymał się, jakby zdziwiony – oczy jego utkwily w mej twarzy, dłonie zesztyniały niby na moich barkach i tak mię trzymał przez chwilę oddalonego ich wyciągnięciem – i tak patrzył ciągle na mnie – i tak dziwny uśmiech zachwycenia z ust jego rozświecił, że sam go nie pojmując, odśmiechnąłem się także i niby przemocą uwalniając się z narzuconego rozdziału:

– Cóż to? – rzekłem. – Czy Beniamina tylko nie poznałeś?

– Oh! Matko, jaki on cudnie piękny! – zawołał Cyprian do stojącej za nim, odwracając się nieco.

– Więc dlaczego już mię i przywitać nie chcesz?... Cyprian przywitał mnie radośniej niż nasze całe rodzeństwo, ale czy serdeczniej?... ja nie wiem, jednak z pewnym wyrzutem mu rzekłem:

– Zdaje mi się, żeś w tej chwili więcej malarzem niż bratem.

– Prawda – odpowiedział przycichłym, uciętym głosem i znowu patrzył na mnie.

Bo ja podobno piękny, ale to bardzo piękny wtedy byłem – dzisiaj nie wierzyłabyś temu, Anno, i wy wszystkie zaprzeczyłybyście – dzisiaj oczy mi wpadły, wyblakły, zagasty, włosy zrzedniały, bodaj czy już i siwieć nie zaczynają, skóra na chudych policzkach urysowała się szkaradnymi zmarszczkami, cera nie szerniała i nie zbladła, tylko zaschła niby jakiś papier zbrudzony, a usta wykrzywiły się w taki nałogowy uśmiech niesmaku, że wesołym aż nudno patrzeć na mnie. Co to jest, tak się zestarzeć w dwudziestym szóstym roku swego życia!... Wszak prawda, moje panie, że to się nie godzi? Ha! przynajmniej na pociechę mogę powiedzieć sobie, że kiedyś piękny byłem... piękny... piękny...

Cyprian ile razy spojrział na mnie, to mu niby jaśniejsza myśl widomie po twarzy przeciągała – czasem zamykał oczy, jak gdyby tej myśli chciał się lepiej w swojej własnej głowie przypatrzeć, a czasem też coś go niby gniewało na mnie i brwi marszczył, warg przygryzał. Ta ostatnia zmiana coraz częściej zaczęła mu z końcem wieczery na rysy wybijać, bo ja także baczniejszą na niego zwróciłem uwagę.

Gdy pierwsze uniesienie wzajemnych powitań uspokoiło się nieco, gdy twarz Cypriana uściskami ożywiona, przejściem nagłym pod światło i ciepło rozgrzana, zaczęła powoli do zwyczajnego wracać układu – aż mię zimno wskroś przejęło, tak okropnego wyniszczenia śladów na niej dostrzegłem.

Cyprian miał wszystkie rysy ojca, lecz jasne włosy i płeć białą matki. Teraz rysy owe wyciągnęły się bez żadnej proporcji, płeć niegdyś tak świeża nabrała kredowej martwości, otwory oczu zwiększyły się wprawdzie, ale oczy gdzieś pod czoło głęboko uciekły, wyłysiał, ot więcej prawie niż ja dzisiaj, nos mu okropnie zgarbaciał, broda naprzód wyszczerzyła, szczęki kościste ledwo skóry nie przebijały.

Matka trwożliwie spoglądała na niego – zapewne uważać to musiał, bo przez chwilę milczący i niby znużony, ożywił się znowu, zaczął głośno rozmawiać, śmiać się, opowiadać tysiącnie swej podróży szczegóły. Nawąłem słów, jak widać, i prędkością poruszeń chciał Cyprian oszukać ten wzrok matki badawczy, smutny a niemylny, chorobliwe usposobienie zwyciężyło go jednak na chwilę – zaciął się nagle i długo tłumionym kaszlem wybuchnął.

Między kobietami ruch niespokojny powstał. Cyprian skinął na nie, żeby jemu i sobie dały pokój, usta chustką zasłonił, a potem ostatek napadu w pusty śmiech przeprowadził.

– To nic, to nic, zakrztusiłem się tylko – rzekł prędko, chustkę do kieszeni chowając.

Ja siedziałem tuż przy nim i sam jeden spostrzegłem, że krew była na chustce.

– Ten kielich waszej spokojności święcę – mówił dalej wesoło.

– Napij się lepiej wody – szepnąłem mu z cicha i po karafkę sięgnawszy, niby nienaumyślnie trąciłem

go tak mocno, że wszystko wino z kieliszka na obrus się rozlało.

Cyprian zwrócił się ku mnie niecierpliwym ruchem.

– Braciszku, trochę jesteś niezgrabny, to szkoda – i z wyraźnym niezadowoleniem patrzył mi w oczy. Przetrzymałem wzrok jego.

– Napij się wody – powtórzyłem w pół z prośbą, w pół z rozkazem.

– Napiję, czego chcesz, Beniaminku – odpowiedział trochę rozjaśniony uśmiechem – napiję, choćby i octu z żółcią, bo znów jesteś prześliczny, ale jednej rady mojej usłuchać musisz...

– Trzech rad twoich, Cyprianie, tylko ty dwa słowa przyjmij ode mnie – jesteś chory – rzuciłem mu do ucha.

– O tym potem – rzekł jak najobojętniej i wypróżnioną szklanką mocno w stół uderzył, by zgłuszyć zamienione ze mną wyrazy.

– Moja rada, Beniaminie, jest ta, że przede wszystkim powinieneś być szczęśliwym, ale to powiadam ci, koniecznie szczęśliwym, bo jak nie, to zbrzydniesz, zbrzydniesz tak okropnie, że nawet Ludwinka, która wszystko smutne lubi, nie pozna cię wtedy i minie ze wstrętem.

Pocziwa siostra zaprzeczyła temu co prędej, lecz Cyprian nie chciał ustąpić.

– Z zupełną pewnością wyrokuję w tym względzie – mówił on. – Studiowałem jako malarz różne przemiany różnych wrażeń i na różnych rysach; przysiąc wam mogę, że Beniamin okropnie zbrzydnie w nieszczęściu, bo jego twarz do odbijania samej tylko radości stworzona...

Oh! już co wtedy, to się sam za sobą ująłem.

– Radosną ją widzisz w tej chwili – rzekłem – może nawet dziecinną jeszcze, ale skąd tobie być prorokiem moich uczuć w chwilach odmiennych, mojej twarzy w niepewnej przyszłości? Więc ja tak słaby i wąty jestem? A niedawno chwaliłeś piękność moją – jaką piękność? Czy roślinną – według gatunku

i koloru – zdrowia i czerstwości? Ja myślałem, że mi z czoła za pierwszym spojrzeniem wyczytałeś wszystkie ducha tajemnice i dojrzawszy w nich własnej istoty odbicie, tym artystycznym słowem „piękny” powitałeś – a ty, jak teraz poznaję, tylko linię i farby miałeś na pamięci.

– Gniewaj się, gniewaj, dziecko moje – z uśmiechem na te wszystkie wyrzuty odpowiedział.

Ja się nie gniewałem, ale mi się okropnie smutno zrobiło.

– Cyprianie – rzekłem po chwili – choćby się nawet miała ziścić twoja przepowiednia, mniejsza o to, ja śmiało nieszczęście do walki wyzywam, będę brzydszym, ale będę lepszym.

– W nieszczęściu?

– Tak jest! W nieszczęściu, kiedy spróbuję wszystkich sił moich, użyję wszystkich praw człowieczeństwa – bo walka z nieszczęściem jest najwyższym prawem, bo walka z nieszczęściem jest siłą najwyższą!

Coś ja podobno i więcej o tym mówiłem, lecz teraz słówka sobie nie przypominam nawet, a choćbym chciał z natchnienia brak wspomnień wynagrodzić, to doprawdy trudniej jeszcze; nie mogę ani w uczuciu, ani w rozumie znaleźć coś podobnego do tych błogosławionych marzeń świeżej wyobraźni. Wzniosłem nieszczęście od potęgi ideału, na cześć jego złożyłem hymn i ostatnią myślą ostatniej zwrotki jego cisnąłem złym. losom najdumniejsze wyzwanie. Szalony!...

Cyprian słuchał, patrzył się, uśmiechał; gdym skończył, jego białe, długie palce od niechcienia zamieszały się w moje po góralsku na ramiona spadające włosy i rzekł niby sam do siebie:

– Jakie to dziecko! Jakie to piękne dziecko jeszcze! On nie wie, że w najwyższości swojej istota ludzka ma tylko władze używania, zdolność do szczęścia, siły do stwarzania rozkoszy – a jednak choć od matki, to słyszał przecież o dziewiątym niebie, gdzie twarz w twarz z Panem Bogiem przez całą wieczność wybrani się radują... Walka z cierpieniem... Jemu się zdaje, że to będzie chwila takiej improwizacji, jaką teraz ułożył, takiej gry nerwów, takiego przyspieszonego krwi obiegu, jak go obecnie doświadczył – moje najdroższe, najśliczniejsze dziecko – to będzie jednak zupełnie coś innego – a palce jego przez całą długość włosów moich musnęły.

– To będą te włosy – mówił dalej – te cudnie, słoneczne promieniące włosy – zrzędniałe i zsiwiałe od nocy bezsennych; to będą te myśli, dziś grające po mózgu tysiącem obrazów tęczyowych – zawikłane w

jakieś obliczania wypadków, czynów, prawdopodobieństw i fałszów; to będą te piersi tchnące dziś pełnią życia – zachryplę kaszlem, zerwane astmą; to będzie to oko szklisto-czarne – powleczone siatką krwawych żyłek i żółcią nabiegłe; to będzie choroba, odrętwiałość, wielki kłopot o majątek, o kobietę, o jakiś plan życia może, ale nie będzie walka z nieszczęściem, jak ty ją sobie wyobrażasz, Beniaminku. Tobie się zdaje, że nieszczęście wygląda jak biały anioł w czarne krepy uwinięty, z gorzącym mieczem w dłoni, i dlatego chciałbyś z nim pójść już w zapasy – oh! wierzę bardzo, że nie zbrzydłbyś wtedy. Lecz ja ci powiadam, że nieszczęście wcale nie anioł żaden – nieszczęście wygląda jak pies, co milczkiem kąsa, jak stara dewotka, co pobożnie obgaduje, jak Żyd lichwiarz obszarpany, co dukaty obrzyna i co ci wszystką złotą monetę życia twojego fałszuje; nieszczęście wygląda jak pijanica nad rankiem, jak nietoperz, jak błoto, jak palce z zanokcicą, jak brudna chustka od nosa – fe! fe! słuchaj mojej rady, bądź lepiej szczęśliwym, Beniaminku – i głośnym śmiechem a cichym kaszlem zakończyl.

Nikt z nas się nie zaśmiał wzajemnie – każdemu ciężko było pod słowami owej dziwnej ironii – Bronisława tylko rzekła:

– Zabawnie wypowiedziałeś wielką prawdę, Cyprianie, ależ na drugi raz nie ubieraj jej w takie łachmany, bo się dzieci straszą – i schyliwszy się do wspartego o jej kolana synka, prześlicznego chłopczyzny z szerokim, bladym czołem, z wielkimi ciemnymi oczyma:

– Nieszczęście, mój Bohdanie, brzydkie jest bardzo – przydała – gdyż nieszczęście to jest złe, które się zrobiło, i dobre, którego się zrobić nie mogło – grzech twój lub grzech ludzi, braci twoich – unikajże nieszczęścia.

Chłopczyk zamyślił się i po chwili odpowiedział:

– Będę unikał, matko.

Nic nie mówiąc, wskazałem go Cyprianowi – Cyprian zrozumiał tę przymówkę, lecz wstrząsnął głową, popatrzył trochę i rzekł niedbale:

– To wcale co innego – Bohdan starszy od ciebie – on dziś, a ty jutro.

W żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć.

Na koniec też i wieczór się skończył, wszyscy spać poszli według tego, jak gdzie komu starania Ludwinki nocleg przyrządziły.

Karol, Cyprian i ja dostaliśmy maleńką na poddaszu izdebkę.

Cyprian pierwszy się położył i o zgaszenie świecy upomniał. Zmęczonemu podróżą, choremu nawet, jak to z twarzy jego było widać, nie chcieliśmy chwil do spoczynku potrzebnych zabierać. Poszliśmy oba

za jego przykładem, skoczyli prędko w łóżka nasze i prędej jeszcze zasnęli owym smacznym, błogosławionym pierwszym snem wszystkich nocy spokojnej jeszcze młodości – przynajmniej ja tak usnąłem.

Nagle, w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. Patrzę – aż tu Cyprian stoi nad moim łóżkiem.

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padał, zaś światło na mnie – przez rozchełstaną koszulę widać było jego piersi zapadłe i wszystkie kości, z anatomiczną dokładnością spod skóry się rysujące – rzekłbyś, że to szkielet jaki z lekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz za to całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło – była to twarz na ową chwilę grą nerwów i mięśni do pierwszej młodości wrócona, były to oczy ciepłym promieniem bijące, usta purpurą świeżej krwi wypełnione, czoło, jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące – była to, jednym słowem, głowa wskrzesiciela na ramionach umarłego. Sprzeczność uderzająca, niesłychana a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem, przetarłem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem. Brat lekko mię znów ręką na poślanie przechylił i dał znak milczenia.

– Cóż to jest? – spytałem go się wreszcie. Cyprian trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełnie ku twarzy mojej obrócił, ale nic nie odpowiedział.

– Cóż to jest? – powtórzyłem raz drugi. Znowu milczał – lecz po chwili:

– O czym ci się śniło? – zagadnął mię wzajemnie.

– Nic a nic nie pamiętam – odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

– To bardzo źle, Beniaminie. Spróbuj, może przypomnisz sobie.

– Doprawdy, nie mogę ani słówka.

– A ja bym dał sobie lewą rękę po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

– Nie czekaj na to, Cyprianie, bo się przeziębisz jeszcze. Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstawać boso i nawet płaszcz nie zarzucić.

Brat syknął i ust przygryzł.

– Ja pytam, co ci się śniło? – powtórzył z przyciskiem.

– Pomówimy o tym, tylko weź co cieplejszego na siebie lub połóż się przy mnie.

– Słuchaj, Beniaminie – rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością – mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło;

spąłem kilka razy pod śniegiem, byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął, i wróciłem stamtąd zawsze zdrowy, rzeświejszy; lecz jednego dnia, gdym się rozgniewał,

zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła – przestrzegam cię o tej ułomności mojej, braciszku, nie gniewaj mnie. Bo to widzisz, mój drogi – ciągnął dalej, jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje – są chwile życia, których nie trzeba na drobniuteckie wrażenia roztrwaniać: – „A to się zaziębisz – a to weź co ciepłego – a to jedz – a to pij – a to tak – a to owak”. Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości – jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkim przesileniu i serca ci zabraknie. Mnie, jak o życie, chodzi o przywołanie twego sennego widziadła, mnie w głowie przyszłość, sława... a ty kaszel przypominasz i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bżowymi ziólkami zaczął mię częstować. Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? Toć to wytrzymać trudno!

– No już nic, już nic nie powiem – lepiej ty mów, czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, o czym ci się śniło?...

– A to dziwny człowiek! Chyba z natchnienia naprędce sen jaki ułożę.

– I owszem, proszę, układaj...

– Otóż, słuchaj – śniło mi się, że z drżącą lampką w ręku spuszczałem się do głębokiej pieczary – w pieczarze były skarby tak wielkie...

– Kłamiesz, Beniaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć – zastanów się tylko, czyś nie roił, że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecji latach.

– Oh! nie, za to ci ręczyć mogę, we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia jestem zawsze tatrzańskim górnikiem, synem ojców moich.

– Alboż ty wiesz, Beniaminie? może ci się też śniło, że byłeś poetą, lecz zrozumiemy się dobrze – nie takim poetą z piórem w ręku, z palcami w atramencie uwalanymi, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach – oh! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałeś siedmiostruną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie, zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał – czuł – wierzył – i śmiał się, i płakał, i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. A pieśń twoja, Beniaminie, i wieniec olimpijski twój, bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś,

tobie tłum ludu padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. No, cóż myślisz? snem takim czyżby śnić nie warto – chociażby potem zaniemieć na wieki...

– Prawdę rzekłeś, bracie, ty lepiej ode mnie moje własne sny pamiętasz – snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego, bez ukorzonych współzawodników, bez tłumów u nóg moich – marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej biły, a w moim uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzucone uczucie, że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną – nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

– Dobrze, dobrze, Beniaminie, ale dźwięk pieśni to jeszcze nie wszystkość życia twojego. Młody jesteś, młodość sama przez siebie władzą i zdolnością – użyć jej musisz koniecznie, nadmiar siły trzeba ci przelać choćby w pustotę; potrzebie gwałtownych ruchów trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo, bo przecież wszystkie arterie wzbierają czerwiejszym sokiem, niby lawą gorętszą; jeśli zbytku twojego nie ciśniesz na świata uciechy, to się natura wstecz cofnie i głębię ducha zatruje. Trzeba szaleć, Beniaminie – czy snu takiego nie miałeś? Może też kiedy widziałeś sam siebie w wozie złocistym, jak dzielnym rumakom cugli popuściwszy, biegłeś do mety z najślawniejszymi gonitw bohaterami – ty, taki młody, taki niewprawny – daj pokój lepiej, bo tysiące patrzą na ciebie: tam rzędem kobiety, tu starce, które cię poważnie za nieroztropność zgromią, tam młodzi towarzysze, którzy próżność niewczesną wyśmieją – daj pokój – tobie w gynezeum jeszcze piosnkami się nańczyć albo według koloru na krosnach nitki rozsnuwać – daj pokój – ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głowie ci się zakręci, ręce ci zemdleją – daj pokój – ha, może ci tak mówiono? Ale słuchać nie chciałeś – od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakipiał, ręce drżą od cugli, oczy widzów magnetyzują cię prawie – im ich więcej, tym lepiej. Siadłeś na wóz i pędzisz – konie pianą parskają, obłok kurzu cię okrył, nieba nie widzisz, z samą przestrzenią się gonisz – czy jej uciekniesz – czy ją wyścigniesz – a słyszysz, jak to się śmieją – oh! szyderstwo pospólstwa to harpia, co serce wygryza; obelga śmiechu to rozpalone pod czaszką żelazo! Śpiesz się, śpiesz się, bo cię uprzedzi tamten wóz purpurą ozdobny, którego białe konie wyciągnięte strzałą lecą w powietrzu – a czy słyszysz oklaski, czy słyszysz triumfu okrzyki? Spiesz się, śpiesz – tam naprzeciwko sędziowie z baczny okiem i meta już bliska – tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje, chciałbyś krzyknąć – jak krzykniesz, twoje rumaki nowych sił wydostaną...

ha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś – ty pierwszy! Spójrzj teraz po widzach, śmieję się z tych, co o tobie wątpili – bierz nagrodę i wychodź ze szranek z dumnym czołem, z hardym wzrokiem i słuchaj, jak po drodze twojej jedni drugim z ust do ust podają – „oto on, to on, zwycięzca hipodromu...”

Brat zamilkł i patrzył na mnie. – Jużćić, przyznam się państwu, że było wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotymi stawkami – jakoś mi się cieplej zrobiło, śmiać się zacząłem, a Cyprian rozgarnął mi włosy i znów dalej mówił, lecz głos jego był uroczysty, głębszy, czasem trochę drżący nawet.

– Może też ci się śniło, Beniaminie, że miałeś głowę arabskimi wonnościami skropioną, tunikę z najcieńszej wełny sydońskiej utkaną, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety – lecz nie matki, nie siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojej... Beniaminie, czy ty rozumiesz tę chwilę, w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana? – czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widziałeś? – kobietę piękną, silną w namiętności, świętą w duchu swoim. Na jej czole taka myśli potęga, że by mogła losami Aten kierować – a na jej ustach taka rozkosz – a w jej spojrzeniu taka wabność gorąca i przenikliwa... Czy ty śniłeś o niej? Ej! daj mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością – co mi po tej dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzemać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nic nie da w życiu prócz praw kodeksem zawarowanych. Oh! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od tej ze zwyczajowych przepisów uklejonej duszyczki. Tobie także, Beniaminie, inna zupełnie się śniła. Jej oczy, jeśli spuszczone, to promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przesłonięty; jej rumienie to krew, to życie, co z przepelnionej organizacji gwałtownie na zewnątrz bije... a jej miłość!... ty nie znałeś własnej potęgi, nie rozumiałeś świata, nie czułeś Boga, póki cię ona nie ukochała; – piękność – szczęście – cud – to miłość jest jej... Wierz mi, bracie! takie kobiety są – i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach, żeby już potem nie być, choćby nawet szczęśliwym inaczej. A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością, rozkoszy twojej rozpustą – zmysłowość będzie ledwie formą najjorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność bóstwa z duchem i ciałem – rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpuście stanie. Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie

używa, jak ty czuć będziesz wszystkimi władzami duszy twojej, jak ty użyjesz całą męskością twej siły młodzieńczej. Gdybyś nie miał każdych chwilowego uznania swej godności, gdyby ona nie była ową Medeą, co żywiołom rozkazuje, ale Medeą, która nigdy zbrodni nie popełni, bo wiecznie kochaną będzie; gdybyś ty po jej miękkich wezgłowiach hartowniej wśród spartańskich niewygód zasnąć potem nie umiał, gdyby ona z swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem, gdybyście oboje nie mieli tej wyobraźni, co wam w poezję każdy całunek ozłoci, tej śmiałej myśli, co z każdej chwili radośniej chwilę siły wyciągnie, co zawsze nową prawdę wykryje lub nowy sposób na szczęście utworzy, gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, inteligencją wzniesieni, przyznaniem szlachetni, to byście i tak szczęśliwi nie byli – bo szczęście – słuchaj, niech ci się chociaż śni o tym, Beniaminie – szczęście zupełne jest dane tylko temu, kto umie najpokorniej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę do drżącej piersi przycisnąć.

Ucichł znowu Cyprian – ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roily, wszystkimi jego słowami niby krew w żyłach wzbierała, jednak czułem potrzebę odparcia tych wrażeń.

– Kusicielu! – rzekłem z cicha.

Brat się nachylił pocałował mię w czoło – ale nagle świeca, którą trzymał, zadrzała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła. Schwyciłem Cypriana za rękę, ręka była zimna jak lód. Krzyknąłem. Karol się obudził, wstał prędko, świecę znów zapalił i przy jej świetle ujrzeliśmy Cypriana bez przytomności, na krawędzi łóżka przewieszzonego... krew mu się kawałami z ust waliła... był przerażającej, żółtej jakiejś bladoci... myślałem, że już umarł. W tej chwili dzwonić w kościółku na mszę pasterską zaczęto...

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę – kiedy sobie ten obraz przypomnę, jest mi okropniej, niż wtedy było nawet.

3.

A cała ta okropność, czy też się domyślacie, skąd przyczynę wzięła; gdzie cel obrała sobie?... Cyprian do wykończenia jakiegoś obrazu potrzebował moich rysów i układał je sobie w zamierzonych wrażeń odbicie; artystą, wielkim artystą był mój brat, Cyprian.

Ja wam powiem tylko – gdybym dzisiaj miał starych patriarchów zwyczajem błogosławić najukochańsze dziecko moje i gdybym był wierzył w nieomylność mego błogosławieństwa, jak w czarosilne zaklęcie talizmanowej formułki, to nad głową schyłego u kolan moich wzniosłszy oczy do nieba, z głębi duszy bym wołał: – „Niech z drogi twego życia Bóg artystów usunie”. Ha! gotowicie się rozgniewać na mnie, wy wszyscy zakochani w piękności i sztuce, a ja przecież nie o was mówię – sztuka i piękność do życia wzięte użyciem, przynależą się każdemu – mnie, tobie, wam i im. Lecz być artystą wszakże to co innego, jak być używającym. Być artystą znaczy tylko: być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnym miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość – nic więcej, wierzcie mi. Używający musi mieć serce do ukochania tego, co używa – ukochanie samo w sobie nie zamknie się nigdy. Ukochanie prześwieci w nieskończoność dobrą podniętą i czynem szlachetnym; ale artysta tworzy, nie kocha – dzieło po dziele odpada od niego, chwila po chwili zstępuje w przestrzeń, ogranicza się kształtami i póty jest prochem, póty Salomonową światą próżnością, póki jej obce nie przejmie uczucie, póki jej obcy rozbudzony entuzjazm w nieskończoność życia nie pchnie. Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć – ale jak tworzy? na co tworzy? to jest w nim odrębnością, to już artystycznej nie stanowi natury. – Czasem tworzy okropnymi sposobami. Żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija da krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani. Żeby wyśpiewał piosenkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły cudzego serca i prze-

biera po nich marmurowymi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku – a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je co prędzej na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czym pamięć naciągnął, tym echo dętych instrumentów wypełnia. Czasem też artysta sam z siebie wymyśli wrażenie jakiego dźwięku, sam sobie wyrysuje nigdzie nie widziany obrazek! O! to jeszcze niebezpieczniej – bo wiecie przecież, że on uczuciem i miłością znieśmiertelnąć tego nie może, on musi w kształty ująć, skończonością zawarować. Więc też szuka kształtu, dobiera sobie warunków, próbuje pomysłu swojego, a zawsze na żywych przykładach, jak doktorzy nowych lekarstw próbują... podobno tylko na zwierzętach żywych... no i cóż? czyż za to przekleństwem rzucić artyście? A jeżeli też w zamian cierpienie i krwi waszej da nam jakie arcydzieło – prześliczny obraz – cudną nutę piosnki – to cóż? przeklinać także? – O! nie, tylko niech ci, których kochacie, z dala artystów idą drogą swoją... Patrzcie, co za ogień wyborny! świeci i grzeje – wyborny ogień – a jednak z wolna wszyscy usunęliście się od kominka i między nim a wami zostało puste, szerokie koło – geniusz artysty ogniem jest, rzucajcie mu na pastwę wszystko, co chcecie, tylko nie rzucajcie złotego szczęścia i serc miłością bijących – alboż wy to Sabejczykowie lub Gwebry? czcicie tego, co świeci? Ja wam powiadam, światłość dla was, jak powietrze dla was, jak pokarmy i napoje dla was. Wyłączono już bóstwo z natury, nie biją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi – wyłączcież i wy część waszą z użycia piękności i sztuki, postrącajcie artystów z ołtarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sabeizm intelektualny; co jest boskiego w artyście, to dane przez was i wam; co jest boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stało przed wami; co w nim boskiego, to przez jego duszę sączy się niby olej skalny i na zewnątrz dopiero, w zetknięciu ze wzrokiem i z myślą waszą, i z uczuciem waszym może się w blaski rozetlić – ale tam, w głębi, tam tylko masa jakiejś czarnej ziemskiej gliny, trochę odmiennego gatunku. – Ot tak, dobre mi słowo na myśl wpadło; artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec; niechże kto wielbi białość, a błękit potępia. Ja do Cypriana żadnej nie mam urazy – biedny Cyprian! Jego życie stargane, zakłócone sny mojej młodości! Czyż ja się mogłem domyśleć, że to wszystko było planem jednego obrazu? – Kiedy Karol wziął zemdlonego na ręce i poniósł do łóżka, czułem tylko

boleść najwyższą, później, kiedy siostróm znać dano, gdy rodzice nadeszli, wśród ogólnej trwogi nie miałem jednej chwili na uchylenie się w rozbudzoną osobistość, jednego drgnięcia serca do zmarnowania na postronne wrażenia. Cuciliśmy, ratowali Cypriana, byłbym się chciał zamienić w każdą kroplę ożywczej wody, co martwe jego czoło rzeźwiła, w każde słowo pociechy, co przerażoną i drżącą matkę uspokoić mogło. Cierpiałem za niego, za nich wszystkich, cierpiałem moim własnym cierpieniem, a przecież nieraz później zdarzyły się chwile, w których ja nie do przeszłych radości, nie do straconej swobody, ale do owego przejścia pierwszej boleści zatęskniłem sobie. Taka boleść nie wyczerpuje ducha; póki jest nadzieja ulżenia drugim, z bogacenia ich choćby własną największą nędzą, póty jest uświęcenie boleści; lecz gdy nas to zadrażni, co nawet innym na jeden uśmiech pustoty się nie zda, gdy nam dokuczy, co innym także zawadą lub zgorzeniem padnie, wtedy jest ból prawdziwy, okropny – bezrozumny jak zwierzę, bezbożny jak piekło!

Cyprian z wolna przychodził do siebie, spojrzeniem i niepewnym uśmiechem za troskliwość dziękował, ale mówić nie mógł, bo zanadto był osłabiony – usnął wreszcie i mieliśmy go pilnować kolejną – ja pierwszy miejsce przy nim zająłem, lecz gdy się wszyscy rozeszli, nikogo później puścić nie chciałem. Siedząc tak, siedząc godzinę po godzinie, w najgłębszej cichości, sam nie wiem, jakim spadkiem myśli zadumałem się nad wszystkim, co mi Cyprian przed swoim zemdleniem mówił – i było to dziwne dumanie. Robiło mi się czasem rozpaczliwie tęskno i duszno, a później znowu było mi, jak gdybym się miał spieszyć gwałtownie, jak gdyby coś o jedną chwilę życia uciec mi lub dogonić mnie miało – było mi, jak gdybym się niecierpliwił, jak gdybym nie mógł prędko rozpieczętować najpożądańszego listu, zerwać lub rozsypać powrozu, którym by mi nogi skrepowano; nagłym ruchem zacisnąłem palce na palce, że aż mi wszystkie stawy chrupnęły i przerzuciłem obie ręce na założone kolano. Nie wiem, czy ten ruch prędkości, czy inny jaki powód zbudził Cypriana, ale gdy spojrzałem ku niemu, już miał oczy otwarte i smutno wlepione we mnie.

– Może ja źle zrobiłem? – rzekł swoim dawnym; pocziwym braterskim głosem – wplotłem przedwcześnie marzenia w twoją duszę i już cierpisz.

– Oh! cóż ty znowu o cierpieniu mówisz! – szczerze go uspokajałem – śpij, śpij, braciszku, ja nigdy nie byłbym szczęśliwszy, gdyby nie choroba twoja.

– Jeśli tak, to dobrze. Obudziłem się z jakąś myślą żalu właśnie w tej chwili, kiedy ręce załamywałeś, resztką snu przywidziało mi się, że ja początkiem twojej niespokojności.

– Niespokojności, być może – a najpierw o ciebie, Cyprianie.

– Na ostatku o mnie, mój Beniaminku! Najpierw... już ja zgaduję, o co najpierw – i szkoda, bo trochę przecierpisz, teraz lub później, ale inaczej być nie mogło, mój obraz przede wszystkim – iż tym wyrażeniem jak gdyby zrzucił całą odpowiedzialność z sumienia swego. – Choć przecierpisz – mówił znów bardzo spokojnie – to ja ci nadgrodzę; wezmę cię z życiem, z młodością, z marzeniami twoimi, z cudną pięknnością twych rysów, wezmę cię, Beniaminku, i poniosę w świat szczęścia – złożę głowę twoją na kolana tej, przed którą uklęknałem, gdy mi się po raz pierwszy objawiła – rozkocham cię, rozpieszczę!... Dlategoż mi tak dziwnie w oczy patrzysz? Alboż jeszcze nie zrozumiałeś, że o moim obrazie mówię? Mój obraz to cała nauka moja, wszystkie namiętności moje, nadzieja moja ostatnia! Od chwili jak go w duchu pocałem, czuje, że wciąga w siebie wszystkie siły moje żywotne, w dniu, w którym rozłączy się ze mną, w którym widomie stanie dziełem skończonym, w dniu tym będziesz mógł powiedzieć, Beniaminie: „Miałem brata Cypriana”.

– Cóż to za obraz? Cóż to za obraz? – powtarzałem w małych przestankach jego mowy.

– Obraz Aspazji i Alcytriadesa – czemu Aspazji, czemu Alcybiadesa? O to samo Pana Boga pytaj. Raz przed cudnie zrobioną Matką Boską w zachwyceniu stałem, usta, co się nie skarżą, łzy, co bez wiedzy płyną, dusza z przewagi nerwów wyzwolona, świat ziemski daleko w przepaść zapomnienia odepchnięty – widziałem, rozumiałem wszystko; wtem nagle postaci mego obrazu wzrok mi przesłoniły, niech ci mędrzec prawem ostateczności ten objaw tłumaczy, ja wiem tylko, że podziwiałem świętość w najokropniejszej boleści, a mnie się ukazała świętość w najżywszym szczęściu uniesieniu; wiem, że się modliłem do chrześcijan Niepokalanej Dziewicy, a mnie pojęcie całej przeszłości poganizmu do duszy wstąpiło i kazało się malować; wyraźnie kazało się malować – i odtąd całe życie moje było ciągiem jednej nad tym obrazem pracy, a nie przed sztalugą tylko. Ja wszędzie i w każdej chwili zbierałem farby, zarysy, pod wszystkie światła promienie ustawiałem go sobie i na koniec treść jego przejęła mię, przepęłniła i zacząłem nią żyć, żyć – po ateńsku, chwilami rozkoszy, piękności i siły młodzieńczej... O! jednak to chyba ludzie się cofnęli, kiedy dziś śmieją takimu

życiu zaprzeczyć... O! jednak to, mój Beniaminie, pieśni, tańce, gwar szumnej uczt, powiewne szaty białych kobiet, rubinowe i złote płyny w przejrzystych szumiące kształtach, wonne kwiaty i wonne kadzielnic kosztownych dymy, światło czystej oliwy, światło drogich kamieni i najświatlejsze światło: spojrzeń pięknych oczu! – O! jednak to, mój Beniaminie, to dobre, bo to szczęśliwe, tego odpychać nie można – a kiedy wyżej od tego jeszcze myśl twoja uleci, kiedy to nawet przedążyłszy sławy pragnieniem i przepięknisz chwilą natchnienia, kiedy więcej niż tak wiele da ci talent twój – o, doprawdy wtedy i życia, i miłości, i sił swoich nie ma po co żałować! Ja dziś rozumiem, dlaczego Ateńczycy taką mieli przeciw śmierci odwagę, jakiej w całych dziejach ludzkości już nie znajdziesz potem! Oto dlatego tylko, bo żyli! – żyli wszystkimi skłonnościami swoimi, wszelką możliwością natury! Kto umiera z silną wiarą, że do nieba idzie, ten nie ma odwagi przeciw śmierci, ten ma tylko wielką lepszego życia niecierpliwość – ale kto nie wie, co go później spotka, lub też upewniony jest właśnie, że go nic spotkać nie może, kto w zgonie widzi tylko rozstrojenie organizmu, ból choroby, martwość trupa i popiół urny grobowej, a jednak śmiało naprzód postępuje, ten się dopiero śmierci nie boi. Ja ci zaś powiem, kto może tak się nie bać – oto szczęśliwy jedynie – wierz mi, bracie, szczęście najlepiej człowieka z koniecznością godzi; kto wesoło użył wszystkiego, kto naczepał pełnymi rękoma w skarbach ziemskich i pełnym mózgiem w rozumie bogactwa, ten się nie będzie z przeznaczeniem kłócił. Jest w każdym człowieku pewna miara kupieckiej rzetelności... Bierze się od natury tyle – oddaje tyle, i kwita. Bierze się życie – oddaje życie. Bierze się od użycia – oddaje zużyte, rachunek czysty, sumy równiuteńkie – komu by się tam chciało o nadmiar targować. Ale kiedy nieszczęście przy twojej jednostce długi szereg okropnych nicości, smutnych zer dopisze – zwiększa się wtedy mimowolnie, na sta i tysiące zwiększa się jej wartość. A jak tu oddać, co ja łzami mymi okupiłem? A jak tu oddać, co mię tyle cierpień kosztowało? A jak tu oddać, czego nie wziąłem jeszcze? – Na łzy i cierpienia szachrajską taksą zgonu są konwulsje – na lata przebolełe, omylną miarą kalendarzowy podział. Jeśli nieszczęśliwy w paroksyzmie rozpaczy, w napadzie obłąkania sam sobie życia nie odbierze, to nie wierz mu nigdy, że chce umierać – nieszczęśliwy chce żyć właśnie, nieszczęśliwy trzyma się jutra całymi siłami drętwiejących rąk swoich, bo z jutrem łączy go coś silniejszego od nadziei samej, łączy go ciekawość: jakie też to szczęście być może? I nieszczęśliwy boi się wszystkiego,

nieszczęśliwy jest najnikczemniejszym tchórzem, chociaż sam przed sobą i przed drugimi zapiera się tego – nieszczęśliwy, gdy mu umierać przychodzi, umiera z przekleństwem na ustach, wyrzuca piekielne szyderstwo Bogu i pluje na świat, co mu niezrozumiały, niepojęty, dał potrzeby bez zaspokojenia, dał czas do cierpień, a nie dał jednej chwili do radości. – Ja tak nie umrę, mój bracie; byłem szczęśliwy, kochałem, używałem, stworzyłem mój obraz; miałem wszystko, nie żałuję niczego.

I z ostatnim słowem Cyprian, który w ciągu swej mowy rzeźwił i silniał widocznie, nagle wstał z łóżka jak gdyby najzdrowszy w świecie i prędko ubierać się zaczął.

– Aha! mój Beniaminku – ze śmiechem wołał na mnie – jeszcze mnie ledwo przez połowę rozumiesz, jeszcze mnie wcale nie rozumiesz nawet.

– Wcale nie rozumiem, prawdę powiedziałeś – odrzekłem wolno, z namysłem.

– Bo też ty niczego nie rozumiesz, ani szczęścia, ani nieszczęścia, ty dziecko jeszcze!

– Mylisz się, ja tylko nie rozumiem siebie w twoim obrazie.

– Ale chciałbyś zrozumieć – ot, ciekawość, pierwszy gradus do piekła – i zdaje ci się niby, iż mógłbyś walczyć z nieszczęściem, które jest wieczną, niespokojną i nigdy nie zaspokojoną życia ciekawością. Daj pokój tym urojeniom, idź swoją drogą, bądź szczęśliwy, poznawaj i bierz.

Jako widzicie, moi państwo, Cyprian zaczynał dziwaczyć, miał gorączkę, ale po co ja go słuchałem, tak słuchałem uchem i duchem. On tymczasem chodząc, rozmawiając, zbliżył się do wielkiego zwoju płótna, który stał w głowach jego łóżka, niedaleko ode mnie właśnie, dotknął się go i, dziwna rzecz, drgnąłem, jak gdybym niespodzianie uczuł owo dotknięcie.

– Pokaż! – zawołałem tylko. Cyprian wstrzymał się.

– Ona tu jest – rzekł z cicha – moją Aspazję już mam – pierś wzniosła się westchnieniem, czoło potęgą myśli rozświetliło, usta otwarły słowem miłości, może pocałunku obietnicą – już ją mam, ona tu jest, blisko nas obu – moja Aspazja-płomień – moja Aspazja-dźwięk – moja Aspazja – rozkosz w mądrości i mądrość w rozkoszy! Moja Aspazja, ta kochanka moja, co mi zubożyła na koniec wszystkich kobiet wdzięki, co wiecznym złudzeniem, nieodstępną wizją stanęła w dziecinnych moich dumaniach i w snach nocy niespokojnych – moja

Aspazja!... moja!... Lecz ty będziesz jej – o tak, Beniaminie – wyczerpiałem wszystkie skarby duszy mojej na utworzenie tego obrazu kobiety; dziś nie wiem, czy ona tak bogatą, czy ja tak ubogi, ale zabrakło mi nawet ideału do stworzenia godnego jej miłości kochanka; kiedy już wystąpiła z martwego płótna, żywa i jasna, kiedy usiadła przede mną i w całym majestacie podzielanego szczęścia, cofnąłem się przed własną potęgą i przed własną nieudolnością. Zrobiwszy tyle, zadrzałem... bo mi się zdało, że już więcej zrobić nie potrafię; od roku żyję w tej walce okropnej, w tych zapasach z niedokończonym dziełem, może być, że mnie to utrzymuje właśnie, bo juścić pewnym zdaje mi się, że gdy skończę mój obraz, skończę cały mój zawód i umrę, ale jak ci mówiłem przed chwilą, śmierć mnie nie przeraża, gdy przeciwnie tak długie wysilenie trudzić zaczynało – od wczoraj dwukrotnie szczęśliwy jestem – znalazłem! – znalazłem! – Bóg mi sam ciebie dał, Beniaminie! Jaki ty szczęśliwy! jaki piękny przy jej boku będziesz! Cały wieczór wczoraj uważałem cudny owal twojej twarzy i tę ruchów rześkość, i tę miękkość spojrzenia, i ten hardy rzut młodego karku, i ten pieszczotliwy ust całych obwód... Sprzeciwiałeś mi się czasem jakimś wyrazem niespokojnego smutku, ja ciebie nie mogę pojąć smutnym... nie... mów co chcesz sobie – smutek ci nie przystoi. Ty powinienes być szczęśliwym – dlatego to położywszy się daremnie chciałem usnąć, mieniłeś mi się we wszystkie zmiany twojego oblicza, a dobrej chwili podchwycić nie mogłem – ha! – wtedy wziąłem świecę, poszedłem do ciebie, i znowu, znowu ty byłeś tym, którego po świetle szukałem tak długo – piękny! O jaki piękny! – pod głowę lekko w tył zarzuconą jedną rękę podłożyłeś, druga sama niedbale wyciągnięta wzdłuż ciała twego opadła, szyja biała, niby utoczona, cudnym spadkiem łączyła się z nieco odkrytymi ramionami, pierś młoda, marmurowa a gorąca drżała przyśpieszonym oddechem i rajskie jakieś widziadła na uśpione rysy wstępowały, niby duchy z głębi spokojnej wody na jej powierzchni szklisto falującą – obudziłeś mnie, myślałem zrazu, że wszystko utracę, lecz nie, ja wszystko odzyskałem, oh! i więcej nawet! Jakżebym chciał już wziąć paletę i pędzel do ręki, żeby mnie nie odbiegła ta postać snem własnym i wrażeniem słów moich ożywiona, żeby mi się mgłą nie rozwiął ten młodzieniec z jasnym czołem, z przesilającym się w męskość dzieciństwem, z gwałtownością pierwszej żądz, ze słabością ostatniej trwożliwości swojej; ten młodzieniec taki już silny, taki już dumny, taki już cheiwy, żeby chciał na jednych ustach „pocałować wszystkie kobiety od północy do południa” albo jednym zamachem ściąć wszystkie gło-

wy straszliwej hydry tego świata, albo jednym ramion objęciem wszystkich ludzi jak braci do serca przytulić, albo jedną złotą czarą wszystkich uciech spełnić toast i był sławnym, pięknym, szczęśliwym, kochanym – ach! i kochać! bez miary, bez końca... wszakże to jest mój Alcybiades, mój Beniamin, mój przesłicznej Aspazji kochanek...

Cyprianowi koniecznie trzeba było tak się rozmarzyć, Cyprian był artystą – lecz ja dzieckiem wtedy byłem i naprawdę rozlubowałem się... szczęściem, nie w sobie jeszcze, ale w słowach jego, w takim, jak on go wyrazami malował, Alcybiadesie.

Czułem, że od serca po całej piersi, a od tyłu głowy po całym czole rozchodziły mi się niby jakieś gorące promienie i koła, pochwyciłem trzymane przez Cypriana płótno i zacząłem wszystkie obwijające je sznurki rozrywać z pośpiechem. A wtem drzwi się uchyliły, na palcach cichuteczko weszła matka o syna swego niespokojna. Cyprian wytrącił mi z rąk na wpół odwiniętą pakę i pośpieszył do wchodzącej. Jeśli z was kto ma jaką skłonność do mistycyzmu, niech sobie wystawi, że w tej chwili dwa duchy walczyły o całą przyszłość moją. Duch ciemny, niekształtnie jeszcze uwinięty w owe grube pakunkowe płótno, potracony ręką brata, z wolna toczył się po ziemi jak gad plugawy, co by niechętnie miejsca ustępował; a duch jasny, kobieta, matka, spokojnym uśmiechem, tkliwym słowem ścierała jego potęgę, zabierała mu chwilę po chwili życia mojego i odepchnęła go wreszcie daleko, przynajmniej na czas jakiś odepchnęła jeszcze.

Z początku łajała matka Cypriana, że wstał zbyt prędko, widząc go jednak prawdziwie zdrowszym i weselszym, sprowadziła nas obu do pokoju, w którym wszyscy razem, tak jak tu dzisiaj na przykład, ciepły obsiedliśmy kominek. Julcia trochę śpiewała, dzieci dużo krzyczały, a gdyśmy na noc do siebie wrócili, Cyprian już nie chciał płótna swego rozwinać. Tak przeszły wszystkie dni świąteczne i wyjechałem z domu, obrazu nie widziałem, a Cyprian był zdrowszy.

Święć się, święć się, wieku młody!
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!
Idealne wiary, cnoty,
I miłości, i swobody!

O bodaj to mieć młode, czyste jeszcze serce! To jak muszla z dalekiego morza! w niej każda rana – perłą; w nim każdy niepokój ideałem; rzuć garść błota do takiego serca, po jednej marzeń godzinie będziesz miał błoto w diament skryształone. Święć się, święć się wieku młody

Ah! żebyście wiedzieli, jak ja skryształilem słowa Cypriana! A mieszkalem z nimi cale sześć miesiacy prawie sam na sam, wśród gór i lasów. Pokochałem się w Aspazji – nie była to owa marzycielska, bezscelna miłość, nie były to owe sny i tęsknoty za niepoznanym uczuciem, owe błąkania się po raz pierwszy zbudzonego napływem gorętszej krwi serca. Nie, ja kocham wyraźnie słowa mego brata i tę postać z obrazu, która przecież istniała, chociażem jej nigdy nie widział. Miałem pojęcie na uczucia moje, miałem i przedmiot pojęcia, tylko jednego rzutu oka brakowało. Czasem byłbym dosiadł konia i ku domowi pędził niecierpliwy, ale częściej – co mi po tym spojrzeniu! Ja kochałem Aspazję, kapłankę szczęścia, piękności, rozumu. Szczęście, piękność i rozum to była miłość moja. Pierwej żyłem tym, co mi samo przez się z życiem nadpłynęło – teraz roztworzyłem chciwe ręce i sięgałem na wszystkie strony po marzenia, po objawy, po wiedzę. Pierwej, gdy co nie było ukochaniem moim, to mijałem bez uwagi, bez myśli; pierwej świat mój był najcudniejszym zaiste światem, ale światem maleńkim, światem, od którego odpadła dla mnie w niebyłość cała jego resztująca masa – teraz nic obojętnym, nic czczym, teraz z wszystkiego ja muszę coś wziąć, muszę wycisnąć chwilę przyjemności, zajęcia, nauki, a jeśli nie, to dopiero ciskam z oburzeniem i odznaczam sobie uczuciem wstrętu, gniewu, pogardy; a martwego nic nie ma dla mnie. Dostał mi się świat nowy, świat drugi, zupełny; więc, wszak prawda, że kochałem Aspazję? Mnie się zdaje, że wtedy kochałem ją najwięcej, najprawdziwiej, bo wtedy i tylko wtedy niby ptak, co wszystkie pióra do lotu rozwinię, niby okręt, co wszystkie żagle na wiatr pomyślny rozpuści, ja rozwinąłem wszystkie władze mego ducha, rozpuściłem wszystkie istoty mojej żywioły i leciałem, i pędziłem w nieskończoność – w nieskończoność!... O, ja wtedy najwięcej Aspazję kochałem!

4.

Jednego dnia, był to dzień lipca, ale już ku wieczorowi schodzący, duszny, bez słońca i bez burzy, ciężki jak niebo, gdy deszczem zapłakać nie może, a coraz niżej, coraz ciemniejszymi i pełniejszymi chmurami ziemię naciskać musi. Gdybym w dniu takim był spokojnie z założonymi rękami chciał siedzieć, to by mi było piersi rozsadziło – wiedział już o tym poczciwy Bazyl, mój najdawniejszy, jeszcze z lat dzieciennych znajomy, a teraz więcej towarzysz niż sługa. W pogodę nie pytał się o mnie, lecz na słotę zawsze starannie konia obrządził i wszystko do okulbaczenia przygotował, bo niemylnie po skończonej pracy siadałem na niego i dalej w góry, w lasy; tego dnia jednak miałem inny cel podróży. Na poczcie sąsiedniego miasteczka musiał być dla mnie list z domu, już od dwóch tygodni czekałem go z największą niecierpliwością, a zawsze daremnie! Mój kary Sokół, jak gdyby wiedział o tym, sadił najposuwistsze kroki najrówniejszego galopu, a ja tak się ukołysałem, że mi cugle z rąk wypadły. Jechaliśmy lasem, gęstość drzew przejmowała resztki nieczystego światła, naokoło była tylko owa, jak to się często zdarza, owa widna ciemność. Wtem niespodzianie gałęzie jakiegoś drzewa z szelestem łamać się zaczęły, coś parsknęło, syknęło, dwie źrenice dzikiego żbika jak dwie krwawe iskry zaświeciły i tuż przed łbem końskim z łoskotem ciało jakieś na ziemię upadło; nim zdążyłem pomiarkować, co to być mogło, już mój Sokół zarżał przeraźliwie, w bok się rzucił i poniósł mię jak szalony.

Pozwieszane nad gościńcem dłuższe konary były mię w twarz, były mię w oczy – łatwo mogłem o pień który głowę sobie rozbić. Cóż tu czynić, moi państwo? Oto, żebyście wiedzieli, z całej siły na większy pośpiech gwizdnałem Sokołowi, a potem przytuliłem się do jego miękkiej grzywy, jak dziecię do najwygodniejszej poduszki, i myślałem – „Ha! niech sobie leci, gdzie chce i póki chce mój Sokół”. Więc też Sokół leciał, a mnie leciały przez głowę różne obrazki, roidła, wspomnienia, aż nadleciały i słowa Cypriana w owej pamiętnej nocy słyszane. Doprawdy zdało mi się, że nie przez porównanie, ale rzeczywiście, wi-

domie, osobiście, z przestrzenią się ścigam. Było to jakieś dziwnie miłe uczucie – przestrzeń uciekała poza mnie czarnym potokiem usuwającej się spod końskich kopyt ziemi – przestrzeń tuż obok mnie biegła dwoma rzędami ciemnych, dziwacznych, olbrzymich postaci – przestrzeń wyścigła mnie w górze wielką z rozpiętymi skrzydłami chmurą, której dobiec nigdy nie mogłem, którą zawsze jakby ducha ptaka widziałem przed sobą. Ach! powiadam wam, że to było prześlicznie. Gwizdnąłem raz jeszcze – Sokół nie biegł, lecz leciał. Sokół chyba swoim mocnym, przyspieszonym oddechem wciągnął w siebie całą bajeczną miejsca odległość, gdyż nagle uciekły postacie-olbrzymy, uciekł ptak-chmura; został tylko przestwór bez granic – bez przedmiotu – bez tła, ale przestwór głośny świszczącym koło uszu powietrzem i bijącymi o kamienisty grunt podkowami, przestwór rozjaśniony od spodu rześnistym gradem iskier, które w przelocie łącząc się promieniami, tworzyły czasem niby łamanie się jakiejś ognistej fali – aż jednej i z drugiej strony tak ciemny, tak ciemny, że chyba świata nie było. Wtem nagle wyskakuje masa czarna, ogromna – to góra, ale daleko, na tej górze łuną bije godna tego krajobrazu pochodnia – może wybuch wulkanu?... ot, już blisko... nie, to nie wulkan – to gmach tylko cały w płomieniach, a mury, grube jak czarna siarka, odbijają nieprzejrzystymi kratami od tej ze wszystkich okien rażącej światłości. Czy gmach się pali?... Nie – to jakaś uczta zapewne, bo mię niby dźwięk muzyki zaleciał, niby gwar ludzkich głosów – ale Sokół tym okropnym rzeniem boleści i trwogi, co to je kwikiem końskim nazywają, zagłuszył wszystko – poczułem drgnięcie całej skóry jego, mokre płaty ciepłej piany padły mi na rękę i czoło – znać było, że sił nowych dobywa. Chciałem wstrzymać – żal mi się zrobiło karego – lecz gdzież tam wstrzymać podobna? Szarpaliśmy się przez chwilę, a ledwie tego dokazałem, że gdym chciałem w tył zawrócić, on na bok skręcił i znowu biegł strzałą. A więcej moja niż jego była w tym wina. Przyznam się, że lubiłem ową tabunową niesforność i nigdy go od tysięcznych nie odzwyczaiłem narowów, bo mi jakoś było przyjemniej pohulać na takim samowolnym i dzikim stworzeniu, milej popróbować się lub – jak dnia owego – poszaleć z taką swobodą i nieugiętą naturą, niż mieć tylko ciągle posłuszne mej woli narzędzie. Zresztą trzech rzeczy pewny byłem: – nóg Sokola, że się nie potkną – popręgu siodła, że nie pęknie – siebie samego, że nie spadnę i że gdy zechcę, bez szwanku choćby w największym pędzie na ziemię zeszkoczę.

Tymczasem przez cały dzień nabrzmiewające chmury coraz częściej zbijały się po niebie – przeciągły huk grzmotu rozlegał się i konał długim, ponurym echem, od chwili do chwili błyskawica zapalała pół widnokregu i znów gasła, gorącość jakaś ciężka, dusząca wypełniła powietrze, ale żaden wichru poświst, żadna deszczu kropla nie ulżyły obłokom, nie odświeżyły ziemi. – Spojrzałem dokoła: góra, zamek,

światła, wszystko jakby się w ziemię zapadło i zniknęło bez śladu. Gdzie szła droga, ni dopatrzeć, ni domyślić się nawet. Wtem chrapliwy i nateżony oddech drugiego konia ucho moje uderzył. Zwróciłem się na prawo i rozeznałem wśród ogólnej czarności jakąś czarność mocniejszą, prawie do cienia mojego podobną, gdyż miała także kształt ludzkiej na koniu siedzącej postaci.

– Z drogi, z drogi! – ozwał się głos pewny, rozkazujący, lecz miękki, jak gdyby się z piersi niedorosłego młodzieńca wydobył.

– A z której i na którą, mój niewidzialny towarzyszu? – odrzekłem bardzo wesoło. – Wdzięcznym ci będę, jeśli mi to powiesz, gdyż właśnie zdaje mi się, że zbłądziłem trochę.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem mocne świnienie pręta i smagnienie, które na łeb Sokołowi padło, a potem śmiech przycięty, wyzywający i szelest niby długiej szaty, która mię w przelocie lekko nawet z boku musnęła.

Zerwałem się na strzemionach, jak gdybym mógł być i sam dowiedzić, i stać się widzialnym.

– Ha! kiedy tak! – krzyknąłem – więc teraz mnie z drogi, mnie z drogi precz!

I w tejże chwili o władnąłem Sokoła, co się zżymał i wyginał, potoczyłem nim jak dzieckiem, jak własną ręką, jak myślą moją – nie zastanowiłem się, co chcę uczynić, co zrobić? tylko instynktownie czułem potrzebę ciśnięcia się na poprzek temu szaleńcowi, choćbyśmy we wzajemnym starciu wszystkie kości mogli strzaskać sobie. Mój kary odgadł zamiar – rozjątrzony własną obelgą, lepiej, zupełnie zjednoczył się z chęciami moimi; wszystkich mięśni siłę nateżył i wspiał się niby do przeskoczenia najwyższej bariery, lecz nagle – długim węzłem rozdarło się niebo – piorun – trzask – blask – jedno oka mgnienie – czy wy rozumiecie, jak to wszystko było prędkie – jak niespodziane? – A jak to trwa długo!...

Jam ją wtedy, ujrzał po raz pierwszy.

Tak jest, po raz pierwszy ujrzałem przy jednym błysku pioruna. I najpierw załśniła mi tylko jej twarz blada a cudnie piękna – reszty po-

staci dowidzieć nie mogłem. Pamiętam, że targnąłem koniem, że później on mną targnął, że niepojętym dziwem utrzymaliśmy się oba, ale jak się to stało? jakim sposobem wkrótce zrównałem się z nią i przy jej boku koń w konia sadziłem? – tego dziś jeszcze sobie wytłumaczyć nie mogę.

Długo jechaliśmy tak obok siebie w najgłębszym milczeniu, tylko już wichur zaczął się zrywać; kiedy niekiedy szerokie krople deszczu na twarz lub ręce spadały i kiedy niekiedy znowu świstał w powietrzu ów pręt do biegu naglący – ale przynajmniej nie mojego na ten raz wierzchowca. I owszem, znać było, że ciemna postać kobiety chce mnie prawem prostego wyścigu uprzedzić. Lecz nie z Sokółem taka sprawa – mój Sokół wyciągnął się struną tuż przy ziemi i na krok przegonić się nie dał – i pędziliśmy oboje, a tylko z ruchu i ze słuchu miarkowałem, że po kamieniach lub po piasku, że po zagonach, lub po łąkach pluskających wilgocią. Nareszcie droga w górę się podniosła i galop naszych koni ocieślał trochę. Towarzyszka moja z największą niecierpliwością kilka razy syknęła, a mnie się zdało, że poza nami tętent jakiś słychać było.

– Nie – nie! aby też oni mię nie dościgną! – powtórzył kilkakrotnie ten sam głos śmiały a dźwięczny, który mi się z początku głosem młodzieńca wydawał, i nie wiem, czy za jego pomocą, czy za pomocą ostrogi – na długość szyi końskiej ciemna postać wysunęła się przede mnie. Deszcz już wtedy lał strumieniami – błyskanie ustało – nie widziałem nic a nic dokoła, tylko mi wśród czarnej owej nocy obrazów świeciła jakby czarodziejską sztuką dokładniej w pamięci odbita twarz tej kobiety – a twarz sama bez innych członków ciała, bez zaokrąglenia nawet w pełność wydatnej głowy, twarz jakby z srebrnej tarczy księżycyca wykrojona na tle zupełnie bezbarwnego nieba.

Czyż ja chciałem ją gonić – to Sokół mój gonił przecież – gonił – i gdyśmy u szczytu góry stanęli, kopyta jego o bruk zadzwoniły. Rozeznałem jakieś załamy murów, po odbiciu tętentu odgadłem, że się jedno i drugie sklepienie przebywa, aż na koniec brzęknął gdzieś łańcuch, rozpadła się, mógłbym najsprawiedliwiej powiedzieć, rozpękała wzniesiona przed nami masa i niespodzianie płomienna jasność wylała się z tego otworu – domyśliłem się tylko, że to był ów gorejący zamek, do którego z innej przybyłem strony, ale przekonać w pierwszej chwili nie mogłem się zupełnie, tak mię to nagłe światła oślepiło. Gdy mi źrenica nieco przywykła do niego, ujrzałem przez dwóch ludzi trzymaną i pąsowym okrytą czaprakiem śliczną arabską klaczkę, trochę do naszej

Zitty podobną, ale daleko piękniejszej rasy jeszcze. Ta, która na niej jechała przed chwilą, już zsiadła i zniknęła – przy mnie zaś stał Murzyn w bogatym złotym ubiorze i niby na odebranie cugli czekał jedynie.

Gdybym się był wtedy kogo bądź tylko o drogę zapytał, gdyby konia skręcił, gdyby wrócił do domu!... ha prawda! nic by to nie pomogło już. Mnie też myśli podobne nie przyszły do głowy. Zeskoczyłem na ziemię, Murzyn konia odebrał, a przy progu sieni stojący z wielką srebrną laską, złoty i czarno ubrany szwajcar w milczeniu skłonił mi się i drzwi wskazał na lewo – poszedłem na lewo i tak ciągle niemymi znakami służących wiedziony, przebyłem pełno salonów azjatyckim zbytkiem ozdobnych, aż na koniec wszedłem do małej przybocznej komnaty, gdzie dwóch chłopców naraz, jako gotowych do usług stanęło.

– Co pan rozkaże?

– Jakiego pan sobie życzy przebrania? W istocie czas było, żeby już przecie głos ludzki wywiódł mię z tego odurzenia, w którym od chwili mego przybycia zostawałem. Zapytania chłopców przekonały mnie, że mój sen rzeczywistością, że ja z żywymi ludźmi mam do czynienia.

– Nic nie rozkazuję i żadnego nie chcę przebrania – odpowiedziałem im po chwili – szczególniejszy

przypadek sprowadził mię w te miejsca; nie znam w nich nikogo, ale znać bym pragnął, żeby się z obecności mojej usprawiedliwić i wytłumaczyć. Chłopcy z zadziwieniem po sobie spojrzeli.

– Przed kim pan chce się tłumaczyć? – zagadnął jeden z nich wreszcie.

– Przed panem lub panią waszą.

– Pana nie mamy – odparł z niejaką dumą starszy, prześliczny brunecik w szkockim ubiorze, w czarnej, aksamitnej z orlim piórem czapeczce.

– I pani jest panią tego zamku, lecz nie naszą panią – przydał drugi, młodszy jego towarzysz, jaśniejszych włosów, jaśniejszych oczu, ale tak podobny pierwszemu, jak drobniejsze i nieco bledsze tylko tego samego obrazka odbicie.

– Więc chcecież mi powiedzieć, czy z panią tego zamku będę mógł się widzieć?

Rzucili okiem na zegar i prawie jednocześnie odrzekli:

– Za dwie godziny dopiero ma się bal zacząć.

– Lecz ponieważ ja na balu nie będę, niech który z was pójdzie i wcześniejsze wyrobi mi posłuchanie.

Ledwo tych słów domówiłem, drzwi się otworzyły i wszedł wysoki, chudy mężczyzna, cały czarno ubrany, ze złotym łańcuchem, który mu po zwierzchniej sukni od ramion aż za piersi spadał.

– Moja pani – rzekł tak jednotonnym głosem, jak gdyby echo w nim tylko jego własne powtarzało słowa – moja pani pozdrawia pana gościem w domu swoim – prosi, żebyś z nią dzielił ucztę nocy dzisiejszej i przyjął, jaki sam zechcesz, ubiór dla odmienienia sukien deszczem zmoczonych.

– Proszę w imieniu moim (znowuż uczułem, że mię sen ogarnia, odpowiedziałem jednak z największą w świecie powagą) złożyć za gościnność dzięki, a na rozkazy oświadczyć posłuszeństwo.

– A zatem pan będziesz na balu i przebierzesz się? – zapytał młodszy chłopiec po odejściu wysokiego jegomości. – Będę na balu i przebiorę się – powtórzyłem jakby z pamięci jedynie.

– Oh! to dobrze! oh! to dobrze! – zawołały chłopczyki i potem jeden przez drugiego zaczęli mi różne wyliczać stroje.

– Przebierz się pan za Turka, to strój taki pyszny, diamentów na nim tyle – mówił starszy.

– Przebierz się pan za minstrela! to nierównie piękniej – głosował młodszy.

– Za rycerza! mamy zbroję lekką, stalową, całą złotem nabijaną.

– Za Albańczyka, oh! już lepiej za Albańczyka!

– A ja powiadam, że za króla z uczyty Baltazara! To najbogatsze.

– Co też ty wygadujesz – ten pan, taki młody, miałby się za jakiegoś starego króla przebierać – ot, ja wiem, co on wybierze, pewno szatę lewity – wszak wiesz, bracie, ową szatę dorastającego Samuela – białą z najcieńszej kaszmirskiej tkaną wełny – panu w niej będzie prześlicznie.

– Już ja się przyznam, żebym wolał jako uczestnik tajemnic Mitry wystąpić.

I długo tak jeszcze prędko szła między nimi rozmowa i wyliczali wszystkie przepychy, kosztowności, jakby na rozkaz mój czekające, a ja do wyboru myśli i woli zebrać nie mogłem. Wreszcie jakieś życzenie błysnęło mi w duszy.

– Czy macie strój dawnych Greków? Strój Ateńczyków? – zagadnąłem niechcący.

– Oh! są! Są cudne! – wykrzyknęli oba i w ręce klasnęli.

– Są ubiory Harmodiusa i Arystogitona , ubiory świąteczne, ze sztyletami wśród wieńców bluszczowych.

– Jest ubiór mędrca Platona.

– Jest ubiór poety, zwycięzcy na olimpijskich igrzyskach.

– Jest ubiór Alcybiadesa...

Ten ostatni wyraz uderzył mię, jak gdyby własna myśl moja wyskoczyła z głowy i znów do niej cudzym chciała wrócić głosem – wrażenie było silne, lecz też przywołało wszystkie w rozmarzeniu zawieszane władze mojego umysłu.

– Nie, nie – odparłem dość prędko – nie chcę pożyczonym zbytkiem i kłamaną postacią witać miejsc tych pani; dajcie mi skromne, góralskie odzienie lub w moich własnych sukniach do niej pójde.

Skrzywił się trochę starszy chłopiec, młodszy zastanowił się przez chwilę, ale wkrótce dość wesoło uśmiechnął.

– No, ja ci mówię, że i tak będzie mu pięknie – rzekł półgłosem do brata i oba wybiegli, i oba wrócili niezadługo z najwierniej naśladowanym, ale jakże wykwintnym strojem tatrzańskiego górala.

Przywdziałem go – zupełnie dla mnie prawie zrobiony; i biała nieprzebitej gęstości koszula, i płaszcz ciemny, kolisty, i pas, i kapelusz, i łapcie nawet, z jedwabiem lśniącego łyka palmy uplecione. Starszy chłopiec kilka razy przeciągnął ręką po moich włosach, włosy nigdy gładziej w bogatszych i połyskliwszych pierścieniach na ramiona moje nie spadły. Młodszy docisnął zawiązek obuwia i noga moja nigdy swobodniejszą i lżejszą się nie poczuła. Od czasu do czasu patrzyli mi w oczy, potakiwali głową i uśmiechali się.

Na koniec wybiła godzina pierwsza nocy, druga mojego pobytu – znów drzwi się otworzyły, znów mi skinieniem ręki drogę wskazano, znów od drzwi do drzwi, od znaków do znaków przechodziłem pokoje, schody, niby sienie wielkie, niby długie krużganki, a tłumiona muzyka przedzierała się zewsząd: ze ścian, sufitów, posadzek, a mnóstwo postaci snuło się i migąło różnokolorowymi strojami szat swoich, a każdy to uśmiechem, to ruchem głowy, to spojrzeniem się witał z innymi, a ja sam szedłem – nieznany – nie znający – lecz dumny i śmiały. Ostatnie podwoje rozwarł przede mną jakiś herkulesowych kształtów Afrykańczyk z pojętym wzrokiem, z świecą od czamości skórą, jakby umyślnie postawiony tam dla przeciwieństwa z tym, co go odsłaniał widokiem. Bo jakiż widok, moi państwo! jakie rażące blaski od świec, od lamp kryształowych, od strojów mężczyzn i kobiet – za lada poruszeniem czoła, ręki lub szaty przewiewnej padały iskry diamentów,

rubinowe połyski. A co tam głów, co rąk, co tam szat w ruchu! – a ile dźwięków i tej niewidzialnej muzyki, i tego gwaru poszeptów, i tego szelestu miękkich jedwabnych materii – a ile woni najrzadszych kwiatów, najkosztowniejszych kadzideł, a jak to wszystko objęte z trzech stron trzema zadziwiającej wielkości zwierciadlnymi taflami, a z czwartej przedłużane w nieskończoność jakiegoś ciemnego zagajenia, które białym kwieciem pomarańczy i świeżymi kiściami akacji gwałtem się między biesiadników cisnęło; a jak to wszystko cudnie z wierzchu szklaną przyodziaje kopułą, że tylko klęknij i módl się, bo już ucichła burza, najczystsze niebo widzisz nad sobą i Bóg sam wszystkimi gwiazdami przygląda się, czy też to prawda, że na jego ziemi ludzie tak bardzo szczęśliwi być mogą.

Rzuciłem się na pierwsze bliżej spotkane wezglowie, zdjąłem kapełusz, bo mi dla skroni wszystkimi pulsami bijących już zbyt ciasnym się zdawał, przycisnąłem ręce do piersi i w słuchu, w oku zawisłem całą duszą moją.

Kilka osób przemówiło coś do mnie – popatrzyłem, nie odpowiedziałem i odeszły z uśmiechem na twarzy – one pojąć nie mogły bez wątpienia, co znaczy takie bezsłowne uniesienie przybysza; one zrodziły się i wzrosły wśród tych przepychów – ale mnie, z ubogiej rodziny najmłodszemu dziecku, mnie, biednemu górnikowi, mnie, któremu zasiane przez Cypriana fantazje tak bujno rozkrzewiły się w nieograniczone marzenia i chęci – cóż dziwnego, że przy ich pierwszym nadspodziewanym spełnieniu trochę się zaćmiło w oczach, trochę pokręciło w głowie. Jednakże wtedy jeszcze, przy niespożytych zasobach mej młodszej siły, to zawsze miałem w sobie, że pomimo największej skłonności do roztopienia się w jakiejś, że tak powiem, senliwej ułudzie, pomimo najżywszej, najdziecinniejszej wrażliwości mojej, z każdą chwilą gwałtowniejszego przejścia odzyskiwałem zupełną równowagę władz mego umysłu i to zazwyczaj, co się zdawało być przeznaczonym do zupełnego stargania już nadwątlonych włókien zimnego sądu i stanowczej woli, to mię zwykle właśnie wyzwalało spod zewnętrznych wpływów – to mi sąd i wolę, kamienną wolę wracało.

Otóż i tej nocy dźwiękami, woniami, światłami upiłem się niby wymiarkowaną na ten skutek dozą wschodniego narkotyku – lecz tuż przy mnie ozwał się dźwięk jej głosu, rozplynęła dokoła woń jej szaty, zaświecił blask jej cudnego oblicza – jam powinien był od razu stracić rozum – oszaleć... a ja właśnie na chwilę przyszedłem do rozsądku. – No, proszę was, piękne panie i młodzi panowie, nie krzywcie się tak

bardzo na ten wyraz. Rozsądek to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu matki was prosić uczyły, rozsądek najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka, na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej, co w spójności trzyma mędrców i prostaczków, gdy im najwyższego religiamentu, gdy im miłości zabraknie. Francuzi trochę lepsze od nas mają na to wyrażenie, oni ten rozsądek, o którym ja chcę mówić, zowią: *le sens commun* – i w istocie jest to jakiś zmysł powszechny, za pomocą którego można przyswoić sobie, można się wtajemniczyć niejako w sposób widzenia tak ogólny, że na co spojrzę, to mi się przedstawi takim, jakim jest dla wzroku innych, a dopiero co ja tam dojrzę w przydatku, w ujemności lub w odmianie zupełnej, to już moja własność, mój twór – ale zawsze, bądź co bądź, ja od żrenicy mojej gromadzę wszystkie promienie, pod którymi ludzie bracia na świat Boży patrzą, ja mam zmysł powszechny – *sens commun* – który, jeśli chcecie, ochrzycie sobie nawet pospolitym zmysłem, zawsze on mię włączy w masę ogółu, zawsze on mi nie da odpaść w dziwactwo i niepojętość. Bo proszę was, powiedzcie mi, na co się niepojętość przyda? na co ja przydałem? Ach! prawda, i Bóg także jest niepojęty – Bóg konieczność – Bóg przeznaczenie – lecz On ma czas, wieczność i prawdę niezjawioną, a człowiek co ma – a ja co mam? Szaleństwo...

Wtedy miałem jeszcze rozsądek – i widzicie, o moi drodzy słuchacze, bez owej resztki rozsądku nie byłbym dziś w stanie powiedzieć wam nawet, jaką to była ta kobieta, co mi życie wzięła – bo jaką ja widziałem ją potem, oh! to wy pewno nic byście nie zrozumieli, gdybym wam gadać zaczął – czy są też wyrazy po temu, ja nie wiem i nie szukałem ich nigdy – ale jaką ona dla innych wydawać się mogła, to wam powiem – słuchajcie.

Wysoka była, blondyna, miała w czarnych rzęsach ciemnozielone oczy, na twarzy jakby ślad znikającego rumieńca, na spadzistych ramionach, na wydatnej piersi lekko żółkniejącą białość marmuru. No i cóż, wszakże jak gdybyście ją widzieli przed sobą? Oh! prawda – właśnie też – ona wysoka, ale przecież nie, jak inni ludzie, wysoka wzrostem i ciałem – ona wysoką postacią, chodem, ruchem, ona wysoka spojrzeniem patrzących na nią, bo to spojrzenie musi w proch upaść, musi w ziemi utkwąć pierwej, nim się ku jej obliczu wzniesie – a od ziemi do jej oblicza, to jak od ziemi do nieba i dlatego mierzy się ją rozmiarem doznanych wrażeń i mówi: ona wysoka. – A czy blondyna? Wierzcie mi, państwo, że ponieważ nigdy na pamiątkę nie dostałem od niej „plecionki włosów, różową wstążeczką lub błękitną pelą związa-

nej” – nic a nic nie wiem o właściwym ich kolorze – w pierwszej chwili nazwałem blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje mogły w koło jej twarzy roztoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkimi odcieniami bursztynu, niby wszystkimi połyskami topazu aureolę. – Co do jej oczu, to prawdę powiedziałem: były ciemnozielone, ale ciemnozielone jak malachit, nie jak szmaragd – świeciły z wierzchu odbiciem tylko – bez żadnej promienności, bez tego przezrocza, którym to czasami aż dno serca widać – jej oczy były jak nie jej oczy, były jak gdyby zamarłe od dawna, jak pożyczone u trupa, najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie, do użytku, nie do szczęścia – co za dziwna sprzeczność z czołem wyniosłym i rysującym się w każdy wyraz myśli każdej – co za dziwna sprzeczność z licem bladym, ale zda się gorącym jeszcze od krwi dopiero co ubiegłej lub gorącym już od krwi, co ma z pierwszym serca uderzeniem nadpłynąć – co za sprzeczność, co za najdziwaczniejsza sprzeczność z ustami szczególnie, z tymi jej drobnymi choć wydatnymi, z tymi jej świeżymi jak niewinność, namiętymi jak pieszczota ustami – takie oczy i takie usta! śmierć i życie! alboż to kiedy razem się widuje – oh! ja widziałem – ja też żyłem i umarłem. Żyłem wtedy, umarłem teraz – wy żyjecie teraz i umrzecie kiedyś, niezadługo – oto cała między nami istniejąca różnica. Powinnicie mię przynajmniej z ciekawością słuchać, ja wam wszystko opowiem, jak to się umiera za życia, ale nie teraz jeszcze – teraz ja żyję! Ja mam lat siedemnaście i siedzę na złocistym wezglówiu w pysznym salonie zaczarowanego zamku. Ona stanęła przy mnie, chrzęstnęła tęga mora jej szafirowej sukni, przewionął mi koło oczu lekki białej gazy obłok, na jaśniejących włosach zaskrzyła wąska na ćwierć cala tylko, lecz równymi w całej szerokości swojej diamentami nabijana opaska i poznałem ją – poznałem twarz ową z blaskiem pioruna ujrzaną raz pierwszy.

– A kto doścignął, a kto na równi stanął? – mówiła ona – pytacie, szukacie daremnie, to on – i trącił mię po ramieniu jej wachlarz kosztownymi piórami chwiejący; podniosłem głowę i oczy, sam z miejsca nie wstałem – wszakże pojmujecie, że gdyby przed którym z was objawiła się jaka święta, gdyby wizją stanął anioł na przykład, to by żaden z was przecież nie mógł zerwać się z krzesła lub kanapy i ukłonić według towarzyskiej grzeczności przepisów. Ja też siedziałem i patrzyłem – jej kamienne oczy przycisnęły mię do miejsca, ale jej usta zaczynały się z wolna uśmiechem rozciągać – z wolna, z wolna, aż perłami drobnych ząbków błysnęły.

– Przyznajcie też, czy się komu bądź sprawiedliwiej należało pierwszeństwo? – dodała, ciągle swoim wachlarzem o ramię moje wsparta.

Już na pierwsze jej słowa dość znaczne wkoło nas zebrało się grono, po tych ostatnich wyrazach jeszcze więcej kobiet i mężczyzn przybyło.

– Oh! prawda. – Oh! śliczny – Oh! piękny! – mówiono dokoła, a ja nawet nie uczulem najłżejszego pomieszania, które tak naturalnym w moim wieku i w moim położeniu mogło być uczuciem – ja patrzyłem na nią i czy mówiła, czy milczała, słuchałem jej głosu tylko.

– Powiedzże mi, góralskie dziecię, wiele lat mieć możesz? – zapytała tym swoim głosem, tymi swoimi ustami.

Co za szczęście, że jak już wam wspomniałem, każda ostateczność wtedy nową siłą wywoływała ze mnie – mogłem jej odpowiedzieć dość przytomnie.

– A pani powiedz mi także, ile to lat bywa we wszystkich dniach marzeń i w jednej ich urzeczywistnienia godzinie?

– Czy tak? – rzekła z tym samym lekkiego szyderstwa dźwiękiem, którego już pierwej wśród ciemnej nocy dosłyszałem. – Czy tak, mój biedny góralski chłopcze? Wszystkie dni marzeń i godzina ich urzeczywistnienia – oho! ja ci powiadam, że to jest sto lat z górą...

– Więc ja mam sto lat z górą – odparłem spokojnie.

– Ha! ha! ha! szanowny starcze! – zaśmiała się jakaś inna kobieta – powiedz nam teraz według kalendarza datę twojego urodzenia.

– Dobrze, jeśli wzajemne odbiorę zwierzenie.

– No, patrzcie, co to za mała gadzina! – ozwał się znowu jej głos wesołą pustotą w udanej surowości wyrazów zmiękczonej. – Alboż to ci się zdaje, że gdzie na swoim świecie żyjesz, na tym świecie, w którym to podobno czas złoczyńca z wdziękami i szczęściem w długiej zawsze niezgodzie po krótkiej harmonii bywa. Spójrzaj dokoła – czy która z nas lękać się go lub zapierać może, czy której z nas brak nie piękności – sił i uciech? Prostaczku! a wiesz ty lata nasze? Ot, patrz, z nas każda żyła wiek swej szaty. Właśnie ta, co cię zagadła, jest wielką kapłanką Izydy i śmiała się z Napoleona, który przy jej grobie coś o czterdziestu wiekach do swoich mrówek przebaknął – a ja sama...

– Ty, pani – przerwałem z żywością – nic mi nie mów o sobie, ja wiem już wszystko...

– Przedziwny! On wie już wszystko – no, powiedz zawsze, niech się przekonam, czy owo wszystko jest podobne do owej cząstki tego,

co ja się domyślam, gdyż naprawdę nie śmiem powiedzieć tego, co wiem...

– Pani urodziłaś się w którymś roku którejś olimpiady greckiej – przemówiłem bez uśmiechu, bez zająknięcia, głosem stałym i pewnym jako akt urzędowy – przepraszam, iż w tej chwili stanowczo jej oznaczyć nie mogę, ale mi erudycji nie starczy na wyszczególnienie daty z tego czasu, który w ojczyźnie twojej peryklesowym wiekiem nazywano.

Zatrzymałem się – uśmiech z jej ust zniknął, czoło jakby natężeniem szukanego wspomnienia pomarszczyło się między dwoma ciemnymi brwi łukami, wzrok jeszcze zupełnie zastygł w źrenicy.

– No, mów dalej, mów dalej, wieszczbiarzu.

– Ja nie wieszczbiarzem, ja pani przepowiedzieć bym nie mógł ani jednej chwili z przyszłości, ani jednego z jej zamiarów – ja tylko przeszłość widzę – jak historyk. W tej przeszłości imię twoje było: Aspazja.

Gdyby jej oczy mogły były spoglądać, nie patrzeć tylko, to bym zapewne do głębi mej piersi poczuł ich przenikliwe i długie spojrzenie – ale ona, choć wzrok swój badawczo zatrzymała na mnie, uderzyła jedynie, wskroś przejąc nie mogła – inne rysy jej twarzy odbiły lekkie, ulotne zadziwienie i znów pierwszy swój wyraz odzyskały, nie mogąc powiedzieć wrodzonej, lecz jak gdyby przedsięwziętej pustoty.

– Prawdę rzekłeś – odezwała się po chwili – jam Aspazją – a ty?

– Mnie rodzice Beniaminem nazwali.

– Więc ty, Beniamin! Oho! Beniamin to znaczy dziecię ukochane, dziecię wypieszczone, dziecię szczęśliwe – dziecię kochające.

– Tak jest, pani, to znaczy to wszystko.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zawołała Aspazja – on jest kochany i kocha – potem, siadłszy obok mnie tak blisko, że czułem z każdym jej ruchem każdy ruch dotykającej mnie szaty: – Jakże ty kochasz, Beniaminie – dodała z półuśmiechem tak wyzywającym, tak zalotnie czarownym, że wszystkie żyły gorętszą krwią plusnęły.

– A jak ty kochasz, jak ty kochasz, kobieto, Aspazjo?

– Hej! dziewczęta! przynieście mi lutnię – ja kocham, jak śpiewam, a wiem, że kocham tylko wtedy, kiedy śpiewam.

W stojącym z dala gronie młodych, niby kwiatki wiosenne dziewczynek, pewien ruch się zrobił i prędzej niż dopatrzeć zdołałem jedna z nich już żadaną podawała lutnię.

Czy to prawdziwa tylko lutnia była? Kształt dość podobny, ale z kryształu i struny złote z srebrnymi mieszane.

– Jak ja kocham? – powtórzyła niby rozmarzona, niby rozmyślająca – jak ja kocham? – I ręka jej trąciła o wszystkie struny od razu, a ręka tak muskularnie silna, pomimo najdoskonalszego zaokrąglenia, pomimo najdelikatniejszej czystości wszystkich rysunkowych obwodów, że od jej uderzenia struny ledwo nie pękły, że zamiast wydania dźwięku one krzyknęły prawie i od ich krzyku wszystko ucichło w salonie.

W głuchym milczeniu czekano pieśni.

– Oh! ja „tak” kocham! – zawołała Aspazją i niespodzianie w przerażliwym jęku wszystkie struny zerwały się pod jej palcami i odepchnięta lutnia z szklistą skargą o marmur posadzki rozbrzękła.

Aspazją powiodła wkoło siebie okiem i dumnie śmiać się zaczęła.

– Czy rozumiecie, co to znaczy? – to znaczy, że ja kocham jak Bóg – zniszczeniem i tajemnicą.

– Nie, pani, to szatan tak nienawidzi.

– Co ty wiesz, góralski chłopcze? co ty wiesz, Beniaminie. Szatan i Bóg, nienawiść i miłość, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności? – a odwróciwszy się ode mnie:

– Ja kocham jak Bóg – mówiła do drugich. – Miłość Boga czyż to nie jest najwyższa wyłączność, najzupełniejsze zniszczenie, najnieprzystępniejsza tajemnica? To co trwa, to co istnieje – to Bóg wyrzucił z siebie i to jest światowe albo ludzkie. Przeszłość tylko, której nikt nie zapamięta, jest z Bogiem – przyszłość, której nikt nie odgadnie, jest w Bogu. Życie gasnące wraca do Boga – umierający z Bogiem się łączy – dziewica, która zakonną przysięgę wymawia, Bogu się oddaje – Bóg wiecznie kocha, bo wiecznie posiada – wiecznie posiada, bo wiecznie niszczy. – Cóż wam się zdaje? że On ma tylko ziemię i niebo, gwiazdy i słońce? błyskawice i pioruny? Szaleni! to wy macie – On ma to, czego wzrok wasz nie znieważy, ręka nie dosięgnie i myśl nie zbecześci – On ma tajemnicę i zniszczenie. Początek i koniec – narodziny świata i zgon. Według słów Pisma, czyż nie wiecie: że gdybyście tknęli własności Jego – On by przestał być Bogiem, a wy byście się stali Bogami. Toć przecie On musi kochać tę własność, która go Bogiem stanowi, a nie tę wypożyczoną jałmużnę, z której wy się radujecie. Szaleni! Szaleni! Jeszcze raz powiadam wam, że ja kocham miłością bożą – kocham to, co moje – a moim jest to, co tak do mnie należy, jak przeszłość do Boga – jak zakonnica do przysięgi – jak zapomnienie do tajemnicy – moją jest ta lutnia stłuczona, moją pieśń, której nie odśpiewałam, moją ta perła jedynie, którą – przykładem Kleopatry – rozpuszczoną z napojem wypiję, moim ten, co legnie w grobie. Patrzcie, jak

zbladło biedne dziecko – oh! ty zapewne inaczej kochasz, Beniaminie. Grajcież, śpiewajcież temu dzieciątku wasze kłamliwe piosenki!

Domawiając tych słów urągliwych, Aspazja wstała, a na jej miejsce dwóch chłopczyków zbliżyło się do mnie. Byli to ci sami, którzy mi w przebraniu moim pomagali. Uśmiech dowcipu i wesołości dziecinne ich twarze ożywił. Zasiedli sobie jeden po jednej, drugi po drugiej stronie mojej; wychylili się przede mnie i patrzyli mi w oczy ciekawie a złośliwie, jak dwaj studenci przed splątaniem niespodziewanego figła albo jak dwa pacholiki, zdmuchujące młodej dziewczynie wszystkie pobożne wyrazy z kartek otworzonej do pacierza książki.

– Otóż kiedy pani Aspazja chce tego – rzekł starszy na koniec – zaśpiewam ci, góralu, ale szkoda, że nie zrozumiesz mej pieśni, gdyż ja z natchnienia śpiewam po włosku jedynie – to język mojej natury, to ojczyzna, najmilsza mowa moja.

– Niech cię nie wstrzymuje tak mała przeszkoda, braciszku – odezwał się młodszy – będę tłumaczył wiernie według myśli i ducha wszystkie stances twojej improwizacji.

– A czy słuchacz zgodzi się na to?

– Słuchacz zgodzi się na wszystko. Czy widzisz, jak mętnym i zadziwionym okiem spogląda wkoło? Ludzie do zadziwienia skłonni nie sprzeciwiają się nigdy i nikomu; śpiewaj więc, śpiewaj śmiało, a z ogniem i natchnieniem.

– Dobrze, braciszku! Wyświadczę ci tę samą przysługę i tłumaczyć będę twoją, chociaż z mej strony jest to nierównie większym poświęceniem, nierównie trudniejszą pracą. Ciebie tak często zrozumieć nie można.

– O, niegodziwy chłopcze!... Bracie Kainie!

– Z wolna, z wolna, łagodny Ablu, to ma znaczyć tylko, że twój język mniej znany, mniej ludziom przystępny. Niech sam Beniamin osądzi – i zwracając się ku mnie: – mój brat – rzecze on – w starożytnej celtyckiej mowie improwizuje zawsze; chcąc tę mowę bajeczną i umarłą przełożyć na wyrazy zrozumiałe dla dzisiejszych, dla góralskich uszu, wszakże stokroć większego wysilenia trzeba, niż kiedy idzie o dowolne prawie objaśnienie żywego narzecza.

– Zobaczymy, zobaczymy; ja cię przestrzegam tylko, synie Jakubów, miej się na ostrożności, gdy mój brat śpiewać zacznie, bo chociaż to najlepsze, najniewinniejsze, najczystsze dziecko ze wszystkich dzieci, które dotychczas przed skończeniem piętnastego roku życia swojego pomarły, ma jednak lekką skłonność do kłamstwa zbytków, rozpusty,

pijaństwa i mordów. Aspazja, która nam losu według zdolności dobiera, przyrzekła mu bardzo świetny zawód... w najgorszym razie tron Wielkiego Mongoła przynajmniej. Strzeż się więc, strzeż, kiedy śpiewać zacznie.

– A ja ci mówię, strzeż się brata mego, gdy śpiewać nie skończy, bo chociaż on dowcipniejszy, mędrszy, poważniejszy niż wszystkie szczury, które się kiedykolwiek dyplomatycznymi papierami japońskich i chińskich mandarynów utoczyły, lecz jest przy tym trochę dobroduszy, ślamazarny, romansowy, nerwy ma zdrażnione, mózg użyciem opium wzburzony, niektóre władze umysłu przytępione już, niektóre władze ciała nie zbudzone jeszcze – słowem, powiadam ci, że Aspazja, która nam losu według zdolności dobiera, dla niego nie znalazła nic – radzi mu jednak wszystko stawić na kartę i pojechać do Niemiec, tam jedynie może się brat mój na przyzwoitego wy kierować człowieka, objąć katedrę filozofii albo się zapić piwem bawarskim.

Długo jeszcze słowa tej sprzeczki, tych żartów pustackich krzyżowały się przede mną niby race kongrewskie dwóch dziwacznych fajerków – chłopcy mówili tak prędko, że nie miałem czasu nawet spytać ich się: – Kto wy jesteście? czego chcecie ode mnie? – Nareszcie młodszy wyprostował się i umilkł, a starszy poprawił aksamitnego kołpaczka, kilka razy ręką przetaił czoło, zasłuchał się na chwilę w stłumionej, lecz rozkosznie dokoła brzmiącej muzyce i uderzając się w piersi:

– Ja jestem śpiewak prawdy! – zawołał – a to niewierny tłumacz mój – przydał wskazując na brata i zaczął nareszcie improwizację swoją, lecz mimo danego ostrzeżenia zaczął ją po polsku, czystym i do taktu dzielonym głosem:

Biedne było serce moje,
Gdy bez echa, w pierś samotną
Uderzało przepelnione
Niepojętych pragnień krwią.
Wtedy wszędzie na tym świecie,
Na tym świecie tak szalonym,
Tak diabelsko wyzłoconym,
Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota,
To się zawsze dojmiesz złota;
Na tym naszym pięknym świecie,

Tym jedynym, ukochanym,
Szachrującym, oszukanym,
Rozśmieszonym, rozplakany,
Całującym, wojującym,
Hulającym, stękającym...
No, czyż wiarę dać możecie:
Jam się nudził na tym świecie.

Z moich książek i kajetów,
Z wonnych kwiatów świeżych łąk,
Z łysin moich profesorów,
Z srebrnych chmurek na błękanie,
Nawet z szklanki i z talerza,
Nawet z grzywy klaczki mej –
Wszędzie, wszędzie przed moim okiem
Wychylała się straszliwa,
Żółta, blada, obrzydliwa,
Ziewająca, głupia, stara
Ta choroba – ta poczwara,
Co się... co się nudą zwie!...

I nie chciało mi się jeść,
I nie chciało na koń sieść,
I nie chciało z śmiesznych śmiać,
I nie chciało mi się pić,
I nie chciało mi się żyć:
Tylko mi się chciało spać.

O spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy,
Gdyby w ludzkiej było mocy,
Ja na całe lata, wieki
Byłbym zamknąć chciał powieki –
Bo gdym zamknął – ach! to cuda,
Czyż wyśpiewać mi się uda,
Com ja widział, roił, śnił,
Kim ja byłem, gdzie ja był?

Ach, to cuda – Lecz na jawie,
Choć to wszystko trwało prawie,

Chociaż czułem, że mi płoną
Lice, usta, piersi, łono
Od całunków, od pieścizoty –
Choć jedwabnych włosów sploty
I dłoń miękka, ciepła, mała,
Pod którą mi serce drżało,
Ja tak czułem jak w dotknięciu,
Ja tak miałem jak w ujęciu...
Przecież... przecież... O przekleństwo!
O szyderstwo! o męczeństwo!
Taką rozkosz, szczęście śnić –
A być głupim – dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem
Nazwać tego, a szalałem;
Łzy po twarzy nieraz ciekły,
Nieraz palce gryzłem wściekły,
O mur głowę rozbijałem
Albo ręce wyciągałem,
By ta postać nie dojrzana,
Nie pojęta, nie nazwana,
Ach! ta postać by wcielona
Sama zbiegła w me ramiona –
By pierzchliwych marzeń rój
Padł na koniec, widny, żywy,
Sksztaltowany i prawdziwy
W namiętny uścisk mój!

Teraz dosyć już przeżyłem
W niepokoju długich nocy
I w tęsknocie długich dni –
Teraz ja wiem, jak się zowie
Każde serca uderzenie,
Każda moja gorzka łza.
Teraz ja wiem, jak się zowią
Senne marzeń mych widziadła
I cześć młodych moich lat –
Czym są dłonie wyciągnięte,
Czym westchnienia pierś wznoszące,
Czym są usta pałające,

Czym są tętna krwią bijące
I czym życia cudna pieśń...
O ja wiem, ja znam, ja śpiewam,
Ja dziś wołam i nazywam –
Kobietą! kobietą! kobietą!
Pójdź kobieto piękna, moja.
Wymarzona, wyczekana,
Wypragniona, wywołana,
Do mnie! do mnie pójdź!
O ja kocham cię, kobieto!
Kocham ciemne twoje oczy,
Kocham połysk twych warkoczy,
Kocham wzniosłe czoło twe!
Kocham ślad twej drobnej stopy,
Kocham głosu twego dźwięki,
Kocham białość twojej ręki.
Kocham tchnienie twoich ust.
Kocham jedwab twojej szaty,
Kocham spinkę, która świeci
U przepaski twej kibici,
Kocham perły z szyi twej.
Blask diamentów na twej skroni,
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje,
Gazę, coć on z piersi zwieje,
Twey postaci kocham cień.
Piękna moja; luba moja!
Do mnie, do mnie pójdź, kobieto;
Ja kochankiem, ja poeta.
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź!
Daj mi rękę luba moja!
Przez świat idźmy! Niech się dziwi,
Jak my młodzi i szczęśliwi,
Jaka piękną ty!
Przez świat idźmy! Niech zazdrości
Mnie twych pieszczot, twej miłości,
Tobie pieśni mej.
Ale strzeż się – oh, przez Boga!
Niech ja ciebie, moja droga,

Nie zazdrozczę mu!
Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,
Że twój uśmiech, że westchnienie
Wziąć by mi kto mógł –
To mi tak coś w oczach błyska,
To mi tak coś ręka ściska,
Jak ogień – jak miecz.
Zaraz czuję, że twarz blada;
Zaraz widzę, że trup pada,
A choć nie wiem czyj,
Mnie tak zimno wkoło serca,
Jakby trup ów lub morderca
Moje piersi miał.
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,
Jakbyś ty nie była ze mną,
A był przy mnie grób.

O, ja nie chcę takich myśli,
O, ja nie chcę cierpień takich,
Zawrót głowy mam.
Precz, precz z nimi do szatana,
Ty mię kochasz, tyś kochana;
Z drogi, z drogi nam!
Jesteś moją – jam szczęśliwy –
Hej, muzyka! tańce! śpiewy
Hej, kielichy i puchary!
Szampan, porto, węgryzn stary
Niech zaszumią, niech popłyną!
Pijmy rozkosz – pijmy wino –
Bo czas biegnie, a śmierć goni,
A czy będzie tam co po niej –
O to starych mnichów pytać!
Nam dziś szaleć i ucztować;
Nam dziś pieścić i całować –
A kto chwilkę choć zmarnuje,
Wszystkich sił nie wyciąuje,
Wszystkich beczek nie wytoczy,
Kto na wieki zamknie oczy,
Kiedy jeszcze mu zostanie

Niedopita kropla w dzbanie,
Albo z jego własnej winy
Jeden uścisk u dziewczyny,
Jedna w sercu jeszcze chęć...
Temu hańba! tego właśnie,
Niechaj jasny piorun trzaśnie,
Niechaj porwie diabłów pięć!!!

Głośny wybuch śmiechu zakończył niby punktem to piekielne marnotrawstwo dowcipu i talentu. Chciałem się znowu odezwać, lecz mnie uprzedził młodszy chłopczyk, ciągle dotychczas bez ruchu jak porcelanowa figurka po prawej stronie mojej siedzący.

– A teraz, szanowny słuchaczu – rzekł do mnie – zechciej to wszystko w prostej mowie przyjąć od pokornego tłumacza.

Śpiewak, o ile się zdaje niedorostek jeszcze, ale krwistego temperamentu, powiada, że go już wszystko nudzić zaczynało – nie śmiał się nawet z łysin swoich nauczycieli, co znaczy, że pierwej musiał z nich często nieprzywoite stroić żarty, a więc był złym jak osa, jak żmija, która przy piersi rozgrzana itd.

Śpiewak stracił apetyt i pić już nie lubił – co uważa za największe nieszczęście swoje, a więc dowodzi, iż był łakomy, niewstrzeźliwy i do grzechu głównego, obżarstwa, skłonny.

Śpiewak opowiada potem sny swoje i marzenia, które są największym poparciem tego zdania: iż niewiadość a niewinność wielce się różnią.

Śpiewak oświadcza wreszcie, iż nawet niewiadość ową już postradał zupełnie – dziś kocha jakąś kobietę, co ma ciemne oczy, białe ręce i małe nogi, a która musi być dosyć bogatą, gdyż się stroi porządnie w perły, jedwabie, gazy, diamenty.

Śpiewak chce, żeby mu jej zazdrościli wszyscy, lecz żeby on jej nie zazdrościł nikomu – bo, o ile mogłem z trochę ciemnej groźby zrozumieć, ma trochę tureckie w tym względzie pojęcie: ogniem i mieczem straszy, z lekka nawet o grobie kochanki nadmienia, z pewnością jednak nie powiada, czy ją, czy siebie, czy kogo innego zabije, lecz mnie się zdaje, że swoją osobę właściwie pod największą wątpliwością zostawia.

Następnie wszystkie te czarne myśli spędza śpiewak jak naprzykrzone muchy z nosa – radzi pić wino, całować dziewczęta póki tylko życia stanie i kończy tym bardzo dobitnym wyrażeniem, by każdego,

co inaczej postępuje, jasny piorun trząśł i pięć diabłów porwało – nie wiem dlaczego pięć? – azali to jest rym tylko lub też kabalistyczna liczba, lub też ilość, ilość zmysłów odpowiednia?

Krótkie te zdania śpiewaka ozdobione są pasażami, forszlagami, fioriturami i tysiącnymi naddatkami, z których to jedynie wycisnąć można, że pieśń – gorączką, a jej śpiewak – łotrem.

Teraz niechaj mnie łaskawe twoje uszy posłuchają. No! uważaj, tłumaczu – i w tejże chwili zmiana ról nastąpiła. Mój sąsiad z lewego boku, który przez cały ciąg tłumaczenia najniespokojniejszymi ruchami oburzenia swoje objawiał, nagle przycichł i znieruchomiał, a brat jego wdzięcznym głosem tak pieśń swoją zaczął:

– Przepraszam was, moi państwo, muszę się trochę namyślić – tej pieśni zapomniałem; czekajcie chwilę maleńką – ot, już ją mam – tak! to ona właśnie...

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białymi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata,
Ponad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpiecznie czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione,
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.

A jam się pytał: gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała
I rzekła tylko: – Tam, synku maleńki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.

O prawdę, prawdę matka powiedziała,
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I spokój serca, i myśli tam w niebie,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.

Miłość kobiety – to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie;
Miłość kobiety – to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na tej ziemi wita!
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowlę w głodne usta chwyta.

To pieśń twej matki, która ci klęcząca
Przy twej kolebce na uspienie nuci;
Miłość kobiety – to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, które Bóg ci daje
Na długą podróż przez nieznane kraje,
Po śliskich ścieżkach złych i dobrych losów.
Miłość kobiety – to z twą siostrą młodą
Wspólne marzenia i długie rozmowy
O twej przyszłości, o zamiarach twoich,
O twej nadziei młodzieńczego serca,
Co ci spełnienie pięknych czynów wróży,
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie.

Miłość kobiety – to ręka podana
W chwili złych myśli i pokus szatana;
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy
Chęci szalone, żądze niespokojne
I namiętności nasienia zdradliwe,
I pierwiej nim się w truciznę rozplenia,
Nim święty serca skalają przybytek,
Niech przejmą czysty ducha twego promień –
Pierwej, chryzmatem uczucia święcone,
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.

Miłość kobiety – to nagroda twoja
Przy trudnej pracy męskiego zawodu,
To przy rodzinnym ognisku kapłanka
Błogich dni życia i uciech domowych!
To głos radości, co na progu wita
Wracającego spośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoją
Okrąży słodkiej pieśnyczoty objęciem,
Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz,
Że jeszcze takie serca są na świecie,
Które ci żywszym biciem odpowiedzą,
Gdy ręka twoja do nich zakołata,
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata –

To są te usta, coć powiedzą wtedy:
„Przebacz i kochaj, bo jesteś kochany”.

To jest ta losu niemylność jedyna,
Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,
Gdy ty sam nawet skłóćisz się z sumieniem,
Ona ci jedna zostanie i zawsze
Przychylne dłonie ku tobie wyciągnie
I przed niechęcią ona cię otuli
W śnieżysty rąbek swej szaty niewinnej,
I przed zgryzotą ona cię osłoni
Własnego serca boleścią i łzami,
I przed występkiem ona cię obroni
Swoją świętością i swymi prośbami;
Ty ku niej idąc złe drogi porzucisz,
Ty za nią idąc, znów do nieba wrócisz.

Miłość kobiety! – o ja z darów bożych
Niech sobie tylko ten jeden uproszę –
Ja będę wielki, cnotliwy i święty,
Samolubnego zrzeknę się starania
O własne zyski i własne rozkosze,
Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,
I wiele złego bez szemrania zniosę,
Pobłogosławię tym, co kląć mi będą,
Uścisnę rękę, która cios mi zada,
Otrę łzę każdą lub razem zapłaczę
Z każdym, kto innej nie chce mieć pociechy,
Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,
Zapomnę siebie – lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta...

– Ta ta ta ta! dość tego, braciszku – przerwał nagle zamówiony tłumacz – dość tego, bo ja zapomnę i Beniamin odjedzie, nie wiedząc nawet, co mu tak dlatego nad uchem brzęczało – to zaś jest w najprawdziwszym znaczeniu rzecz taka:

Mój najckliwszy braciszek słyszał od mamy, że kobieta, która kocha, jest aniołem, rozpamiętywa te piękne słowa i wypada mu, że w istocie, ponieważ bardzo jest wygodnie mieć najpierw mamkę, potem

niańkę, potem siostrę, która wierzy wszystkim przechwałkom, potem żonę, która zawsze potakuje, całuje, zapewne jeść gotuje i skarpetki robi – a więc kobieta jest aniołkiem, a więc jegomość przyrzeka nawet, że będzie bardzo grzeczny, jeśli takiego aniołka dostanie, a wszystko razem wzięte, przewielebny słuchaczu, wszystko razem i niucha tabaki nie warte. Jest to sobie nędzna a nieszczerza parodia tego, co pierwiej wręcz powiedziałem; ja mówiłem: „chcę kobiety” – on też mówi: „chcę kobiety”, ja mówiłem: „chcę kobiety, żeby mi szczęście dała” – on też mówi: „chcę kobiety, żeby mi szczęście dała” – za panią matką pacierz – młynkował pod wiatr językiem, ale zawsze toż samo ziarno – żal mi ciebie, że przy pierwszych odwiedzinach musiałeś tak długo tych wszystkich bredni słuchać. W nagrodę powiem ci ich króciuteńki sumariusz – powiem ci, czym jest ludzkie przeznaczenie. Jest szaradą, której się od prawdziwych mędrców nauczyłem – ale mój drogi, zaklinam się na wszystko, nie zdradzaj mnie przed prawnikami, autorami, reformatorami, hipokrytami, głupcami i pocziwymi ludźmi. – Oto jest: pierwsze życie, druga śmierć, a wszystko razem – używaj, używaj, używaj! Na ostatni wyraz oba malce zachichotały głośno.

– Więc i ty się śmiejesz – rzekłem do młodszego, za rękę go biorąc.

– O, ja najbardziej – cisnął mi wesoło i skłoniwszy się prędko uciekł wraz z bratem swoim; mnie wtedy okropny smutek ogarnął, spuściłem oczy, bo czułem, że mi się łzami napęlniają, a nie chciałem dać łez moich na pośmiewisko tym ludziom bez serca. Żywą sprzecznością stanął mi w pamięci nasz ubogi rodzinny domek i przesunęły wszystkich moich ukochanych postacie. Żal mi się zrobiło tej dumnej, pięknej kobiety, którą ja byłbym przed chwilą nad świętą matkę moją, nad wszystkie siostry moje ubóstwił. Żal mi się jej zrobiło, bo czułem już, jak to można nie kochać jej, a kiedy ja nie kochałem, to któż ją mógł kochać? – I zdjęła mnie wielka litość, i wzniosłszy powieki długo wśród tłumu szukałem jej spojrzeniem, aż na koniec z dała siedzącej dostrzegłem. Nie patrzyła na mnie – jakiś mężczyzna mówił do niej, ona słuchała i bawiła się niedbale zwojami białej gazy, co jej niby obłok przejrzysty od diamentowej przepaski na głowie po ramionach i całej spadała kibici. – Była ona tak piękną, tak spokojną, tak uważną na to, co jej prawil ów mężczyzna za patrycjusza przebrany, jak gdyby to nie ona przed chwilą odezwała się bluźnierczymi słowy, jak gdyby nie ona drażniła ze mną pieśniami swych paziów. Zapomnienie maską niewinności przyłgnęło do jej twarzy.

Nie mogłem na ten widok oburzenia mego powściągnąć – wstałem, poszedłem; tuż przy niej stanąłem.

– Żegnaj, pani – odezwałem się, lecz ona niecierpliwie brwi zmarszczyła i znak milczenia mi dała.

A więc, pomyślałem sobie, nie witana, nie żegnana, zostań tutaj w zbytkach twoich – między mną a tobą na wieki wieków niepamięć zapadnie – i chciałem odejść, lecz ona, jakby zgadując zamiar mój, nie odwróciwszy się, nie spojrzawszy nawet, wzięła mnie za rękę, a młody patrycjusz tymczasem rozwijał jej w naukowych wyrażeniach architektoniczne plany względem podźwignięcia i zastosowania do użytku lub ozdoby wszystkich ruin wiecznego miasta, a ona podawała mu nowe pomysły, chwaliła, poprawiała go jak najbieglejsza w tej sztuce mistrzyni, a ja dziwiłem się trafności sądu i gruntowności jej nauki.

– Czegóż chciałeś, moje dziecko? – zapytała mnie wreszcie zupełnie niespodzianie wtedy, gdy mi się zdawało, że już ani myśli o mnie i że przez zapomnienie tylko dłoni mojej nie wypuszcza.

– Przyszedłem pożegnać panią – odpowiedziałem, ale trochę mniej pewnym głosem i bez oburzenia żadnego.

– Jak to, pożegnać? Czy słońce już zbyt jasno świeci, a moje lampy zbyt ciemno już płoną?

– O nie, pani, słońce jeszcze nie wstało, a wonna lamp twoich oliwa czystym światłem goreje, ale ja cię pożegnać przyszedłem, bo mi tu niedobrze, bo mi gorzko, smutno, duszno.

– Przyznaj się, że ci musiały moje małe szatanki dokuczyć.

– Prawda pani, dokuczyły okropnie, okropnie!

– To cóż, albowiem ty słabszy od nich? czemu się nie zemściłeś? Mogłeś ich wybić, odpędzić od siebie albo też im nawzajem moralną piosenkę zaśpiewać. Ja sama byłabym jej słuchała, bo już tamte znam, a twojej ciekawą jestem.

– Nie pani, ja bym tu nigdy nie zaśpiewał żadnej piosnki mojej, nie wymówiłbym żadnego słowa ze słów uczuciu święconych.

– A to dlaczego? Przez nieśmiałość, dumę, lękliwość, wzgardę czy nieufność?

– Przez pobożność jedynie, żeby relikwia mego serca nie przywiodła do nowego grzechu ludzi, co szydzić i bluźnić umieją.

– Więc to, jak widzę, doprawdy między wami od żartu aż do gniewu przyszło – no, uspokój się, zawołam ja marszałka dworu i każę temu starszemu lucyperkowi dać różgą, bo zapewne on musiał cię w zły

humor wprowadzić; ostre ma zęby, a jak nimi kasać zaczniesz, to aż żywej żółci dojmiesz czasem... Hej, panie Seweriuszu!...

– O, przez litość, nie żartuj tak pani.

– Ależ ja nie żartuję, ja się zupełnie, szczerze, prawdziwie bawię.

– To nie baw się pani mną – i chciałem rękę wysunąć, lecz mi ją silniej jeszcze jej drobne palce ścisnęły.

– Słuchaj, Beniaminie – rzekła mi ze swoim czarodziejskim półśmiechem na twarzy – prześlicznie konno jeździsz, piękny jesteś jak przypomnienie dawnych czasów, kiedy się natura nie zubożyła jeszcze, kiedy musiało być mniej ludzi na świecie i kiedy każdy człowiek był zbiorem owych pierwiastków siły, wdzięku i szczęśliwości, którymi się później rozdrobnieni jego następcy dzielić musieli, jak dzieli trupem wylęglę z niego robactwo – piękny jesteś, sama ci to przyznaję, ale nie gniewaj się – ale... bardzo nudny także.

– Nie gniewam się i nie dziwię, pani się tylko gniewać i dziwić możesz, bo nie wiesz, kogo w progi swoje przyjąłeś. Ten ubiór, co ci się wydaje zapewne chwilową igraszką upodobania, jest właśnie jedyny, w którym stanąć przed tobą bez oszukaństwa mogłem. Góralem jestem – biednym, ubogim chłopcem – źle mi wśród was, źle i wam być musi z przybyszem, co ani pojąć, ani uznać nie chce tej saturnalii uczuć, rozumu, bogactwa – tych zbytków marnujących naturę i człowieczeństwo. Żegnaj, żegnaj pani na zawsze; widziałem obok ciebie nagromadzone wschodnich powieści przepychy, widziałem tłumy strojnych i wesołych ludzi, widziałem starców piętnastoletnich, co dla zabawy i wyśmiania twych gości przerzucali sobie w najohydniejszych myślach i w najświętszych wyrażeniach jak w cackach do zepsucia przeznaczonych, jak w wyrzuconych na śmiecie klejnotach. Widziałem ciebie, pani, tak cudną i zachwycającą, że w pierwszych chwilach upiłem się blaskiem twojego oblicza i myślałem już, że tobie „Aspazja” na imię – ale widziałem ciebie kobietą, bogatą tylko, uczującą, mądrą, dowcipną, szyderczą i dlatego odchodzę – i odchodząc skarżę cię, pani, przed sumieniem twoim, bo mogłaś być hojniejszą dla spotkanego na swej drodze prostaczka, mogłaś mu zostawić objawienie swoje do najgorętszej życia modlitwy, mogłaś mu sprawdzić choć na chwilę przyobiecany jego nadziejom ideał, los dał ci wszelką ku temu sposobność, ale ty, pani, skarby złota cisnęłaś na huczne biesiady, skarby umysłu na gawędki płonne, a piękność swoją stawiałaś na zadziwienie tylko, więc też zbłąkany góral opuści twój zamek bez jałmużny dobrego wspomnienia nawet, strząśnie pył z obuwia swojego i tylko opowiadając

kiedy tę nocną przygodę rodzeństwu albo towarzyszom swoim nazwie cię, pani: „ta obca kobieta”.

– Mylisz się, Beniaminie, nazwie mię zawsze: „ta piękna kobieta” i wróci, o, wróci do mnie...

Jej głos był śpiewem, pocałunkiem, zaklęciem, a jednak puściła rękę moją – zapewne chciała siły uroku próbować – ja się przed nią w milczeniu skłoniłem i wolnym krokiem odeszłem, przy samym progu raz tylko spojrziałem na nią jeszcze – siedziała nieruchoma, zamyślona, bez uśmiechu, ale i bez smutku, jej

oczy szły niby za mną, ale jej oczy nie wołały mnie – piękny posąg, mistrzowska rzeźba w marmurze – spuściłem więc kosztowną podwoi zasłonę, a tylko było mi smutno jak po pierwszej w życiu omyłce. Z pośpiechem przebrałem się, podano mi mego konia, dosiadłem go i pędziłem ku domowi. We mgle porannej kapane czoło coraz bardziej chłodziło z nocnych zjawisk i wrażeń. – Wstydz się, szaleńcze – mówiłem sam do siebie – wstydz się ty, co kochasz Aspazję, a macasz jej obraz spojrzeniem pierwszej ładnej kobiety, która przypadkiem na twej drodze staje – czyż w tobie tylko gra ciekawość życia? czyż niespokojność wyobraźni przemawia jedynie? czy ty szukasz zdarzeń i okoliczności czy dobierasz opisowych wypadków do powieści jakiejś, czy to każda niezwykłość bawi cię i uwodzi? czy też masz w sercu życzenie, którego nie odstąpisz? prawdę, której nie skłamiesz, choćby ona skłamała tobie, ku której iść będziesz, choćby ona przed tobą aż poza grób uciekła? O nie, dumna, dziwna kobieto! nie wrócę ja do ciebie, nie przeniewierzę się nadziejom moim, oblubienicy mego przeznaczenia – piękną jesteś, świetną jesteś, kochaną być może, ale zamarła jasność twego oka, zastygła krew twojego łona, zatrąła się myśl pod czołem twoim – głos twój pieściwy i nęcący, dotknięcie rąk twoich miękkie i przejmujące, ale od słów twoich tchnienie w piersiach marznie, przy tobie serce cierpi i rozum się błąka – ty nie objawisz Boga, ty nie dasz nieba, biedna potępiona – o nie, nie! – ja zapomnę o tobie, ja zdmuchnę jak mętne szumowiny obraz twój z mózgu mojego – ja o dzisiejszej nocy powiem sobie: nie była – i dalej pójdę, dalej, dalej, a w przyszłości spotka mnie ona – piękniejsza, bo kochająca – bogatsza, bo szczęśliwa – i z tą będzie miłość moja, z tą matki błogosławieństwo, z tą niebo i Bóg...

5.

Daleko musiało być od zamku do mego pomieszkania.

Sokół, własnemu zostawiony instynktowi, biegł prosto najkrótszą drogą, sadił przez rowy i płoty, a jednak cienie drzew przykurczyły się zupełnie i zaczynały z lekka na wschodnią stronę usuwać, gdy przed domem stanąłem.

Wyszedł Bazyli na moje spotkanie, pogderał trochę, że koń tak zmęczony, że ja po nocy karku gdzie nadkręcę, ale mimo to uśmiechał się tajemniczo i coś o niespodziance, o przybyłych gościach wspominał.

W jednej minucie sto przypuszczeń mignęło mi przez głowę, co prędzej wbiegłem do pokoju – na pierwszy rzut oka uderzyła mnie tylko wielka jakaś, pokostem pod światło błyszcząca tablica, ale gdy naprzód postąpiłem, gdy w lepszym stanąłem miejscu – o, doprawdy na chwilę zdawało mi się, że to czary, że to niepodobieństwo. Naprzeciw łóżka mego wisiał obraz kobiety, pieszczącej wspartą na jej kolanach młodzieńca jakiegoś głowę. Kobieta ona była – wyraźnie ona, też same rysy, też samo czoło wzniosłe i milczące, też same usta namiętne a czyste i niewinne, też sama włosów promiennosc, też sama krągłość ramion i wyniosłość piersi, tenże sam odcień rumieńca na licach i białości na łonie, tej białości nie zimnej jako śnieg, nie martwej jako alabaster, lecz tej białości, na której czuć prawie ciepły słońca promień, pod którą widać nieledwie krwi młodej i zdrowej krążenie; tak jest, to była ona, ale więcej niż ona, więcej niż ta kobieta, którą mi blask pioruna i kunsztownych kagańców oświecił, jej kształty wypełniły się innym duchem – ona była taką, jaką być mogła, gdyby kochała, ona była szczęściem, objawieniem, miłością – a tym młodzieńcem u jej kolan, tym pieszczonym, zachwyconym, tym kochanym, byłem ja. I nie mogłem rozczarować ułudzenia – gdyby chociaż raz spojrzała na mnie swoim kamiennym, ciemnopółskliwym okiem, to bym może otrząsnął się z ogarniających mnie potęg – ale nie, ona miała spuszczone powieki i tylko na twarzy mojej odbiciem niewypowiedzianej rozkoszy, naj-

wyższego uwielbienia i najtkliwszej podziękii rozświecał promień jej źrenicy. Zgadywałem, przeczuwałem to spojrzenie – serce mi się wydarło ku niemu, pół życia uciekło ze mnie i wstąpiło w pierś młodzieńca na obrazie – i miałem taką chwilę, jakiej z was żaden podobno mieć nie będzie – wyście marzyli, kochali, pragnęli, otrzymali, używali jedną biedną duszą waszą, jednym waszym nędznym ciałem, jam miał dwie dusze, dwa ciała, dwa szczęścia, ja w obrazie drżałem pod jej pieśczęcią, piłem jasność jej źrenicy, dumny byłem radością jej, wielki byłem miłością jej – a poza obrazem tkwiła we mnie pewność niezachwiana, spokojność rozumna, bo taka kobieta żyła przecież, a choć martwa, choć inna, to mnie do piersi zstąpiło tyle wiary we wszelką dobrego możliwość, tyle marzeń i nadziei, że ja, co tak ukochałem, czułem, iż mogłem stworzyć miłość w niej, mogłem wstąpić choćby do piekieł, zbawić choćby szatana – obraz mi wszystko przyrzekał, obraz mi wszystkiego dotrzymywał.

Wtem Bazyli wszedł do pokoju, kiwał głową i ręce zacierał.

– A co? – rzekł – czy panicz wiedział o tym, ci śliczni państwo wczoraj do nas późnym wieczorem zjechali – i cóż? Panicz się o nic więcej nie pyta?

Prawda była, ja o nic nie pytałem, obraz już mi zdawał się koniecznością mojego życia.

– Jest i list przecie – dodał Bazyli zniecierpliwiony trochę – list i paka okazją się tu dostały.

– List? – powtórzyłem drżącym głosem, a serce zaczęło mi bić gwałtownie, a z duszy, w uroku szczęścia zawisłej, wydobyła się nagle niczym na pozór nieusprawiedliwiona niespokojność i trwoga, co mi w piersiach oddech tamowała. Chciałem sobie przypomnieć, czego ja się to lękać mogę? – zrobiłem wielkie wysilenie, od terażniejszości ode-rwałem pamięć moją i cofnąłem ją w przeszłość, ale pamięć dochowała mi tylko śladu jakiegoś przykrego wrażenia, jakiejś groźby niepewnej. Wszystko to zaledwie tyle czasu trwało, ile go potrzeba było Bazylemu do przejścia przez pokój, wyjęcia zachowanego między książki listu i podania mi na koniec; widzę jeszcze poczciwie radosny uśmiech jego w tej chwili, gdy mi świecił przed oczyma znajomym podpisem – co prędzej wziąłem, rozdarłem kopertę i pamięć mi wróciła, i przypomniałem sobie wszystko, bo oczy moje padły na te wyrazy ręką Ludwinki skreślone:

– „Miałeś brata Cypriana”.

Co się potem ze mną stało, nic a nic nie wiem. Dobra to rzecz takie upadki nagle i niespodziewane, z obłoków prosto w studnię. Organizm natury nie może im wydażyć, robi małą synkopę, a czas idzie sobie, jako szedł, i policzony nam jest w życie według zegarka i według kalendarza.

Kiedy moja synkopa ówczesna wartość swoją przetrwała już, a na klawisze pamięci kiedy los, ten fantastyczny wirtuoz, przyłożył swoje diabelskimi pazurami zakończone palce, była to noc właśnie – jak dziś jeszcze widzę i przypominam sobie wszystko. Lampka musiała gdzieś stać na ziemi, w głowach mojego łóżka, gdyż światło jakieś migotało po pokoju, a nie mogłem wytłumaczyć sobie, skąd się wzięło, lecz wkrótce wyobraziłem sobie, że bez wątpienia w podłodze deska jakaś ciągle się unosi i spuszcza, a spod tej deski wydobywa taka ciecz powietrzna, jasna i w rozmaitym stopniu wszystkie przedmioty zalewająca; przyznam się, że mnie też bardzo ucieszył mój dowcip w wynalezieniu tak prostej przyczyny. Rozpatrywałem się potem coraz lepiej i zobaczyłem przy nogach moich na stołku jak na łódce chwiejącą się postać starej kobiety, która zupełnie do miary z wznoszeniem i opadaniem światła wznosiła i opuszczała głowę swoją; obok niej stał nieruchomy jakiś zwierz na czterech cienkich nogach, z białym łbem w środku ciała. Ten zwierz przycichłym głosem ciągle mówił: tak, tak, tak. Naprzeciw mnie zaś, niezupełnie naprzeciw mnie, ale nade mną, nad kobietą i nad zwierzem wyjęto kawał ściany – w tę stronę jasnej cieczy najwięcej płynęło, wyraźnie więc ujrzałem rozwany pokój przepyszny, rozłożone najbogatsze wezglowia, a na nich siedzącą Aspazję w białej greckiej tunice, u ramion dwiema kameami spiętej. Zawstydzilem się okropnie, że ja tak blisko nie ubrany leżę – chciałem wstać, ale stara kobieta okropnie głową zatrzęsła, przestraszyłem się, bo myślałem, że krzyknie na mnie, a gdyby krzyknęła, to by pewnie Aspazja, dotąd w głębi swej komnaty czym innym zajęta, wstała i przyszła zobaczyć, co się dzieje, i zobaczyła mnie, mnie w koszuli, z jakąś chustką na głowie, pod flanelową kołdrą. Nie, tej myśli przenieść na siebie nie mogłem, ogarniał mnie zaraz taki przestach, czułem się tak zhańbiony, że aż wszystkie poty były na mnie, przyległem więc cichuteńko, a stara baba zaczęła mi z wolna głową potakiwać, a zwierz jej potakiwał nawzajem, a ja tymczasem przemyślałem tylko, co by to zrobić, żeby ich oszukać, żeby się ubrać i uciec do tego pokoju, w którym Aspazja siedziała. Kłopot wielki, bo suknie daleko ode mnie leżały, co więcej nawet, składała je dni powszednich odzież, krótki, z grubego sukna

Spencer i skórą oblamowane spodnie – nie można było tak wystąpić przecież, mnie się chciało także greckiej tuniki, purpurowego, na zarzucenie przez jedno ramię, płaszcza, greckich na nogi koturnów, bo inaczej Aspazja mi powie – „idź precz – jesteś brzydki”. Przymierzałem ja sobie tych wszystkich strojów w życzeniach moich, aż na koniec ubrałem się w nie i podniosłem trochę, by zobaczyć czy mi pięknie będzie – było prześlicznie – widziałem, jak Aspazja objęła mi szyję w okragłość cudnych kształtów ręki, przygarnęła do łona swego i patrzyła w oczy, ku jej oczom wzniesione, i mówiła mi:

– A widzisz, że wróciłeś, Beniaminie – teraz ja ciebie kocham, teraz nie jesteś już nudny, ubogi i śmieszny – zabiłeś smoka w jaskini wawelskiej, odebrałeś mu klucz od skarbów jego, przeczytałeś wszystkie książki, jakie były wystawione na Lipskim jarmarku. – O! ja cię bardzo kocham, Beniaminie; każesz mi zrobić balon z pajęczyny, mój Murzyn zanieś go na najwyższą z gór Himalaja, tam sobie razem jak do koczka wsiądziemy, dwa moje małe szatanki dmuchną tylko i polecimy wysoko, wysoko szukać Cypriana na gwiazdce polarnej – śpiesz się tylko, mój kochany, i weź co cieplejszego, bo śniegów pełno na wierzchołku skały!

Ja się śpieszyłem, gorąco mi się robiło, gdyż wiedziałem, że lada chwila baba na mnie obejrzyć się może i znów mnie do łóżka zapakuje, a wtedy co ja pocznę nieszczęśliwy? Wtedy Aspazja się dowie, że ja smoka nie zabiłem, że ani jednej więcej książki od tego czasu nie przeczytałem, że nie mam tuniki, płaszcza, koturnów i że leżę pod flanelową kołdrą. Męczyłem się tą bojaźnią jak zmorą, która by mi na żołądku usiadła – co ją zepchnąłem na chwilkę, to znów wracała upornie, zaledwie wstępowałem w wyłom ściany i opierałem głowę o kolana Aspazji, zaledwie ona cośkolwiek przemówiła do mnie, zaraz tak wypadało, że powinienem był wstać, chodzić, ruszać się, bo albo mnie wysyłała po Cypriana, albo prosiła, żebym jej przeczytał moje wiersze, które na samym dnie ogromnego kufra leżały, albo kazała sobie przynosić wachlarz, ołówki, cyrkle, harmoniki, worki pereł i czcionki drukarskich, pęki rozkwitłej paproci i pęki różg liktorskich i smocze zęby ze szczękami. A ja biedny, skoro tylko jednym muskułem drgnąłem, zaraz się widziałem rozciągniętym na łóżku z tą przy nogach moich babą szkaradną, która coraz wyżej i głębiej falowała na swojej łódce, coraz groźniej głową swoją trzęsła. Na koniec przedsięwzięciem pokorą ją wzruszyć – zacząłem do niej mówić głosem tak cichym jak myśl i prosiłem, zaklinałem, żeby mi wstać pozwoliła, żeby mi nieznacznie podała te

ubiory, które dla mnie za murem w otwartym pokoju wiszą, ale stara wykrzywiła się piekielnie i odpowiedziała mi, dzięki Bogu, że równie cicho przynajmniej:

– Nie uciekniesz mi stąd, będę cię trzymała, póki ci włosy nie osiwieją i póki wszystkich zębów nie stracisz, przykryję cię niemiecką pierzyną, włożę ci białą szlafmycę na głowę i do samego końca nosa przystawię ci dwie ogromne pijawki.

Te pijawki, ta szlafmyca i pierzyna zabijały mnie – a tymczasem nad głową baby słyszałem, jak Aspazja mówiła:

– Beniaminie, każ osiodłać twojego Sokoła, pojedziemy razem, o! zawsze razem, mój Beniaminie, nasze konie będą miały rzędy korallowe i złote podkowy – puścimy się z gór karpackich na ukraińskie stepy, jednym spięciem ostrogi Dniepr przeskoczmy i schwytemy Cypriana, przywieziemy go matce – prędko wybierajże się, Beniaminie mój!

Na słowa Aspazji i mnie rozpacz ogarnęła, wlepiłem oczy w starą moją strażniczkę i widząc, że nie uważa na mnie, wstałem, jak mogłem najciszej – myślałem sobie, jeśli się obejrzy i krzyczeć zacznie, to ją uduszę – ale ona nie obejrzała się! Na ten raz dość jednostajnie zanurzała i wynurzała się wśród płynącego dokoła światła. Uszczęśliwiony jej spokojnością, kocim krokiem podszedłem ku szafie z rzeczami, wyciągnąłem płaszcz tylko, okryłem się nim i mając jakieś niepewne wyobrażenie, że choć to ubiór mniej dostateczny, będzie można jednak po drodze innego dostać, sunąłem się jak cień ku drzwiom, schwyciłem za klamkę i dalej w nogi. Zdawało mi się, że usłyszałem wkrótce głośne wołanie za sobą: „Panie Beniaminie! Panie Beniaminie!” – lecz ja wiedziałem, co mnie czeka – pierzyna, szlafmyca i pijawki u nosa – nie odzywałem się przeto, biegłem ciągle, a noc była czarna jak atrament, a każdy krok mój cichy jak westchnienie, gdyż biegłem boso. Według mojego zamiaru chciałem wielkie koło określić i z drugiej strony domu wejść do tego pokoju, w którym Aspazja czekała na mnie; kiedy mi się zdawało, że już bliski celu byłem, nagle zimno dotkliwe nogi mi podcięło – zachwiałem się i upadłem, upadłem w wodę. Rzeczywistość niebezpieczeństwa wróciła mię do przytomności, chciałem wołać o pomoc, ale woda zalała mi usta – zrobiłem machinalnie kilka poruszeń jak do pływania i znów z siłą opadłem, fałdy mego płaszcza uniosły mię tylko, nurt wody pchnął ku brzegowi, a czując pod ręką jakieś krzaki i zarośla, schwyciłem się ich z całą mocą, która mi została jeszcze.

Co ma być, to się stanie – wierzą Turcy i Ja wierzę: nie uciekniesz przeznaczeniu. Kiedy się po raz drugi ocknąłem, głowa moja złożona

była na łonie kobiety, oczy moje patrzyły jakby jeszcze w chorobliwej gorączki rojeniach na jej piękną twarz ku mojej twarzy schyloną.

– Biedne dziecko – mówiła, a tak słodko i tkliwie jakby matki głosem – biedne dziecko, co tobie? czy ty doprawdy ubogi i nieszczęśliwy bardzo?

Na te słowa wróciło mi pojęcie życia z całą boleścią swoją i ze wszystkimi radościami swoimi, okropna strata i najpiękniejsza nadzieja razem w zbudzone serce uderzyły – wydołać im nie mogłem – łkania pierś przepełniły, zasłoniłem twarz rękoma i rozplakałem się rzewnymi łzami jak kobieta.

– Czegóż ty płaczesz, chłopcze? – pytała mnie ciągle – czyś słaby, przeziębiony, czy żałujesz, żeś nie utonął?

– Nie, pani, ja tylko bardzo chory byłem – w gorączce musiałem z domu wybiec; nie wiem, jakim sposobem tutaj się dostałem, nie wiem, gdzie jestem, nie wiem, skąd przy tobie?

– A czy poznasz mnie?

– O! poznaję.

– I któż ja jestem?

– Ty jesteś... – zatrzymałem się, bom nie mógł przypomnieć sobie, czy mi powiedziała kiedykolwiek nazwisko swoje, a strach mi było, żeby niedokładnej odpowiedzi za nowy objaw choroby nie wzięła. Wreszcie przyszły mi na myśl jej własne słowa, uśmiechnąłem się spoza łez moich i rzekłem: – Ty jesteś piękną kobietą.

– Dobrą masz pamięć, Beniaminie – odpowiedziała wesoło – pójdź za to do łódki mojej, wrócimy razem na zamek.

– Mój dom bliżej od zamku – przełożyłem nieśmiało – za kilka chwil już będę miał dosyć siły, żeby sam wrócił do niego.

– Nie zdaje mi się, Beniaminie, bardzo jeszcze osłabiony jesteś – pójdź lepiej, razem do czółna wsiądziemy. Oprzyj się na mnie, ja cię poprowadzę.

– Oh! nie, nie, jeszcze nie wstawaj pani, mnie tak najlepiej, jak teraz jestem! – i w istocie mnie tak najlepiej było. Czuję, że niby fale ciepła, jasności i życia uderzały o pierś moją, a pierś wzbierała nimi powoli lecz bezprzestannie. Sama wzmianka o jakiej bądź zmianie miejsca przejmowała mnie niepojętą trwogą. Zamek i łódka, te wyrazy szczególnie dziwnym rozdrażnieniem wstrzymywały prawie przystęp sił wracających. Ach! gdyby ona była raczej o moim domku wspomniała, gdyby ona tak poszła ze mną, jak ja z nią później poszedłem – kto wie? może to była chwila stanowcza? chwila, w której się losy na-

sze ważyły, w której ja mogłem ją przyciągnąć ku sobie i kołem ducha mojego zakreślić, i ukochaniem moim na całą naszą wspólną przyszłość zaczarować! Inaczej się stało – powstydzilem się ubóstwa mojego – źle mówię, pożałowałem tylko mojej pięknej w niskie progi i w nieozdobre ściany, nie śmiałem żądać, aby ona w moją stronę poszła i gdy mi się zdało, że mię przez litość odstąpić nie zechce, nie może, przyrzekłem wreszcie, iż jej stroną pójdę.

– Ale zostańmy tu, zostańmy tu jeszcze – prosiłem się jako dziecko i obwijałem sobie szyję białym jej ramieniem.

– Czyż nie masz dość już mocy, by choć na chwilę powstać? – pytała mię łagodnie.

– O! to nie o moc chodzi – odpowiedziałem jej – ja chcę tylko użyć daru Cypriana. On śmiercią swoją kupił dla mnie zjawienie się twoje – ty musiałaś przyjść, musiałaś mię tak objąć wskrzeszającym uściskiem, tak przytulić do łona swojego, bo on kazał i umarł.

– Cicho, cicho, znów ci gorączka wraca, a ja nie lubię maligny.

– Możebyś chciała tak szydzić i żartować ze mnie jak w owej nocy, piękna, czy pamiętasz ją? Oh, ja się niczym nie zrażę, ja żadnemu złemu już nie uwierzę nigdy, bo ty mię kochać będziesz – widzisz sama, jak wszystko się składa według myśli Cypriana – ja cierpiałem, mnie śmierć zagrażała, a ty zstąpiłaś ku mnie, wzięłaś na ręce, życie przywołałaś ubiegłe. Jakże ty mię kochać będziesz musiała, kiedy to się tak wielką miłością kocha tych, którym się dobrze czyni. Wszak prawda, piękna moja! Chociażbyś serce wyrzuciła z swej piersi, choćbyś wszelkiemu zaprzeczała uczuciu, choćbyś wzgardą i nienawiścią na cały świat ten cisnęła – jeszcze, jeszcze wtedy kochać byś musiała tego, który by w potrzebie wsparcie, w niebezpieczeństwie życie przyjął od ciebie. Powiedz mi, żebyś go kochała – choć tylko na wrażenie przyjemne, na jedno słowo pocziwe, na jedną miłą pamiątkę. Oh! powiedz mi, żebyś go kochała!...

Uśmiechnęła się, lecz jej wzrok obojętny, zimny, ledwo zdziwiony trochę, padł mi jak ołów na czoło.

– Chcesz koniecznie dobry uczynek wmówić we mnie, Beniaminie – rzekła prawie wesołym głosem – nie uda ci się – dość piękną jestem, bym się bez pożyczanych zasług obejść mogła. Że tu jestem, że tobie przytomność wróciłam w tej chwili właśnie, gdy głowy twojej moje ręce dotknęły, wszystko to jest przypadkiem jedynie. Sam osądź. Zmęczyla mię już uczta, której początek widziałeś – trwała trzy dni i trzy noce. Podróżni żegnali się, mijając mój zamek – strach padł na okolice,

bajeczne wieści po kraju się rozeszły. Ale, bo też prawda, że wielkie, bardzo wielkie obchodziłam święto... – i na tym słowie umilkła przez chwilę... i zamyśliła się.

– Jakie święto? – spytałam jej.

– Oh! wyobraź sobie, że na przykład święto twojemu świętu podobne – wracałam do życia i najpierw zdawało mi się, że odzyskałam wszystko tak, jako niegdyś było, ale dzisiaj nad ranem spostrzegłam, że mi czegoś brakuje – zaczęłam szukać, szukać – znaleźć ani przypomnieć sobie nie mogłam, ogarnęła mnie czczość i nuda. Zniknęłam więc gościom moim, rzuciłam się w tę łódkę i z wodą popłynęłam. Ach! jak mi dobrze było! Może w godzinę potem słońce zaczęło wschodzić – ja tak lubię słońce – a woda! co za prześliczna woda była w rzece! pod uderzeniem wiosła przelewała mi się niby krwią najczystsze metalicznego blasku, a jakie srebrne rozesłały się po błoniach mgliste tumany, to wyraźnie wielkie morza, jeziora i stawy – dachy domów pływały po nich jak wysepki maleńkie, a drzewa majaczyły jak duchy olbrzymów. Nie mogłam się dość nacieszyć tym wszystkim, gdy niespodziewanie wśród krzaków ujrzałam postać jakąś nad brzegiem leżącą. Bardzo prędko poznałam cię, bo mam wzrok bystry i wierną pamięć, ale nie zawołałam, bo mi się podobałeś w tym uśpieniu swoim – pięknie ci było, jak gdybyś ty, młody bożek szklistych nurtów rzeki, dobrowolnie w wieczystą nieruchomość przyległ u jej boku – świeże gałązki wierzby powikłały się niby wieńce i korony nad głową twoją – płaszcz twój ułożył się w snycerskiej dokładności fałdy – woda jak rozkochana nimfa całowała białe stopy twoje. Długo bardzo przypatrywałam ci się z zachwyceniem; na koniec widząc niezmierną błądź twojej twarzy, przyszło mi do myśli, że może już nie żyjesz, wtedy...

– Oh! widzisz, że wtedy pożałowałaś mnie i pomoc przyniosłaś.

– Nie, Beniaminie, wtedy pożałowałam tylko piękności twojej, obrazka mojego – chciałam na dłużej trochę zasłonić cię przed słońcem i przed dziobami kruków żarłocznych. Wysiadłam więc na ląd, rozpostarłam nad tobą tę, którą widzisz, zasłonę i gdy mi wypadło głowę twoją w głębszy cień jeszcze usunąć, wzięłam ją do rąk; a ty wtedy westchnąłeś i ożyłeś...

– To więc tak było tylko?...

– Tak, moje dziecko – lecz skądże nowe łzy w oczach?

– Z choroby i z żalu – nie pytaj mnie, pani...

– I owszem, ja chcę wszystko wiedzieć – wszystko i zawsze, no, przyznaj się chłopcze. Może się we mnie od owego wieczora szalenie

pokochałeś, a widząc, żeś nie kochany, chciałeś sobie życie odebrać?... Ja ci tego za złe nie wezmę.

– Oh! Boże! Boże! jakież domysły okropne, jakąż spokojność kamienna... Nie, nie, Cyprian skłamać musiał chyba.

– Któż to jest ów Cyprian, którego już po raz drugi wspominasz?

– Cyprian jest ten, co powiedział, co mi pokazał, że ty mnie kochać będziesz...

– Dziwna rzecz, nie znam go wcale – a jednakże zaczekaj... kochać... kochać ciebie – oh! czy to ja nie tego szukałam właśnie... Kto wie? czemuż ja bym cię kochać nie miała?

– Kobieto! nie powtarzaj słów takich, one zabijają, zabijają!...

– A toż dlaczego, Beniaminie, jeśli prawdą będą? – i nagle słońce wszystkimi promieniami zagrało po szklistości jej ciemnozielonych oczu. – Jeśli prawdą będą, jeśli ja cię ukocham – ożyję zupełnie, nowym czy też dawnym życiem – jeśli ci powiem: wyczerpnęłam wszystkie zbytki, uciechy i szaleństwa, przerzuciłam karty najmądrzejszych, mam i znam wszystko, ale mi świata zabrakło, a przypomniałam sobie o innym świecie, o szczęściu innym – więc chcę miłości. Beni mój, kochaj mnie, Beni mój, ja cię kochać będę...

Przez chwilę słowa wymówić nie mogłem.

– Słuchaj, Aspazjo! – rzekłem na koniec z trudnością – Aspazjo! bo wszakże tobie Aspazja na imię?

– Już ci to w zamku powiedzieć musiano.

– Nie, nie w zamku, pierwiej, daleko. Słuchaj więc, Aspazjo – słuchaj, bo to jest chwila jedyna, może i ostatnia, w której mam siłę zebrać resztę zastanowienia i powiedzieć te słowa. Jeśli czujesz, że, co wyrzekłaś teraz, jest tylko dowolną twej wyobraźni igraszką, jeśli umiesz bawić się jedynie pięknymi dźwiękami i układać je tak, by żywe na słuchaczach wrażenie robiły, jeśli wiesz, że tak być nie może, jak obiecujesz, że będzie – Aspazjo, Aspazjo! jeśli ty nie chcesz lub zdolną nie jesteś kochać – oh! przez litość – ja cię nie potępię – mów, mów prawdę tylko. Może ty pragniesz hołdów, uwielbienia, miłości? – możesz ty dumna i chcesz, bym w proch się ukorzył przed tobą? – mów, mnie i na to serca wystarczy – ja o wyższość potęgi walczyć z tobą nie myślę – poprzestanę na obrazie twoim, nie zbluźnię ci nigdy innej kobiety wyborem – ale powiedz, że słowa twoje były żartem, że szaleństwem nadzieja zbudzona. Powiedz i zostaw mię tu samym; choćbym nie miał siły zawlec się do domu, choćbym tu skonał opuszczony i biedny, jeszcze w skonaniu błogosławić ci będę i powiem przed Bogiem w niebie:

Oh! to szlachetna kobieta. Aspazjo, miej litość – ty nie pojmiesz nigdy, jeśli sama nie pokochasz, ile szczęścia, ile ducha mojego zmieszało się z głosem twoim, gdy mówiłaś do mnie.

Gdyby taka radość wsączyła się kiedy w krew żył moich, gdyby stan podobny przeszedł choć na dzień jeden w uznanie moje i gdyby potem rozłączyć mi się z nim przyszło – gdybym musiał kawałami wyszarpywać moje serce temu złudzeniu, Aspazjo! ja w tej chwili miałem piekielne objawienie, że bym tego nie zniósł. Aspazjo, oszczędź mi tej boleści... Porzuć mię, zapomnij, teraz czas jeszcze – teraz tylko szczęście moje uniesiesz ze sobą.

I opowiedziałem jej wszystko – kim ja byłem, co mi Cyprian mówił, jak mi nieszczęścia unikać kazał, jak razem z obrazem wiadomość o jego śmierci mię doszła.

– Patrz, Aspazjo, mój brat miał słuszność – dodałem nareszcie – ja nigdy cierpieć nie powinienem –

patrz, jak mię złamała pierwsza zła przygoda, znalazłaś mię przy drodze twojej jak sierotę, jak żebraka – biednym, chorym, umarłym prawie – co tobie drażnić się z tak słabą istotą? co tobie na niepewność rzucać całą przyszłość moją? – Aspazjo, jeśli kochać nie możesz – bądź litościwą, miej prawość, rzetelność choćby kupiecką tylko, miej odwagę męskiej poczciwości – idź precz stąd, zostaw, zostaw mię!

I składałem ręce i modliłem się, a jej lica rozbłysnęły gorętszym rumieńcem – pochyliła się nade mną, ustami dotknęła ust moich i słyszałem jak mówiła:

– Nie lękaj się, nie lękaj, Beni mój, ja cię nie opuszczę – Beni mój! ja kocham ciebie!

Niebo świeciło najpiękniejszą pogodą swoją; rzeka niby roztopionym słońcem płynęła, na rzece łódka maleńka pomykała się lekko, a w łódce była Aspazja, a białe jej ręce z siłą i wdziękiem raz po raz pluskały o migotliwą wodę kunsztownym włosiem, którego hebanowa rękojeść dziwną sprzeczność z trzymającymi ją dłońmi tworzyła, a u nóg Aspazji na porzuconej tygrysiej skórze ja leżałem, bezsilny jeszcze, odurzony resztą gorączki i dnia światłością, i szczęściem moim.

– Któż ty jesteś, Aspazjo?... – mówiłem.

– Kto jestem? – odpowiadała ona – czy dziecię chce powieści jak śpiewki przed usnieniem, czy mój kochanek nie zna mię – i śmiała się, i zaczynała tysięczne cudowności o zaklętych księżniczkach, o salamandrach, o Greczynkach, niewolnicach w sułtańskim seraju, i w najciekawszych miejscach przerywała sobie i pytała mię znowu: – A ta,

czy ci się podoba? – i gdym się do niej uśmiechnął, to mi mówiła: – Otóż ja nią jestem – i tak płynęliśmy w górę rzeki, a ja zapomniałem o wszystkim – zapomniałem o śmierci Cypriana. Aspazja wzięła mi z duszy cały mój żal za umarłym.

Od tej chwili zostałem przy niej – porzuciłem mój zawód – nie wróciłem do domu.

Ale... ale... moi kochani, obiecałem, że kiedyś powiem wam którą z tych bajek, co mi Teresa tak często opowiadała; właśnie przypomniałem sobie jedną, słuchajcie, póki nie zapomnę:

„Gdzieś nad bardzo głębokim morzem stał bardzo wysoki zamek na bardzo wysokiej skale i bardzo mała chatka na bardzo niskim brzegu; w chatce mieszkał rybak, piękny młody – w zamku mieszkała piękna, młoda księżniczka. Rybak pokochał księżniczkę, księżniczka przyrzekła kochać rybaka. Jednej nocy rybak usnął w chatce swojej, księżniczka umarła w swoim pysznym zamku. Rybak płakał dzień cały, płakał i noc całą, a księżniczce na zamku śpiewały stare mnichy z długimi brodami i stare baby z wpadłymi oczyma. Na drugi dzień i przez drugą noc rybak się modlił ciągle, a księżniczkę ubrano w złociste suknie, zamknięto w kryształowej trumnie, wstawiono do grobu i przyciśnięto ciężkim kamieniem i kamień zapieczętowano królewską pieczęcią. Przez trzeci dzień rybak założył ręce, siedział nad brzegiem morza i ani sieci nie zarzucił, ani czółna nie naprawił, a księżniczka leżała w zimnym i ciemnym grobie pod ogromnym kamieniem – pod pieczęcią królewską. Na trzecią noc rybak leżał w chatce swojej, ale nie spał – z dwunastą godziną uchyliły się drzwi chaty i weszła księżniczka w swojej złocistej sukni, ale bardzo drżąca i blada. Rybak wyciągnął do niej ręce, a księżniczka spytała go:

– Czyś ty mię kochał, rybaku?

– Jakżeż ja cię kochać nie miałem – rybak odpowiedział – kiedyś ty umarła, a ja się trupa twojego nie lękam.

– Dziękuję ci, rybaku – rzekła na to księżniczka i schyliwszy się odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała w samą skroń.

I tak było nocy następnej i jeszcze następnej, i wszystkich nocy przez lat trzy.

A tymczasem twarz rybaka coraz bledszą się stawała, ręce jego coraz słabsze; nie wychodził za próg domu, nie siadywał nad brzegiem morza, nie wstawał z posłania swego. Przyszedł doń ksiądz i mówił:

– Spowiadaj się, biedny człowiecze, bo twoja śmierć bliska.

A on się dziwnie do księdza uśmiechnął i rękę położywszy na sercu, mówił:

– Nie jeszcze, mam sześć nocy przed sobą – siódmej nocy przyjdzie tu.

I siódmej nocy przyszedł ksiądz, a za księdzem chłopiec mały z zapaloną gromnicą i olejami świętymi, z wodą święconą i kropidłem w ręku.

Ksiądz i chłopiec widzieli, jak nad posłaniem rybaka stała jakaś postać w złocistej sukni z załamanymi rękoma, a rybak już leżał bładny i nieżywy.

Ksiądz się przeżegnał, postać zniknęła, ale rybak nie wstał już – ciało jego było białe jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny jak od ukłucia szpilki maleńkiej.

Ksiądz przelekły pośpieszył na zamek, wezwał kapelana i wszystkich obecnych – zstąpili razem do sklepień kościelnych, znaleźli na grobie księżniczki pęknięty ogromny kamień i pozrywane królewskie pieczęcie – kamień odwalili – ujrzeli w kryształowej trumnie piękną księżniczkę, świeżą, jakby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na jej ustach, niby koralu ziarno, maleńka jeszcze kropla krwi świeciła”.

Na was, moi państwo, jak widzę, ta powiastka żadnego nie robi wrażenia – może się gniewacie, że ją tak niepotrzebnie wtrąciłem – lecz nie uwierzycie, jak ona w moich dzieciennych latach dziwny jakiś wpływ wywierała na mnie. Pamiętam, kiedy przychodziło do tego miejsca, w którym księżniczka rozgarnia włosy rybaka i całuje go w skronie; mnie, co wiedziałem, że ona tym pocałunkiem kroplę krwi jego pije, mnie wtedy zawsze robiło się tak zimno, tak niespokojnie, jak gdybym czuł dotknięcie tych ust trupich i zabójczych.

Albercie, wszak już raz przyświadczyłeś, że przecucie istnieje.

Oh! ja także...

Najpierw oddałem jej wspomnienie umarłego brata – wciągnęła je z pocałunkiem, rozwiała na słowa.

Potem oddałem jej wszystkie moje upodobania. Przestałem kochać kwiaty, ona je lubić zaczęła – na jej głowie, przy jej boku, we wszystkich wazonach etruskich, wszędzie pełno było kwiatów, a mnie radość upajała, że straciwszy, jej rzuciłem choć jedną przyjemność w życiu. Któregoś dnia wystarałem się dla niej fuksji, prześlicznego kwiatka, co swoimi dzwoneczkami jak krwawymi łzami płacze. Aspazja zerwała pełniejsze gałązki, pieściła je, pocieszała niby ludzkie zasmucone serce

– potem zwiędły w jej ręku – wyrzuciła przez okno – potem na trzeci dzień i fuksja zwiędła w doniczce i znów ją wyrzucić kazała – a gdym pytał zasmucony, czemu ona już nie żyje?

– Zapomniałam – rzekła tylko.

Potem jednego wieczora, gdyśmy siedzieli pod ciepłym niebem południowych krain, ja wzniosłem oczy i patrzyłem ku gwiazdom dawnym spojrzeniem dzieciństwa mego.

– O czym tak dumasz? – pytała mię Aspazja, a ja ręką ku górze wskazałem i rzekłem jej:

– Patrz, weź to, luba moja – to piękne, świetne, to chwile naszego szczęścia uzupełnia, bo wieczność obiecuje.

Aspazja spojrzała za kierunkiem mej ręki i powtórzyła:

– Ach! to piękne, to piękne – czemu ja na to patrzeć zapomniałam? dziękuję ci, Beni, żeś mi przypomniał znowu. Ach! to piękne – i takie wielkie, takie niezmierzone, to się wołać zdaje: „prochem jesteś – chwilą jesteś – nie trudź myśli, nie trudź ręki – nie zużywaj sił twoich na poznanie złego i dobrego – w naszej nieskończoności byt jest prawdą jedyną, wypełnienie bytu przypadkiem, kształty, zdarzenia, łzy, uśmiechy – obojętnością”. Ach! jak ja kocham te gwiazdy, jak one mi mówią, że ja młodą jestem, że panią wszechwładną losu mojego, że na mnie inne nie ciąży prawa, tylko prawo mej własnej woli i prawa czasu tymi jasnymi zgłoskami wypisane: „Wszystko było – ty jesteś – wszystko zawsze będzie”.

Od tej chwili Aspazja częściej w niebo patrzyła, a ja gwiazdy kochać przestałem.

Potem – już nie wiem, gdzie to było – widzę tylko rozesłane miękkie dywany, ściany zawieszane zwojami ciemnej, lecz złotem przetykanej materii, okna w marmur i złoto objęte i roztworzone na jakieś gęste zagajenie drzew rozłożystych i wonnych. Aspazja wpołżająca, w pół na jednym łokciu wzniesiona patrzyła niedbale w kartki opartej przed nią na głowie hebanowego sfinksa książki, ja z dala nieco siedziałem i dziś nie pomnę, czemu mi było smutno jakoś. Wtem pomiędzy drzew ciemnych, przez otwarte okno wzbil się ku nam głos czysty, dźwięczny; głos ten nucił piosenkę miłosną; prostą, nieozdobną, ale tak rzewną, tak tkliwą, że przypomniałem sobie i moją Julkę, i ławeczkę, na której siadywała, i wszystkie dumki, których, siedząc przy jej nogach, tak słuchać lubiłem.

– Pójdź do mnie, pójdź do mnie, Beni mój – zawołał głos Aspazji; rzuciłem wspomnienia i poszedłem, a ona objąwszy mnie za szyję: –

Czy słyszysz? – mówiła do mnie – czy słyszysz, jak ta piosenka całuje włosów pierścienie, całuje oczy kochane, całuje czoło i usta? A z każdym zapytaniem Aspazja pieściła mię tak, jak szły słowa piosenki – i od tej chwili dźwięk śpiewów był mi tylko pięknym przez wrażenia jej – i przestałem kochać pieśni.

Potem przyszło mi naraz wiele listów z domu.

Brat mój Adaś napisał: „Beniaminie! pożegnałem się z żoną i dziećmi moimi, wracaj do nas”.

Brat mój Józef napisał: „Beniaminie! Ogień zniszczył zagrodę moją, wiatr pustymi stodołami przewiera, nie ma ręki, co by pług lub radło wzięła, wracaj do nas”.

Brat mój Karol napisał: „Beniaminie, wszystko pójdzie dobrze, ale wracaj do nas”. Ojciec napisał: „Beniaminie! Przy urodzeniu twoim błogosławiłem, że się człowiek światu narodził, że przybyło jedno serce do kochania, dwie ręce do użytecznej pracy. Serca i rąk nam dziś trzeba, wracaj do nas”.

Matka napisała: „Beniaminie! W moim łonie cię nosiłam, z moich piersi mleko ssałeś, ty wrócisz, kiedy matka w smutku i potrzebie zawoła: Synu! synu! wracaj do nas”.

Ale Aspazja rzekła:

– Tam skarb twój, gdzie serce twoje, tam władza czynu, gdzie kochanie – tam powinność, gdzie wolna wola. Ojca, matkę, rodzinę przypadek dał tobie – mnie ty wybrałeś, ty wzięłeś sobie spośród świata całego i ze mną tylko cały świat twój – albo ty rośliną jesteś, żeby miejsce jedno, grunt jeden upodobać sobie? Od bieguna do bieguna ziemią naszą, a kędy wiatru tchnienie wonniejsze, kędy głos słowika pieściwszy, kędy rzeźwiej krew w żyłach płynie, kędy serca namiętniej uderzają, kędy natrętnych głosów cudzej boleści nie słysząc, tam rozbijmy białe namioty nasze i tam żyjemy, kochajmy, bo tam przyobiecany kraj Chanaanu, tam wybrana Jerozolima nasza...

I nie wróciłem... Odtąd przestałem kochać rodziców, siostry, braci moich – wszystko, wszystko – Aspazję kochałem tylko i nie przerażała mię ta nędza moralna; w niej odnajdywałem siebie i ona wypożyczyła mi nową jakiegś władzy i zdolności.

Chciała bogactw, rzuciłem się w szalone przedsięwzięcia. Okręty do brzegów Europy z wszystkich stron świata niosły mi zyski i złoto – miliony płynęły przez ręce moje.

Chciała wielkości, zaszczytów – wnet pozawieszałem na szyi krzyże wszystkich świętych z kalendarza i wyobrażenia wszystkich zwie-

rząt od słonia do baranka – i miano mi raz nawet jakąś podwiązkę koło nogi zawiązać... Oh! już zapomniałem, co za drogami biegłem przez te niespokojnej wyobraźni dziwactwa. Czarne gondole Wenecji, dym Wezuwiusza, parlament angielski, wiedeńskie walce, paryskie salony, Eskurial, piramidy Egiptu i niemieckie księgarnie – wszystko razem mąci mi się w głowie jak różnofarbne szkiełka kalejdoskopu. Pamiętam jak przez mgłę, że nazywano mię hrabią, baronem, lordem, *eccellenze*, że mi doktorski biret na głowę wsadzono i że kiedyś, jak coś mówiłem, grono ludzi poważnych, z rogatymi czapkami i w długich czarnych togach, wyszczerzało do mnie ponadpsowane zęby i klaskało mi w chude, grube, kościste ręce... Z tych naddatków nic a nic do wspomnień moich nie przybyło, nic a nic do historii życia nie weszło, bo to nie byłem ja – to były jednochwilowe życzenia, fantazje, upodobania Aspazji – ja byłem tylko w jej uśmiechu, w jej wesołości, w jej słowie przychwalającym. I tak mi zeszło kilka lat życia.

Przez ten czas Aspazja roztrwonila wszystkie wspólne dostatki nasze; zapal, natchnienie, uczucie piękna, władzę cieszenia się, pojmo-
wania, tworzenia coraz to nowych, a ciągle uiszczanych marzeń, władzę szczęścia – miłość całą moją ona wzięła i zmarnowała. Ach! wtedy nastąpiło okropne jutro.

Próżnia ducha mojego wypełniła się nowymi pierwiastkami – zacząłem cierpieć, oburzać się i niepokoić, zazdrościć i nienawidzić. Trudno byłoby mi z wszelkim stopniowaniem opowiedzieć wam, jak to zepsucie rozszerzało się w mej piersi, jak ta gangrena ogarniała mię powoli.

Dłoń, której Aspazja nie ścisnęła wzajemnie, spojrzenie obojętne jej oczu, martwiejących w dawną kamienność swoją, jej głos przycięty i bezdźwięczny, długie godziny roztargnienia, nieuwagi i posepności – dla was to wszystko byłoby nudne, a dla mnie dziś także zadziwiająco czcze i jednostajne. Wspomnę wam tylko ostatnie zdarzenie. Doszedłem już po tę miarę boleści i zepsucia, w której człowiek wstydy się nieszczęścia gorzej niż trądu, a nieszczęście rozdrabnia na wszystkie otaczające go przedmioty, okoliczności, wypadki i przeciw każdemu widomemu ułamkowi tej niewidomej całości natęży siły swoje, ostatecznych chwytą się środków i potem dziwi się, że takie walki przetrwał, takie góry porzucił, a tu nowe łby odrastają hydrze i o nowe grupy potęra się jego noga. Więc też ślepa jakaś wściekłość go opanowuje – istytnie tłucze pięściami na wszystkie strony – a czy to rozbije, co mu najdroższym, czy w własną głowę uderzy, czy w kodeks

prawny, on już nie dba o to, byle sobie ulżyć choć na jedno odetchnienie, byle przestać cierpieć choć przez czas ruchu zegarowego wahadła. Otóż, jako wam rzekłem, ja byłem w tej chwili właśnie choroby nieszczęścia. Siedzieliśmy przy wspaniałej uczcie – stół uginał się od sreber, złota, kryształów, błękitne płomyki tlejącego ponczu tu i ówdzie migały jak potępione duszyczki, a czarnymi dziobami lamp z żelaza, ulanych na herkulańskie wzory, tryskała jasność rażąca i czerwonawa. Niewiele nas było osób: ona, ja i ktoś trzeci. Ona go wzięła za rękę, swoją czarą o puchar jego trąciła, a on się pochylił i dotknął ustami brzegów tej czary w miejscu, w którym ona dotknęła ich pierwej!

Spojrzałem na tego człowieka – on zadrzał i wskazując Aspazji, szepnął z cicha:

– Beniamin mię zabije. Aspazja się roześmiała.

– Nie, on ciebie nie zabije – mówiła wesoło – ja tak lubię ogniste spojrzenie twoich czarnych oczu, tak się cieszę, kiedy przemówisz tym głosem silnym jak rozkaz, nęcącym jak pokusa – a Beni kocha mię tak szczerze, a Beni tak żyje tylko życiem moim, Beni tak czuje tylko moją rozkosz, że on by nigdy zabić cię nie mógł. Wszak prawda, Beni, miłość twoja najwyższa, najzupełniejsza, najprawdziwsza – miłość twoja używa moim szczęściem tylko, miłość twoja nie pragnie, lecz kocha mnie – wszak prawda, Beni?

Biedna Aspazja pomyliła się w czasie.

Prawdą było to dawniej, wtedy kłamstwem już... Dawna owa, niczym niezachwiana wiara w serce moje, owa pewność wszystkich poświęceń z mej strony trzymała mię przykutym do skinienia jej ręki – ale dawniej było wiele jeszcze dobrego we mnie, dawniej kochałem ją – a wtedy czułem tylko, iż nienawidzę wszystkich, których ona, jak na stypie mej duszy, dzieliła okruszynami tego, co ja jej dałem kochania.

Po uczcie oddalił się cudzy człowiek – wyszedłem za nim i szedłem długo przez ciemnych ulic zakręty. Do końca jednej ulicy przytykał plac rozległy i pusty, na całej jego przestrzeni chwiały się tylko we mgle wilgotnego powietrza dwa światełka dwóch zapalonych latami; zbliżyłem się do człowieka i powiedziałem mu:

– Zgadłeś dziś los swój – ja ciebie zabiję. Człowiek ten był uzbrojony, miał szpadę przy boku i puginał za pasem – bronił się odważnie, z rozpaczą, ale ja go zabiłem – i wracałem tą samą drogą, a zamiast latami świeciły przede mną dwa okropne, rozwarte i bielmem zaszele oczy.

I wróciłem do Aspazji – powiedziałem jej wszystko; Aspazja wysłuchiwała mnie bez oburzenia, bez wstępu, ale zamyśliła się głęboko i po długim milczeniu rzekła zimnym głosem sądowego wyroku:

– Ja ciebie nie kocham – ty mię nie kochasz, rozstańmy się, Beniaminie.

Gdy usłyszałem te słowa, ciemno mi się zrobiło i język mi zdrewniał; potem przez chwilę patrzyłem na tę kobietę i w mózgu moim postawa jej odbijała się z taką dokładnością, jak niegdyś postawa tego wilka, co Zittę za piersi chwycił. Nie uszło mojej baczności ani jedno zawiązanie misternych kółeczek perłowej siatki, którą na włosach miała, ani jeden fałd kaszmirowej jasnozielonej sukni – pamiętam każdy odbłask światła, który się łamał w dwóch przepysznych opalach na jej obnażonych ręku bransoletami upiętych – pamiętam, jak trzymała te ręce łokciami przed sobą wsparte o stół ciemny i w dziwaczne arabeski mozaiką wykładany – pamiętam, jak na zaciśniętych dłoniach brodę oparła, jak jej szyja wygięła się przez to, jak cała głowa w tył przerzuciła, jak jej to nadawało wyraz dumy i zuchwalstwa, jak mi spoglądała w oczy tymi swoimi oczyma, które jej poczerniały prawie od czarnej krwi jej serca. Potem – oh! potem wzgarda płomieniem z piersi do ust mi buchnęła, rozgrzał mi się język, splunąłem z niego wszystkie obelgi, wszystkie moje męczarnie, wszystkie przekleństwa. Aspazja słuchała ich z tą samą spokojnością jak pierwej, gdym jej mówił, że przez nią i dla niej zabiłem człowieka. Ta spokojność wywołała ze mnie wściekłą i dziką chęć zemsty – przyszło mi na myśl, że jak ją zabiję, to przecież choć pod pchnięciem sztyletu zadrgną rysy jej twarzy i usta jękną boleśnie... Chęć moja uprzytomniła mi się tak dobitnie, gdym ją nagle ujrzał prawie spełnioną; sam siebie się przeląknę i ucieknę z pokoju... Dziwna rzecz – ani byście zgadli, czego ja najwięcej żalowałem, gdym z pierwszego uniesienia zawziętości ochłonął. Dziwna rzecz, ja żalowałem, że Aspazji nie zabiłem dawniej, oh! dawniej, kiedy ją kochałem jeszcze. Mnie rozpacz brała nie za kobietą, lecz za miłością moją. Nie mieć miłości – tracić tak najpierwszy istnienia swego warunek, patrzeć tak na pogrzeb własnej duszy dlatego, że się na ohydę wybranego przedmiotu patrzyło – to okropnie! Czyż nie lepiej byłoby, czyż nie stokroć lepiej, gdybym był zabił Aspazję wtedy, jak ona ze mną razem na gwiazdy patrzyła, jak włosy i oczy moje całowała, słuchając z dala płynącej piosenki – czyż nie lepiej? – ja umarłą byłbym owinął we wszystkie pamiętki moje i byłbym przechował na dnie serca bez uszkodzenia, bez zmayı grobowej i byłbym ją kochał na wieki – i wte-

dy przypomniałem sobie te pierwsze prawie rzeczony do mnie słowa: „Bóg kocha zniszczeniem i tajemnicą”. Zrozumiałem je – łyzy mi w oczach stanęły – Aspazja znikła z pamięci, został tylko żal niewymowny, rozpaczliwa ku przeszłości tęsknota, wydarcie się wszystkich władz ducha ku temu, co już minęło!... Gdybym ja to miał, choć zniszczeniem i tajemnicą – to bym miał. Na wyższy sylogizm nie mógł się wtedy zdobyć mój umysł.

Mieć jeszcze – mieć! – w te słowa zakłęły się zwroty wszystkich myśli moich, a biedny nic już nie miałem. Zrzuciłem mój ubiór bogaty, rozzułem nogi moje, wziąłem płaszcz tylko na ramiona i wyszedłem z naszego pałacu takim, jakim mię Aspazja przy drodze swojej spotkała. – Takim? – oh! nie, nie, nie takim wcale. Kiedym wielkie i puste, choć zawsze światłem gorejące, przechodził salony i kiedy weneckie zwierciadła ze wszech stron odbiły moją postać ciemną, wychudłą, złamaną, na podróznym kijku wspartą, mnie wielka litość nad sobą samym zdjęła – czemu ja dzieckiem w rodzicielskim domu nie zostałem, czemu mię tak daleko od sióstr i braci wysłano? Czemu zły duch mojego konia w stronę jej zamku popędził? Czemu ona tam przyplęnęła, gdzie ja byłbym skonał może w pierwszym szczęściu i w pierwszej boleści – skonał niewinny, cichy, biały jak lilia, nim na nią kurz lub upał dnia skwarne padnie? Czemu ona nie odeszła, kiedy ja przeczuwałem wszystko i prosiłem: „zostaw mnie?” Byłbym umarł, albo dotychczas byłbym jeszcze siadywał przy obrazie Cypriana długimi wieczorami po skończonej pracy, byłbym marzył, byłbym kochał – albo może... i przypomniałem sobie listy braci, ojca, matki... Spuściłem wstydem okryte czoło, nie otarłem łez płynących – poszedłem dalej ciężką drogą moją. I szedłem długo, daleko, przez gęste lasy, przez strome góry, przez rzeki i przez jeziora; a tymczasem dzienniki europejskie we wszystkich językach przetłumaczyły ważną, nadzwyczajną, niespodziewaną nowinę:

„Hrabia Beniamin – donosił jeden z nich – komandor krzyżów, kawaler orderów... członek wielu uczonych towarzystw, zniknął nagle w nocy z 1 na 2 listopada po odbytych pojedynku z księciem... którego zabił. Nazajutrz był wielki bal w pałacu.... Hrabina Aspazja przyjmowała kwiat naszych salonów z właściwym sobie wdziękiem i nie mogliśmy dość wydziwić się jej spokojnej wesołości, którą zapewne wszystkie domysły i podejrzenia oszukać chciała. Mówią powszechnie, że hrabia Beniamin, młodzieniec niepospolitych zdolności, genialny autor ważnego dzieła o starożytnościach etiopskich i zachwycającej

książeczki drobnych poezyj pod tytułem: *Czarnoksiężstwa* oraz najznakomitszy spomiędzy dyplomatyków naszych, był już od dawna w bliższych z tą panią stosunkach. Tajemnica, ale tajemnica pełna uroku i dobrego smaku, taka, jaka od najsurowszych nawet sędziów wysokiej arystokracji cierpianą bywa, i przed którą się nawet rozwarły pyszne pokoje Margrabiny ***, tej skały niedostępnej powodziom dzisiejszych zwyczajów; tajemnica taka, mówimy, osłania życie tych dwóch zupełnie godnych siebie istot – z przyjemnością jednak możemy donieść czytelnikom naszym, że wszelkie hańbiące domysły o urodzeniu hrabi Beniamina są jak najnikczemniejszą potwarzą. Szlachetne rysy jego zbyt jawnie świadczyły przeciwko tym, którzy mu chcieli izraelskie zarzucić pochodzenie – a teraz jeden wiarogodny z poufałych jego towarzyszy objaśnił nas zupełnie w tym względzie, lecz włożył zarazem trudny obowiązek dochowania wiernej tajemnicy. Zdaje się nam jednak, iż jej nie zdradzimy, jeśli przydamy tylko, że za Beskidem może, w rozkosznej zaciszy książęcego ogrodu, na marmurach i wschodnich kobiercach pierwsze kroki swoje stawiać zaczęło to dziecię nadzwyczajne, które miało zająć tak daleko i zniknąć tak nagle”.

Z gorzkim uśmiechem przeczytałem cały ten ustęp na kawałku wyrzuconej przez okno gazety: – Hrabia Beniamin, człowiek genialny, domniemane jakieś serbskie czy wołoskie książątko, siedział wtedy pod murem gościnnego domu, śnieg i wiatr na przemiany twarz jego smagały, a krew zamarzała na grubych szmatach, którymi nogi swoje obwinął – daleko mu jeszcze było do końca podróży – oh! daleko bardzo.

6.

Dopiero w samą wigilię Bożego Narodzenia zobaczyłem na płachcie śniegowej czerniejącą wioseczkę maleńką – krzyż się wznosił u rozstajnej drogi, spoza dworskich zabudowań niby palce olbrzymiej dłoni cztery topole niebo wskazywały, a na środku dziedzińca szkielec bezlistnej lipy sterczał samotny i nieruchomy. Ja nie zapłakałem nawet, tylko mi coraz trudniej było nogi od ziemi odrywać i zbliżające stawiać kroki. Sam przed sobą wydawałem się jako umarły – cieniem, żywiołem wrócony tam, skąd niegdyś kształty i czas życia wziąłem. Gdym wszedł na dziedziniec, psy okropnie szczekać najpierw, potem wyć zaczęły, a jednak nie zbliżył się i nie ukąsił mię żaden: „Czują trupa” – pomyślałem sobie i wszedłem do sieni. Za klamkę od pokoju ująć nie mogłem, nie śmiałem, padła na mnie wielka jakaś trwoga, jakiś wstyd dziecinny, kobiecy – byłbym chciał się pod ziemię schować, lecz w pokoju musiano wejście moje usłyszeć. Nagle drzwi się uchyliły i w szczelinie światła ukazała się główka maleńka.

– Ciociu! to ubogi! – rzekł potem cienki, srebrzysty głosik dziewczęcy.

– Zanieśże mu to – odpowiedział głos inny, znany dobrze – głos ten przenikającej rzewności, niepojętego smutku.

I po chwili drzwi się znowu rozwarły – mała dziewczynka stanęła przede mną z dużym chleba kawałem i z groszem jałmużny.

Wziąłem chleb, wziąłem grosz, pocałowałem jej rączkę i szedłem za nią.

– Czego chcesz jeszcze, dziadku? – spytała.

– Chcę podziękować tym, co mię wsparli – odpowiedziałem i na progu stanąłem.

Stół był nakryty, siano podosłane, w jednym końcu siedziała kobieta, blada, z białymi jak srebro włosami, w czarnej sukni i w czarnym czepku – po obu jej stronach młode żony, młodzi jeszcze mężowie, dorastający chłopcy i panienki, małe, jak moja mała wspomóżycielka, dzieci – i opłatki połamane... i wszystko tak podobne jak przed laty...

– Matko! Matko moja! – krzyknąłem. Kobieta w czarnej sukni zerwała się, ale sił jej zabrakło i znów na krzesło padła – między przytomnymi gwar jakiś powstał – wiem, że wołano: Beniaminie, co zrobiłeś! Matko, uspokój się! – lecz ja tego wszystkiego nie pamiętam już – wspomnienia wracają mi od tej chwili dopiero, gdy się przytulałem obłąkany, łkający, do kolan czarno ubranej kobiety i gdy na czole z pocałunkiem jej łzę gorącą uczułem – to była łza mojej matki!... Ja miałem jeszcze matkę!

– A gdzie ojciec? – wyjąknąłem nieśmiało, kryjąc twarz na łonie jej.

– Tam, gdzie Józef i gdzie Karol – odpowiedziała cichym, ale serce rozdzierającym od niemej boleści głosem.

Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła – prawda, nie było ich.

– Oni chrześcijańską śmiercią pomarli – przydała matka.

– A nie nad ich zgonem wypłynęły najbardziej gorzkie łzy nasze – odezwała się Bronisława i to był pierwszy, jedyny wyrzut, który mnie spotkał.

Nic nie mówiłem, nikt mnie nie badał – Ludwinka otoczyła mnie całą troskliwością serca swojego – a przecież ten wieczór, ten jeden wieczór, powinien by być uzupełnić miarę cierpienia i pokuty mojej. Znaleźć się tak obcym wśród najukochańszych niegdyś, tak potępionym wśród czystych aniołów, tak obżałowanym litością i miłosierdziem wśród tych, co niegdyś z dumą i pociechą na pierwsze twoje kroki spoglądali, tych, co wróżyli cnoty sercu twemu, chwałę zdolnościom, szczęście losowi twojemu, tych, co powtarzali z rozkoszą i radością pierwsze wyrażenia ust twoich dziecinnych, co się lubowali nad pierwszymi pomysłami młodej głowy twojej – znaleźć się takim i żyć potem jeszcze – oh! to jakiejś żelaznej siły na to trzeba!

Matka moja bardzo już była zmienioną i słabą. W jej oczach zapadłych, przyćmionych, na jej licach wychudłych i głębokimi zmarszczkami okrytych, czytałem każdy wyraz potępienia mojego, każdy wyraz przekleństwa, którego jej usta nie wyrzekły nigdy i myśl nie pomyślała zapewne, lecz który niemniej okropną zgryzotą i piekielnym cierpieniem serce moje rozdzierał.

Jedna z wnuczek wspomniała, że się na mszę północną wybiera.

– I ja pójdę z tobą – rzekła moja matka – są dni, w których się więcej modlić muszę, bo w nich zawsze więcej byłam szczęśliwą albo więcej cierpiałam.

– Ile to już lat będzie, jak Cyprian tak samo w wigilię Bożego Narodzenia wrócił? – spytałem po cichu siedzącej przy mnie Tereni.

– Sześć lat, Beniaminku.

Oh, moi państwo! na tę prostą odpowiedź mnie się łzy gradem po twarzy stoczyły. Sześć lat! Sześć lat! – a przez te sześć lat mnie nikt nie powiedział „Beniaminku” tak, jak Terenia w tej chwili mówiła. Zerwałem się, wybiegłem do drugiego, ciemnego pokoju, rzuciłem się na ławeczkę, ową ławeczkę, przy której Julki piosnek słuchałem, i lżej mi było, gdyż zapłakać mogłem. Oni, dobrzy, zrozumieli mię wtedy, nikt nie poszedł za mną – dopiero, gdy na spanie rozchodzili się wszyscy, przyszła matka, wzięła za rękę i poprowadziła do swego pokoju.

– Pamiętasz rzekła – jak długo tu sypiałeś w swojej kołysce, a potem w owym małym czerwonym łóżeczku? Od urodzenia aż do chwili, w której pierwszy raz konia dosiadłeś i w której twój ojciec z uśmiechem powiedział: – „Oh! to już teraz dorosły mężczyzna, niechże sobie stąd na własny przemyśl między ludzi idzie” – i zanosono wtedy pościółkę twoją do braci na górę. I nauki, zatrudnienia, młode lata twoje uniosły cię jeszcze dalej od macierzystego boku i zanosły tak daleko, że mnie się zdało, jakobym już na zawsze moją pieśczętkę, moje dziecię najmłodsze straciła. Ale teraz kiedy wróciłeś do mnie, mnie się znów zdaje, że ja ciebie drugi raz na świat wydałam, że tak, jako wtedy, nie obejdzie się znowu bez moich starań i bez ciągłej opieki mojej; dlatego też patrz, Beniaminku, sama usłałam twoje łóżko w tym miejscu, w którym dwadzieścia cztery lat temu kolebka twoja stała. Zaśnij spokojny, jak gdybyś miał z jutrem po raz pierwszy na światło oczy twe otworzyć – nie pomnij złego, Beniaminku – wyrzuć z serca przeszłość całą, tylko nie wyrzucaj tej miłości, którą nas kochałeś dawniej – z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie – alboż to nam czasu braknie? Oh! choć ja stara zobaczysz, jak wypielegnuję i wyhoduję nową młodość twoją. Serce matki zna cudowne tajemnice wiecznego odżywiania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia. Zobaczysz, Beniaminku, że nam dobrze będzie...

I drżącą ręką krzyż święty nad głową moją w powietrzu zakreśliła.

Oh! ja wierzyłem tym obietnicom, ja czułem, że ciepło jej serca mnie wskrzesić może – zsunąłem się do nóg jej i oskarżałem o wszystkie moje występki, moje zbrodnie, o jej nieszczęścia wszystkie.

Matka słuchała mię z głębokim smutkiem – odpuściła mi z litością świętą, bożą – ale gdy w nocy na mszę zadzwonili, matka już wstać nie mogła i potem nie wstała także.

Przez kilka tygodni krokiem się od jej łóżka nie ruszyłem, podawałem lekarstwa, przenosiłem ją na rękę moim. Siostry, w objawieniu jakiejś Chrystusowej dobroci, nie wydziedziczyły mię z jedynej, którą jeszcze mieć mogłem, pociechy. Czasem, gdym patrzył na twarz matki, bladą, nieruchomą w bezwładnym uśpieniu, okropny głos wołał na mnie: – „Ty ją zabijasz – zabijasz!”

Ale gdy matka znowu oczy otworzyła, gdy spojrzała na mnie, gdy jej uśmiech spokoju i przebaczenia wszystkie rysy twarzy rozpromienił – to mi znowu tak było błogo i lekko na sercu, jak gdyby cichy anioł zstąpił do niego i mówił: – „Dobrze zrobiłeś, żeś wrócił, matka twoja nie umrze z ostatnią myślą troski i obawy”.

Jednego wieczoru lepiej się jej zrobiło – kazała się posadzić na wielkim krześle i do ognia przysunąć. Siostry z dziećmi swoimi obsiadły ją dookoła. Mała córeczka Tereni, taż sama właśnie, co mi jałmużnę dała, przyszła i wsparła główkę o babki kolana, a gdy Terenia cofnąć chciała dziewczynkę, babka ją przytrzymała i pogładziła z lekka drżącą ręką swoją; patrząc zaś na zbytek owych jasnych pierścieni, co jej się niby potokiem złota po łonie rozlały: – Pamiętam – mówiła – nasz Beniaminek miał także same włosy – i znak mi dała spojrzeniem, bym się zbliżył do niej; i zbliżyłem się, przyklęknałem – matka jeszcze bardziej schylić mi się kazała – zapewne robiła jakieś porównanie między tymi dwiema o jej kolana wspartymi głowami, bo jej palce kolejno mego i małej dziewczynki dotykały się czoła, nareszcie odezwała się, jakby kończąc myśl jakąś:

– Ja mu też zawsze powiadałam, że wróci... – a potem na jej czoło i lica wystąpiła nagle, gorączkowa czerwoność, znać było, że wiele siły zbierała, by pewne wymówić jeszcze słowa. – Beniaminie – rzekła wreszcie przerywanym głosem – nie zapomnij pójść na grób ojca!... Tam zaraz obok niego Cyprian spoczywa... Józef i Karol gdzie indziej... ale mają swoje krzyże, nie zapomnij, ja tam będę... – i westchnęła – ręka jej z mojej głowy na kolana spadła – i nie miałem już matki!...

Siostry i bracia nie chcieli mię wziąć z sobą na pogrzeb, tak przy ich cichej boleści rozpacz moja gwałtowną im się zdawała. Podobno że się rozchorowałem nawet, ale ja nie wiem – chyba to już nie była ta dobroczynna choroba, która pamięć i życie zawiesza, była to choroba okropnej bezsilności tylko: żadna chwila snem nawet nie zginęła mi, widziałem i czułem każde cierpienie z osobna, lecz nie mogłem ani tak rozdrażnić się, żeby mię wszystkie razem od razu zabiły, ani tak ukoić,

żebym choć w odrętwienie popadł. Opuściła mnie siła myśli, siła woli, dawałem sobą rządzić jak dziecko maleńkie, a sam cierpiałem, cierpiałem...

Po jakimś czasie rozjechali się wszyscy, w opuszczonym domku Ludwinka tylko została się ze mną. Rodzeństwo ułożyło sobie, że gdy przyjdę do zdrowia, obejmę gospodarstwo naszej małej wioseczki i mieszkać w niej będę z tą wszystkich najukochańszą siostrą. Nie odrzuciłem, ale też nie przyjąłem tego układu; brak mi sądu i zastanowienia nad najdrobniejszym życia potocznego szczegółem; rozprzegła się jedność całej mojej istoty, w każdej części z osobna osobną boleść czułem. Płakać nie mogłem, ale mi czasem tak okropnie twarz posiniała, tak straszliwe hieroglify z żył wezbranych na czoło wystąpiły, tak oczy krwią zaszły, tak załamane ręce głucho kośćmi chrzęsnęły, że Ludwinka aż się przystąpić bała do mnie, a ja wówczas przypominałem jej słowa Cypriana: „Ludwinka nawet minie cię ze wstrętem” i dręczyłem jej biedne serce cierpkością mych wyrzutów, jak gdyby ona trosk może dawniejszych jeszcze niż moje własne troski nie była musiała teraz nową przyodziać żalobą, świeżymi rozjątrzyć łzami. Ludwinka jednak miała dziwną, niepokojącą dla mnie cnotę – umiała być nieszczęśliwa. Jej nigdy cierpienia nie zatruwały serca, nie psuły dziennego porządku – Ludwinka też z niezachwianą cierpliwością zносиła moje dziwactwa, obchodziła się ze mną jak z chorym dziecieniem i czasem... czasem dobroć jej przypominała mi matkę.

– Beniaminku – mówiła raz ona – trzeba ciągłym ruchem i ciągłą czynnością zagłuszać głos boleści rozzierającej nam serce, trzeba uciec z własnej piersi, oderwać się od siebie samego i zwrócić na zewnątrz, trzeba myśleć o jakiej osobie, o jakim zatrudnieniu, o rzeczach jakich, patrzeć na przedmioty nas otaczające, na robotę rąk naszych, a nigdy w głąb własnej duszy nie spojrzeć, nigdy się myślać w tajnie własnych uczuć nie zatopić – tym sposobem jedynie można iść przed siebie; chociaż to nie pociesza i nie koi bólu, przynajmniej rozrywa go i dzieli, ty dzisiaj wszystkie władze twoje skupiłeś w jedno życia ognisko, a to ognisko męczarnią – posłuchaj mojej rady, gdy z władz owych jedną tylko odedrzeć spróbujesz, gdy uwagę tylko odłączyć i skierować zdołasz – zobaczysz, Beniaminku, jak ci znośniej będzie.

– Znośniej, Ludwinko? – zagadłem ją nieufnie – czy ty mi ręczysz, że znośniej? Z takim po wierzchu zamkniętym grobem, z taką na dnie zgnilizną – to być nie może, to jest tylko żyć dwoistą śmiercią.

– Ja ci ręczę, że znośniej – odpowiedziała mi łagodnym jak prośba głosem i ścisnęła za rękę z przekonaniem i wiarą.

– Ha! rozumiem cię – rzekłem – wyjdzie mi to na jedno, jak gdybym trzymał ciągle przy ustach flaszkę z gorzałką i odurzał się...

– Mnie takie podobieństwo nie przyszło do myśli – odparła smutnie Ludwinka – ale jeśli to tak jest, to przynajmniej odurzenie nasze i Boga nie obraża, i ludzi nie gorszy.

– Co ty mówisz, Ludwinko, że Boga nie obraża? Chyba twój Bóg musi być jakąś obojętną figurką w czarnej sukni i błękitnym płaszczu, jak go zwykle po ołtarzach malują, bo jeśli on jest takim, jak mi o nim Bronisia mówiła, jeśli jest pięknem, miłością, szczęściem, to przyznaj sama, że go właśnie najbardziej powinien obrażać widok człowieka, który cierpi i godzi się z cierpieniem swoim...

Ludwinka długo patrzyła mi w oczy.

– Kto się nie godzi – rzekła wreszcie – ten ma nadzieję, iż je z życia wyrzucić potrafi. Czy ty masz nadzieję, Beniaminku?

Zamilkłem – na to jedno pytanie żadnej dać nie mogłem odpowiedzi.

Nazajutrz jednak w niezwykły ruch się rzuciłem. Pooglądałem książki, które na półkach stały, tak samo jak za życia ojca ułożone, rozwinąłem i starą Biblię, i ów tom *in quarto* z królów popiersiami, i tę książkę, która ojcu z rąk wypadła przed pierwszą moją czytania nauką i znalazłem na okładkach niektórych rozmaite szkice Cypriana roboty, i między niektórymi kartkami rozmaite obrazki, które na prośby nasze malował. W jednym dziele szczególnie było ich ośm, wszystkie według starszeństwa właścicieli ułożone i ręką ojca podpisane – zapewne schował ich tam na pamiątkę naszych zabaw dzieciennych.

Dla Adasia było niby zwierciadło, tak ustawione, że w nim odbijała się postać młodej, przesłicznej dziewczynki, choć dziewczynka nie weszła jeszcze do pokoju.

Dla Julci był wizerunek starej Paraski, która ją wszystkich dumek i kołomyjek uczyła, dla Józefa zabudowania folwarczne z jakiegoś zamownego, jak widać było, gospodarstwa, bo dachy stodół równały się drzew wierzchołkom, a stogi i brogi migały jeszcze w perspektywie. Przed samym zaś dworem było okrężne i Józef, jak parobczak ubrany, z młodą przodownicą w taniec się wybierał.

Dla Ludwinki była tylko mała osiny gałązka.

Dla Bronisławy kobieta na lwie wsparta.

Dla Karola apoteoza myśliwska – on sam po chmurach na swojej Zitcie pędził, Moloch warował do księżyca, a pod strzałem „kochanki” gwiazdka jakaś maleńka jak bekas spadała.

Dla Tereni był piękny chłopiec wychylający się do połowy z kielicha cudownego kwiatu, którego wszystkie listki z najdziwaczniejszych przedmiotów się tworzyły, bo w kształt jednego rozwijała się niby czarownica na łopacie, w kształt drugiego buchał język płomienny, inny wyobrażał smoka, inny dziewicę w koronie, inny był podobny do dziesiątki kierowej, rubinami wysadzanej na tle mieniącym się jak oko pawiego pióra.

Dla mnie był młody Tobiasz w drodze do córki Reguela, z swym nieznanym przewodnikiem odpoczywający; miasto jakieś ukazywało się w dali, spoza miasta wschodziło słońce, a Tobiasz rękę położywszy do czoła patrzył ku miastu i ku słońcu.

Nie mogłem sobie wytłumaczyć, czemu w pierwszej chwili widok tego obrazka nie zasmucił mię, jak zasmucało każde inne z dawnych lat wspomnienie. Wyjąłem go, schowałem przy sobie.

Potem obszedłem wszystkie kąty domu, wszedłem aż do piwnicy, w której my, drobniejsze dzieci, tak często latem ubiegaliśmy się o to, które z nas w tłuczkach masło klucić będzie, po śniegu przekopałem się aż do rzeki, co nasz ogródek z łąkami dzieliła – byłem wszędzie, tylko nie miałem odwagi wejść do pokoiczku na górze, w którym to Cyprian w pomysł swojego malowidła wziął mi młodość, piękność, szczęście i niewinność mojej duszy. Ale nad wieczorem, gdym się z dniem moim obliczył, spostrzegłem, że Ludwinka miała słuszość, że taki ruch ciągły, choć bezcelny, taka choć tylko zmiana przedmiotów boleści, jest wielką ulgą. Chciałem ją wyczerpnąć. Zapaliłem świecę i poszedłem na górę – klucz rdzą okryty nie tak prędko zamek mi otworzył, poznałem, że musiano dawno już tam nie chodzić. Siłą odparłem rygle, drzwi otworzyłem i... nie uciekniesz przeznaczeniu!

Ona znowu siedziała przede mną, a siedziała taką jaką jej zawsze pragnąłem, jakiej czekałem w najszcześniejszych... źle mówię, w najnamiętniejszych uniesieniach jej miłości. Zbłądłem okropnie, do gardła tak mi się coś rzuciło, jakby mię ręka czyja, ręka żelazna ścisnęła za nie – postąpiłem naprzód, lecz w tejże chwili, najpewniej przez drzwi, których nie zamknąłem, wiatr lekki przeciągnął. Poczulem zimno jego na twarzy jak dmuchnięcie cichego westchnienia i świeca zgasła; choć w ciemności, ja zamknąłem jeszcze oczy, bo się bałem... Lecz na próżno – pod powiekami, jakbym ją zabrał był w spojrzeniu, unosiła się

przede mną jej twarz, częścią do twarzy obrazu, częścią do tej twarzy, która mi w jaskrawości pioruna mignęła, wyrazem swoim podobna – zbiegłem na dół, twarz szła przede mną – zawołałem Ludwinki, wypytywałem jej o różne drobiazgi, słuchałem dawanych mi odpowiedzi – twarz ciągle tkwiła przed moim wzrokiem: gdzie się zwrócił, ona się zwróciła – gdzie stanąłem, ona stanęła – kazałem ogień rozpaścić, patrzyłem w płomień, twarz gorzała w płomieniu, a spalić się nie mogła jak krzak cudu Mojżeszowego.

– Ludwinko – rzekłem nagle do siostry – co byś ty zrobiła ze mną, gdybym ja dostał pomieszania zmysłów?

Ludwinka z trwogą spojrzała na mnie, wzięła mię za puls u ręki i niespokojne jego uderzenia liczyła.

– No cóż? – rzekłem znowu: – Czy tak bije jak u wariata?

– Nie mów tego, Beniaminku – odrzekła siostra – masz trochę gorączki, bo dziś może zanadto się zmęczyłeś, jak uśniesz, to ci będzie lepiej.

– A jeśli nie usnę?

– Dlaczegoż nie miałbyś usnąć? Do snu można się czasem przymusić, a sen to taki miły, taki miły jak śmierć...

– I ty wiesz o tym, Ludwinko?

– Oh! wiem, Beniaminku.

– A czy wiesz także, czy doświadczyłaś kiedy, jak to bywa, gdy się na przykład do myśli pewny wyraz przyplącze albo imię, którego się pozbyć nie możesz, choćbyś po tysiąc razy spędzała je sprzed siebie – albo czasem, gdy ci na oczach twarz jaka stanie i gdziekolwiek spojrzysz, to wybije zawsze jak owe zielone i czerwone koła, które za tobą gonią, gdyś zbyt długo pod słońce patrzyła.

– Znam i to, mój braciszku.

– A cóż robisz wtedy?

– Wtedy słucham i patrzę...

– Lecz jeśli nie chcesz słyszeć i widzieć...

– Ja, braciszku, nie mam ani wyrazu, ani twarzy, których bym się tak nawet w złudzeniu wyrzekła.

– Oh! toś ty jeszcze bardzo szczęśliwa! – powiedz mi, czy widziałaś ten obraz na górze?

– Widziałam... tak, dwa razy widziałam.

– I nie chciałaś więcej patrzeć na niego?

– Nie, bo on mi okropne chwile przypomina: widziałam go po raz pierwszy na dzień przed śmiercią Cypriana, a potem widziałam znowu,

gdy Bazyli rzeczy twoje odwiózł i gdzie ty byłeś, słowa powiedzieć nam nie umiał. Od tego czasu mam wstręt do tego malowidła, bo dziwne usposobienie moje! Ja, co tak lubię smutkiem na rozrywkę się bawić, od rzeczywistej boleści uciekam.

– Jednak to piękny obraz, Ludwinko?

– Piękny jak niepodobieństwo!...

– Czemu niepodobieństwo, Ludwinko? takie kobiety są, Cyprian to mówił i ja taką znam.

– Być może, Beniaminku, chciałam powiedzieć tylko, że nie taka kobieta, lecz taka chwila w życiu jest niepodobieństwem.

– Błuznierstwo! Błuznierstwo! – zawołałem, pocieszony tą marną słabych i złamanych ludzi pociechą, że mogą w drugich odpierać swoje własne myśli i obawy. – Taka chwila jest koniecznością, bo jest szczęściem i udoskonaleniem.

– Ja myślałam, bracie, że w takiej chwili człowiek by świata i Boga zapomniał, więc mu Bóg dobry chwil takich nie daje.

– Otóż to znowu! Szlachetność stoicka, wyrzeczenie się i zaparcie – to twoje cnoty, Ludwinko. Najpewniej zdaje ci się, że dlatego tak nisko upadłem, bom ich nie miał. No, proszę, to wyśmienite doprawdy! – bez wszelkiego dobra człowiek dopiero najlepszym być może, a szczęście to grzech – zastanów się przecie, Ludwinko. Gdybym ja spotkał i miał na całe życie taką kobietę, czy ja bym przez to co złego innym ludziom zrobił? czy ja bym nie był szczęśliwy? – a szczęście czyż mi się nie należy? Szczęście!... Ludwinko, Ludwinko! Gdyby ona tu przyszła do mnie, gdybyśmy oboje pomyłkę naszą uznali i zaczęli życie inne, spokojne jak ten ubogi domek nasz, dobroczynne jak dzień z życia matki naszej wzięty – gdyby jej serce miłością tchnęło dokoła, jej słowo w piękność zaczarowało ten świstek maleńki... – to cóż? Czy ci się zdaje, że ja bym był taki zły, jak jestem, taki zawzięty i zazdrosny, iż gdy wspomnę sobie nawet, jak to patrzę okropnie zabitego źrenice, to się nie lękam ich, tylko powtarzam wściekły: już ona więcej nie powie: „lubię twoje czarne oczy”. Wszak prawda, Ludwinko? – gdyby ona mię kochała tak, jak obraz kocha, ja byłbym dobry, użyteczny – nie straszylbym cię już nigdy...

Ludwinka cichymi łzami płakała.

– Czemużby ciebie kochać nie miano? – rzekła nareszcie – młody jesteś, piękny jeszcze i ty byś tak kochał przecie?

Zamyśliłem się – w zamyśleniu zwijałem ciągle i rozwijałem ową ćwiartkę papieru, na której był suchymi farbami mój Tobiasz zrobiony.

Po długiej chwili milczenia Ludwinka się zbliżyła i chcąc może o czym innym zacząć rozmowę:

– Co to trzymasz w ręku? – spytała mię. Ja spojrzałem, bom już był zapomniał, że coś trzymałem nawet.

– Ach! to obrazek, który dziś rano w książkach znalazłem.

– Ostrożnie, bo go zepsujesz – patrz, już się miasto zatarło, a to obrazek dobrej wróżby dla ciebie, Beniaminku. Siedmiu oblubieńców miała Sara, siedmiu śmiercią pomarło, lecz ten jej się dostał, który ją miłością bożą i czystą pokochał.

– Prawdę mówisz, Ludwinko – ukochać tylko i nie wątpić.

W nocy napisałem list do Aspazji...

„Matka mi umarła – mówiłem jej – cierpię okropnie; ale matka przebaczyła mi przed śmiercią – ja tobie przebaczyć muszę – nie, nie przebaczyć Aspazjo, lecz powiedzieć ci, że dziś lepszy jestem, mój gniew pod tchnieniem ust macierzyńskich w łzy się rozpląnął, moje przekleństwa od jej błogosławieństw zaniemiały, moja nienawiść przed jej miłością z duszy ustąpiła. Gdym cię opuścił, Aspazjo, przez czas bardzo długi wspomnieć o tobie nie mogłem, tak mi się zaraz z całą okropnością swoją wracała ostatnia chwila naszego rozstania; wtedy odżywałem ją we wszystkich jej przejściach, wtedy zdawało mi się, że gdybym cię był ujrzał, to bym cię musiał zabić, chociaż wówczas nie zabiłem, wtedy znów mię napadało szaleństwo i ogarniała wściekłość bezrozumna. Dziwna rzecz! Z pięciu lat przeszło, któreśmy razem spędzili, nie mogłem innego wydobyć wspomnienia, tylko owo najgorsze wspomnienie – dzisiaj już tak nie jest, dzisiaj widziałem twój obraz – wszak pamiętasz? Obraz, który był pierwszym pośrednikiem między nami, który mi zwiastował ciebie. Otóż ja, widząc go, doznałem gwałtownego wzruszenia, tysiąca sprzecznych wrażeń – jednak, Aspazjo, wierz mi na pamięć mej matki, żadne nie było nienawistnym wrażeniem. Aspazjo! Mnie przy tym obrazie stanęły w myśli piękne dni nasze tylko – uczułem wielką wdzięczność za wszelkie dobro, które od ciebie wzięłem, za nauki, któreś mi ułatwiła, za chwile natchnienia, któreś mi dała, za te godziny, w których z uwielbieniem patrzyłem na ciebie i słuchałem głosu twojego. Wdzięczność za wszystko, Aspazjo – że umiem zbutwiały rękopisów odgadywać słowa, że mi teraz ostrołuki gotyckich kościołów i pilastry świątyń greckich od jednego spojrzenia muszą tajemnice swej piękności wypowiedzieć zaraz w najdrobniejszym ułamku swoim, że mi ani jeden rzut pędzla własnych mistrzów stracony nie jest w ich cudnych obrazach, że mi się otworzyły

skarby tylu języków, żem widział, żem poznał – ja tobie winienem. Dawniej za nic to miałem, co więcej nawet: oburzenie tak niesumien-
nym jest rachmistrzem, że wszystkie owe nabytki zaliczyłem do cięż-
kich twoich przeciwko mnie grzechów. Czczym szyderstwem zdawały
mi się dlatego, że szczęścia nie wracały, że ran nie goiły. Dziś, Aspa-
zjo, sprawiedliwym jestem – przyznaję dobrodziejstwa twoje, dziś
przypominam sobie także miłość twoją, pieśczoły twoje, namiętne
uniesienia i tę wiarę niezachwianą, że ja cię kocham nad wszystko, ze
wszystkim, z piekłem i niebem twej duszy. Dziś przypominam sobie
całą przeszłość naszą i całą przeszłość uznaję – tak całą, że nawet za-
bójstwa i występku nie chcę z niej wyrzucić – a wiesz dlaczego, Aspa-
zjo? ot dlatego, bom się przekonał, że cię kocham znowu. Występek
świadczy przeciwko postępowaniu naszemu, przeciwko zdarzeniom i
okolicznościom – miłość moja świadczy za prawdą łączącego nas
uczucia; gdybym nie miał miłości, to by wszystko, co się stało, było
złem nie cofniętym jak wieczyste potępienie – gdybym nie miał miło-
ści, to bym się widział tak nikczemnym i ciebie tak skalaną, że już by
żyć nie było warto. Gdybym nie miał miłości, to bym te sześć lat życia
musiał nazwać rozpustą i wszeteczeństwem – gdybym nie miał miłości,
to bym nie doszedł był do miejsc rodzinnych, nie przeżył śmierci mej
matki, nie tknął dziś stopą niegodną jej grobu. Ale ja cię kocham,
Aspazjo – zblądziłyśmy, to prawda, nie przeciagnęliśmy szczęścia na-
szego w nieskończoność, z chwili użycia szliśmy ku drugiej chwili po-
dobnej, zamiast co byśmy mieli ku wyższej podążyć, z całego świata
naokół snuliśmy rozkosz dla siebie, z siebie nic nie wysnuli dla świata.
W naszą pierś zbiegły się wszystkie jasności promienne, lecz z naszej
piersi nie wystąpiły na zewnątrz, niczego nie ogrzały, nie oświeciły
niczego, a my potem złamaliśmy się i upadli pod zbytkiem naszym.
Dobro nowego dobra nie rodzące jest złem najgorszym – głupstwo nie
tyle zaszkodzi, nienawiść nie tyle pognębi, ile rozum, gdy się zużyje na
bezpłenne prace, miłość, gdy się w samolubne uczucie roztrwoni; dla-
tego my też cierpieli okropnie, dlatego ja byłem zazdrosnym, ty okrut-
ną. Ale ja cię kocham, Aspazjo, ja ufam, że odkupimy pomyłkę naszą
szczęściem i doskonałością, tak jakeśmy ją odkupili boleścią i łzami.
Jeśli do ciebie w tej chwili nie przemawiam żywym głosem, tylko list
piszę, Aspazjo – nie myśl, o najdroższa moja! bym się lękał twej
wzgardy, bym nie dowierzał twemu sercu, lub chciał nieszczerym wy-
biegiem resztkę obrażonej dumy osłonić. Nie, moją dumą jedyną to jest
właśnie, że pierwszy ręce do ciebie wyciągam, że nowe wspólne szczę-

ście dla nas obojga znalazłem. Miłości twojej miłość moja jest mi rękojmą – ja dziś wiem, że kto kochał, ten kochać będzie zawsze, choćby nieszczęście zawichrzyło mu w głowie, a grzechy tak serce zepsuły, iżby sam w obłąkaniu wołał: „nienawidzę – on kochać będzie, bo kochanie jedyną nieśmiertelnością człowieczeństwa. Patrz, Aspazjo, ja ci złorzeczyłem, jam przebył tak okropną chorobę szaleństwa i zawziętości, a przecież w pierwszej chwili spokojnej, za pierwszym spojrzeniem na twój obraz, za pierwszym słowem nadziei, które mi siostra rzuciła, ja znów czuję, że cię kocham jak dawniej, lepiej niż dawniej, Aspazjo – i oni tu wszyscy, przez sześć lat zapomnieni, przez sześć lat zasmuceni, rozgniewani – gdym przybył, oni wszyscy uściskali mię z radością, nikt mi nawet nie wspomniał o przebaczeniu, tak je dał każdy prędko i zupełnie – a kiedy tutaj nikt kochać mię nie przestał, czemuż ja się mam lękać, żeś ty już przestała. Czyż to podobnym jest nawet? – Nie, Aspazjo, jeśli ci się tak zdaje, jeśli pod wrażeniem złych wspomnień lub w napadzie tego nieszczęśliwego usposobienia, które czasem gorczą uśmiech, jadę słowa twoje zatruwa, jeśli, mówię, odsądzisz mię w sieroctwo, rozpacz i obojętność – to samej sobie nie wierz, jedyna moja – Bóg nie może przeszłości powiedzieć: nie byłaś – człowiek nie może powiedzieć sercu, które kochało: już nie kochasz. W tej niemożności jest cała świętość prawdy Bożej, całe uświęcenie życia ludzkiego, ty mię kochałaś, Aspazjo, więc ty mię kochać będziesz – obraz Cypriana sprawdzi się, kochać mię będziesz tak, jak na obrazie, zachętą, nagrodą, uczestnictwem w czynach szlachetnych. Bo na obrazie widać to wszystko, widać, że z uścisku dwóch tych istot pięknych i doskonałych zrodzi się w przyszłości piękna jakaś i doskonała chwila, widać, że dla nich pieśczęta jest zaczerpnięciem sił nowych, nie wydaniem zebranych, że Aspazja pochwyci lutnię swoją, że Alcybiades w słowa natchnionych pomysłów obwinie scytal przy nim leżący. Wszakże prawda, że i nam przyszłość z ideałem Cypriana spodobnieje. Wszak czytając te słowa, ty już mi wierzysz i sobie wierzysz, i myślisz o chwili, w której przybędziesz do mnie – bo ja, Aspazjo, ja nie pójdę do ciebie – tam, gdzie ty jesteś, martwość i zepsucie samo, we dwoje my byśmy tam na nowo skalali się i cierpieli. A tu, przy mnie, czysto, święcie, pobożnie, jak zwyczajnie wśród serc kochających, wśród grobów, nad którymi łzy płyną, lecz nikt nie rozpacza. Ja też zostanę tutaj, Aspazjo, ulepszę się, ugodnię i tutaj ciebie czekać będę: twoje i moje zmyję przewinienia!...”

Przez miesiąc cały żyłem gorączkową nadzieją – z zupełnej pewności porzucałem się w zwątpienie zupełne, bo niech tam kto jak chce się chwali, ten, co raz już wierzyć przestał, nigdy naprawdę potem nie uwierzy, a dla tego, co już raz cierpieć zaczął, chwile nadziei są jak kantarydowe proszki w otwartą ranę sypane. Co wieczór tylko miałem przystęp kilku chwil, nie wiem, szczęściu czy paroksyzmowi gorączki podobnych. Wtedy siadałem w pokoiku na górze – ktoś mi ogień przychodził rozniecać, a ja całą godzinę, to jest cały czas, póki się nałożone drzewo nie spaliło, patrzyłem w obraz i nigdy mi ani jedna smutna myśl nie przyszła. Jeśli kiedy o innej porze próbować tego chciałem, próba się nigdy nie powiodła. O zmierzchu tylko, w kominkowym świetle, jak gdyby kto czary jakie rzucił, niemylnie zstępowała na mnie półsenność błoga, dobroczynna i orzeźwiająca. Wtedy czytałem w mej wyobraźni najtkliwsze słowa spodziewanej odpowiedzi – czasem przypuszczałem nawet, że Aspazja sama już zajeżdża, już wchodzi, już mi ręce na szyję zarzuca i mówi: – „Bądźmy dobrzy, bądźmy szczęśliwi”. Najczęściej jednak traciłem wszelką osobistość, a płótno ożywiało się za to i siedzące na nim postaci ruchowego życia nabierały – to się płaszcz Alcybiadesa osunął, to ręka Aspazji drgnęła, to się promienie ich włosów zmieszały, to jakieś ciche słowa wyszły. Bądź co bądź, ja tej godziny nie byłbym mieniał... nie byłbym mieniał, gdyby mi kto dawał za nią dobrze w rzeczywistości zawarowane, lecz utajone przede mną szczęście – bo juścić, gdyby kto był powiedział, że stanowi żywą Aspazję, to byłbym się nie wahał bez wątpienia, ale gdyby w niepewność domysłów mię rzucił, to ręczę, żebym nawet oszczędził ich sobie. Z moją jedną na dzień godziną – jedną godziną bez cierpienia – ja byłem taki szczęśliwy!...

Już wam wspomniałem, że to miesiąc trwało cały, dni trzydzieści; bez zmyłki pamiętam, bo pilnie liczyłem – trzydziestego pierwszego dnia siedziałem na górze, mały chłopiec jak zwykle przyszedł ogień rozniecić – nim rozniecił, podał mi list. Na samo dotknięcie papieru zaczęło mi w głowie szumieć, w uszach tętnić, w sercu bić tak gwałtownie, że nie mogłem słabej pieczętki rozerwać. Stałem tak długo z tym miękkim, drobno złożonym papierkiem w ręku, że chłopiec rozdmuchał węgle i wyszedł, i świecę wyniósł, a ja się jeszcze na otwarcie koperty nie zdobyłem. Potem byłbym się przeląkł – potem było mi za ciemno – chłopca wołać za daleko, a węgle jak na złość tliły się powoli i drzewo jak na złość nie zajmowało płomieniem. Wreszcie buchnęło nim od razu na wszystkie strony – ja pierwej jeszcze, by tę

chwile przyspieszyć, uklęknąłem przed kominem; później więc, nie wstając wcale, rozwinąłem papier i żal mi się zrobiło próżnych a tak gwałtownych wrażeń – pisma nie poznałem zupełnie, był to jakiś męski charakter – zacząłem czytać dość spokojnie.

„Pobożność, mój synu, świętą jest cnotą, żal za grzechy prosto do nieba prowadzi, ale ja ci powiem szczerze, że gdyby z mego listu piękna kobieta śmiała się tak, jak Aspazja z twojej modlitwy, to doprawdy rzekłbym się i świętości, i nieba, a sobie w łeb bym palnął. Najpierw powiadam ci, że to nie boli, a potem powiadam ci, mój synu, że to jedyne lekarstwo na melancholię, wyrzuty sumienia i śmiech kobiety, która cię nie chce, a która w tej chwili przez ramię moje patrzy i mówi: „zobaczysz, że on gotów i to jeszcze głupstwo zrobić”. – Żegnaj cię, synu mój, bo muszę wybadać Aspazję, dlaczego samobójstwo głupstwem nazwała, kiedy najporządniejsi ludzie w Atenach, Rzymie i Londynie mądre życie tym kończyli właśnie.

NB. Radzę ci pierwaj butelkę wytrawnego wina wlać sobie do żołądka; rozjaśni ono myśl twoją ostatnią i lepiej będziesz na tamtym świecie wyglądał. Spodziewam się, że potrafisz ocenić wysoki szacunek, z którym jestem dla ciebie, synu mój, twoim ojcem duchownym, pierwszym nauczycielem, vel szatanem, vel paziem, vel Kainem”.

Kiedym przeczytał te słowa – jeśli kto z was tu cierpiał w życiu swoim, cierpiał okropnie, bezprzytomnie, tak że mu w jedyną chęć, jakiegośkolwiek rozerwania boleści dusza z wszystkimi siłami się rzuciła, jeśli, co nie daj Boże, jest kto taki między wami, ten się nie dziwi i nie rozśmiej, jak powiem, com ja zrobił, gdy te słowa przeczytałem – oto schwyciłem rozżarzonych węgli i trzymałem je poty, póki mi w pięściach ściśniętych nie zgasły – ta fizyczna boleść była instynktu mojego potrzebą, pomogła mi do zebrania rozbieżnych myśli. Pierwsza z nich była myślą listu: – „Trzeba się zabić”. Równymi nogami zerwałem się przeto i biegłem ku drzwiom; nim dobiegłem, spojrzenie moje padło na obraz – stanąłem jak wryty – po chwili dopiero załamałem popalone ręce i krzyknąłem całym głosem: – „Ty kłamiesz! ty kłamiesz!” – i druga myśl mi przyszła, myśl litości i miłosierdzia pośmiertnego. Ha! przynajmniej już drugim kłamać nie będziesz – rzekłem i zdjąłem obraz, poniosłem go do komina, z lunatycką dokładnością ustawiłem, obłożyłem główniami i siadłem sobie naprzeciwko, żeby widzieć, jak zgoreje, a wiatr tymczasem brząkał wszystkimi szybami w oknie i świszczwał wszystkimi tonami za oknem. Ledwie pierwsze na ogień rzuciłem spojrzenie, uczułem się pod wpływem niepojętej

władzy – istota moja rozdzielała się niby, wola występowała ze mnie, boleść opuszczała pierś moją, łączyła się z obrazem, a ciało zmartwiałe i bezsilne jak ciało trupa nie mogło żadnego zrobić poruszenia i wiedziałem, że chcę koniecznie ratować obraz Cypriana, że dotknięcie ognia pali moje członki przed oczyma moimi, lecz wstać, lecz iść nie mogłem. Płomień z wolna postępował – czy to cudem, czy że obraz wilgocią muru był przejęty, nie zajął się od razu, choć olejnymi farbami robiony; rzekłby kto, iż zanurzał się z rozmysłem w zniszczenie; ja czułem, jak płomień do piersi mi się dostawał, jak przegryzał serce, wyżerał oczy, jak potem dłonie Aspazji ogarnął i jej łono, jej białe łono całował swoim śmiertelnym pocałunkiem – a później ust dotknął, a później czoła wzniesionego, a później... kilka drobnych tylko iskerek brzeżkiem tła się pogoniło i nic już więcej – umarliśmy oboje.

Tak jest, moi państwo, oboje – gdyż od tej chwili ogarnęły mię doskonała martwość, już mi się nawet zabijać nie chciało i poszedłem spać bardzo spokojny, i w nocy nic mi się nie śniło. Ludzie mówią teraz, że ja żyję – prawda, organizm zachował się w zadziwiająco pożądanym stanie. Nie straciłem też pamięci, nie dostałem obłąkania ani fiksacji. Kiedy mówię o czym, zdawać by się mogło, że każde słowo rozumiem i czuję. Nie jestem zbrodniarzem, mizantropem, samolubem, obojętnym nawet nie jestem – między złem a dobrem zawsze dobre wybiorę – tylko nie wiem, jak się to stało, ale we mnie władze radowania się i smucenia stępsiały zupełnie.

Poszedłem z Ludwinką na grób rodziców – płakałem, ale czułem, że łzy moje były jedynie nerwowym wyrobem i że mię nic nie bolało. Odwiedziłem później Adasia, dzieci jego wciągnęły mię do zabaw swoich, dokazywałem z nimi, biegałem, śmiałem się, a nic mi nie było wesoło. Spotkałem wdowę Józefa – słyszałem od niej wszystkie szczegóły śmierci mężowskiej, a nic nie było mi smutno; uratowałem tonącego człowieka, serce mi nawet uciechą nie drgnęło. Byłem u Tereni w tej właśnie chwili, w której traciła swoją małą córeczkę, ową dziewczynkę, co mi to pierwsza drzwi otworzyła i ostatnia wraz ze mną przed konającą matką stanęła – patrzyłem na rozpacz mojej siostry, na okropne męczarnie biednego dziecka, a w głębi duszy byłem tak spokojny jak ślimak i nic mię już nie mogło z tego stanu wyprowadzić. Czasem jeszcze przebiegały różne życzenia przez głowę jak muchy przez otwarty pokój – zdawało mi się, że chciałbym dla odmiany chociaż pocierpieć trochę – na przykład, gdyby mi się wróciła ta chwila, kiedy Cyprian zemdlał lub kiedy matka umarła, lub kiedy obraz palił.

Aby raz tę sparaliżowaną duszę czymkolwiek uderzyć, to możeby wstała i chodzić zaczęła, lecz próżne usiłowania! Zastanawiam się nad sobą jak nad ciekawym lekarskim fenomenem i coraz bardziej przekonuję, że daremne są wszelkie w tym względzie starania. Z początku myliłem się – ile razy wiatr zaświszczał, gdy widziałem rozpalony ogień przed sobą, tyle razy zimno występowało na całą skórę moją i mimowolnie w głębokie zapadałem milczenie. Chciałem więc wmówić w siebie, że to jest boleścią obudzonego przypomnienia. Gdzie tam, moi państwo – spostrzegłem, że to jedynie skutkiem oparzelizny i nową skóry mojej własnością: zimno takie uderza na mnie i wtenczas, gdy zupełnie o czym innym myślę – raz nawet uderzyło, choć nie wiedziałem, że ogień się palił w zasłoniętym przez ekran kominku – jest to więc zupełnie patologiczne usposobienie. Teraz wy także, słysząc mię, nieraz może myśleliście, że byłem wzruszony, do głębi duszy przejęty – co też to za dobroduszość! – a toż przecie, gdyby tak było, ja bym nie śmiał poruszyć ani jednym słowem ani jednego ze wspomnień tak bolesnych. Ja wam po prostu opowiedziałem moje życie jak powieść z pamięci. Na pamięć wydaję teraz wszystko – grzeczność, współczucie, oburzenie, przychylność – zawsze i w każdej chwili przypominam sobie, co gdzie przypada najlepiej. Obłudnikiem mnie nie nazywajcie – gdybym mógł prawdę pod ogrywaną rolę podsunąć, widzielibyście mię tutaj klęczącego na środku salonu, z wzniesionymi ku niebu rękoma, z głową popiołem posypaną – a zresztą czyn mój też nigdy powierzchownym nie zaprzeczy oznakom. Ja uścisknę dłonie wasze, tak się przed żadnym poświęceniem nie cofnę. Chcecie, bym pracował? – będę pracował. Chcecie, bym się pozwolił przybić do krzyża? – chętnie i drzewo na niego dźwigać będę, i rozpostnę ramiona, i dam przebić ręce, nogi, i skonam – o! bracia moi – tylko... tylko choć skonam – nie zbawienie zbawię, bo nie kocham was...

– I nic już pan nigdy o Aspazji nie słyszał? – po długim milczeniu odezwała się Tekla.

– Przepraszam panią, dwa tygodnie temu wpadł mi do ręki list, który już blisko dwa lata poniewierał się na moim stoliku. Szatan vel Kain donosił mi, że dnia 23 marca, wśród kobiet służących, które ją na bal ubierały, Aspazja dostała okropnych konwulsyj i w przeciągu kwadransu życie zakończyła: ciało jej w tejże chwili prawie szerniało jak węgiel. Szatan vel Kain posądzał mię o zadanie trucizny – ja roześmiałem się tylko, bo Kain może miał słuszność. Według daty i oznaczonej godziny Aspazja skonać musiała wtedy, kiedy jej obraz paliłem...

– Horror, most horror! – zawołała Anna – więc naprawdę ta kobieta była...

– Zdało mi się, że już powiedziałem państwu... jak to, czy nie?... musiałem zapomnieć – otóż ta kobieta była – poganką.

Z ostatnim słowem głucho milczenie cały pokój zaległo; dopiero po kilku chwilach Leon metodysta najpierw się otrząsnął z doznanego wrażenia i w duszy swojej osądził, że to właśnie stosowna bardzo okoliczność do podania nam wszystkim arcyzbawiennej dozy „moralnego sensu”. Jak dziś pamiętam jeszcze, zaczął od tych słów urzędowych, które każdy pewnie na pamięć umie, bo pewnie każdego spotkały tyle razy, ile razy jaką stratę poniósł, ile razy jakie niebezpieczeństwo mu groziło, ile razy cierpienia dość zręcznie nie uniknął lub drzwi swoje przypadkiem otwarte nieszczęściu zostawił:

– A widzicie! – a czyż wam tego nie mówiłem? – a widzicie, że miałem słuszną (dalszy ciąg sentencji był już więcej z własnego uczucia i własnej indywidualności zaczerpnięty). Oto człowiek zdolny, poczciwy, „dobrze urodzony” w całym najświętszym tego wyrażenia znaczeniu, wśród wszystkich najpożądańszych tej astrologicznej formułki warunków – przyniósł z sobą na świat złote serce, diamentową wyobraźnię, mógł zostać poetą lub prorokiem – Tyrteuszem lub Ezdraszem – on został... kochankiem pięknej kobiety – i patrzcie, moi drodzy, patrzcie, a pamiętajcie na zawsze, jaki on dziś złamany, bezsilny, martwy, nieużyteczny... Biada miłości, która się tak na jednostkę wyrzuci i zmarnuje...

– Lecz gdyby się nie zmarnowała?... – ostrożnie podsunął Edmund – gdyby ta jednostka nie pogańska, ale już w chrześcijaństwie odrodzona przyjęła skarb rzucony wraz z przywiązaną do jego posiadania odpowiedzialnością?... Gdyby przyjąwszy, tak dobrze nim zagospodarowała, że w jej ręku wszelki tysiąc i klejnot wszelki osobnym Bogu i ludziom opłacałby się procentem? Gdyby...

– Żadnego „gdyby” obok takiej „aktualności” stawiać się nie godzi – przerwała Seweryna, wyciągniętym palcem na Beniamina wskazując.

– Ja też nie żadnym „gdyby”, ale także „aktualnością” odpowiadać wam będę – zawołał oburzony Henryk. – Ha! panie metodysto, pokazujesz mi Beniamina, jaki to człowiek złamany, nieużyteczny, bezsilny – proszę ja pana z sobą, proszę za próg tego pokoju, od domu do domu chodzić będziemy i nawzajem ja panu pokażę całe muzea, galerie, od piwnic aż do strychów kamienice pełne takich bohaterów, co nie kochali nigdy, nie zmarnowali nigdy tak jak Beniamin uczucia swojego –

tlustych szachrajów, wychudłych harpagonów, obhaftowanych złotem dworaków, wywiedłych w rozpuście dudków, legiony całe stawię ci przed oczy, po imieniu każdego zaprezentuję i przed krucyfiksem za wszystkich razem przysięgnę, że się nigdy w żadnej nie kochali kobiecie. Jeśli chcesz, to możemy nawet po więzieniach kryminalnych małą odbyć wycieczkę. Spytaj złodziei, morderców, fałszerzy – nie – i oni tak nikczemnej nie ulegli słabości. Twój sąsiad, Leonie, co to za wielki człowiek! Bez miłości z pół milionem się ożenił. A twój znajomy, pan sędzia... co to za głowa rozumna, jak dowcipnie się wyśmiał, gdy między papierami biednego Jana kilka listów jego młodej narzeczonej znalaziono. Tylko ten Beniamin występny, on śmiał pokochać całą duszą swoją, wszystkimi władzami umysłu swego, kobietę zachwycającą... i gdy go zdradziła bezbożna – on śmie cierpieć, on się poważa ręce opuszczać w rozpacz... No, szczęście, że jest między nami metodysta, który mu za to sprawiedliwość wymierzy...

– Oj! Henryku, Henryku, lepiej byś dobrej sprawy bronił, gdybyś się w ostateczności nie przerzucił i sarkazmem nie szermierzył! – zapędzonego upomniała Anna łagodnym, macierzyńskim głosem – można Leonowi bardzo spokojnie a bardzo kategorycznie to proste stawić pytanie: jacy ludzie według jego zdania szlachetniejszą w plemienności stanowią odmianę, czy ci, którzy aż do zbytku kochają, czy ci, którzy nawet do potrzeby szczęścia ukochać nie są zdolni?...

– Najszlachetniejsi tacy, którzy wszystkie obowiązki człowieczeństwa pełnią – odpowiedział zaczepiony.

– Oho! już się pan Leon wybiegami ratuje – postrzegła złośliwie Augusta – już na pytanie wprost nie odpowiada, ogólnikami nas zbywa. Widać, że proces w jego sumieniu przegrany.

– Czemu przegrany? Od początku do końca trzymam się tegoż samego założenia, wymagam jednej i tejże samej rzeczy. Chcę, aby ludzie żyli na chwałę Bożą i na pożytek bliźnim swoim – każdy dzień ich, każdą godzinę nawet potrzeba im zapełnić pracą, nauką, dobrymi uczynkami, szlachetną całej ludzkości miłością, a jak się miłość jednostkowa ma do tych wszystkich moich wymagań, to mnie bardzo mało obchodzi, Widziałem, że najlepszym na przeszkodzie staje. Henryk mi przypomniał, że najgorsi są bez niej jeszcze gorszymi – niechże i tak będzie – przyjmuję romans za środek pedagogiczny dla bardzo, bardzo maluczkich – ale daruj mi, śliczna Augusto, olbrzymom, Prometeuszom nie wykroję z niego promiennej nad czoło aureoli.

– I w tym właśnie, według mojego zdania – zawnioskowała Jadwiga – w tym właśnie główny twojej pomyłki splątał się węzełek. Między tłumem powszednich osobistości trudno zgadnąć, jak której służy uczuciowa higiena – jednej pomocą, drugiej przeszkodą bywa – lecz dla Olbrzymów-Prometeuszów, dla zbawionych i uświęconych – toć to ich cechą stanowi, Leonie, że dla nich zawsze jest cnotą w sercu i aureolą na skroniach i póki ci kto nie złoży tego dowodu, póki tej próby w życiu swoim nie przejdzie, póty, ja ci radzę – ani olbrzymem, ani Prometeuszem nie nazywaj go wcale.

– Wiesz, Jadwigo – odezwał się Albert filozof – w tym, co powiedziałeś, jest jedno wyrażenie, które mi dużo światła na całą kwestię rzuca: „póki kto tej próby w życiu swoim nie przejdzie”. Istotnie, miłość jest pewną próbą rzetelnej wartości człowieka, jest symptomem, wykazującym działalność jego organizmu, tętnem, po którym się stan zdrowia lub choroby rozeznaje – sama zaś nie jest ani wartością, ani organizmem, ani zdrowiem, ani chorobą. Według prawa odwiecznej logiki jest świadectwem naszym i powinna być tylko o dobrym, o chwalebny w nas świadczyć. Dziecinną mi się widzi dłuższa sprzeczka o jej zbawiennych czy tam potępianych wpływach – takimi zawsze wpływy się okażą, jakimi są skłonności doznającego ich człowieka. W zasadzie musimy uznać, że miłość najpiękniejszy kwiat życia ludzkiego rozwija; słusznie jest pożądaną jako szczęście, sprawiedliwie cenioną jako szlachetne uczucie – lecz to wszystko w zasadzie tylko. Zastosowania mnóstwo przedstawiają wyjątków – są tacy, którzy szczęścia nadużywają, są inni, którzy nawet w szlachetnych nie mogą się ostać uczuciach, są jeszcze inni, którzy w pewnych danych okolicznościach muszą je dla wyższej poświęcić prawdę; bo w naszym światowym chaosie różnie bardzo się dzieje. Na pozór to się zdaje, że dosyć złe obalić, by się wspiąć ku dobremu, a w rzeczywistości złe nam już takie głębokie pod nogami wykopało jamy, że choć pień jego stary podetniemy, to na zrównanie gruntu nie wystarcza i trzeba nieraz w dół rzucić ładne dla pięknego – przynależne dla potrzebnego – ulubioną dla ukochanej i uczczonej. Ha, trudno! nie krzyw się na mnie, Henryku. Praktyka życia od normalnego planu Bożego fatalnie odstąpiła. Plan Boży dał nam przestrzeń, materiał i zdolnych architektów – kiedy się wznoszą kolumny portyków, kiedy rosną ku niebu ostrołuki starych kościołów i sklepień poważnych bazylik, chwalimy wspaniałość miasta, przyklaşujemy Brunelleschim i Michałom Aniołom – a jednak są chwile historyczne, w których znów chwalimy wspaniałość miasta gorejącego

pożogą swych gmachów, przyklaskujemy ludziom, którzy po zgłiszczach rodzinnych pałaców niezachwianą stąpają nogą, impavidum ferient ruinae. Okolicznością, przyczyną, celem i skutkiem wartość wszelkiego faktu sądzić trzeba.

Nikczemny człowiek nigdy miłości nie dozna – ale i prawy człowiek bardzo często wyrzec jej się musi.

– Wyrzec?... oh! nie, to szaleństwo – zaprotestował Henryk – właśnie dlaczego, by miał co oddać i zburzyć, gdy przyjdzie chwila poświęceń... właśnie dlatego, by się wyróżnić od tych, co wszystko przedsięwziąć gotowi, bo nic nie mają do stracenia...

– No, no, dość już tego, dość tego – zawołała Emilia – wstydźcie się, moi drodzy, dysputujecie jak średniowieczni scholastycy nad subtelnością wyrażań, a tu między nami siedzi człowiek cierpiący i znękany, tu dusza ludzka zamiera i nikt z was jeszcze nie pomyślał, że przede wszystkim, że najpierwej trzeba duszę i człowieka ratować. Czy miłość taka, czy owaka, możecie sobie później aż do znudzenia snuć długie rozprawy, lecz czy Beniamin pośród was ożyje? czy macie w sercu skuteczne na jego niemoc słowo? O to już dawno ktokolwiek powinien się być zatroszczyć.

Beniamin, dotychczas w milczeniu spuszczoną głowę swoją trzymający, wznosił oczy na Emilię – była jakaś obojętna ciekawość w jego spojrzeniu, ale współczucia wdzięcznego nie było – po chwili nawet ciekawość przygasła, zimną martwością zaszły źrenice, powieki znów się ku ziemi osunęły i znów nieruchomy, jakoby obcy, jakoby niebyły na miejscu swoim pozostał.

– Masz słuszość, święcie radzisz, Emilko – powtórzyła Tekla mówiącej – nie o sentymentach, o Beniaminie myśleć nam się godzi. Znajdźmy dla niego użyteczną pracę, to najlepsza pociecha, najmniej zawodne lekarstwo.

– Użyteczną pracę? – podchwyciła Felicja – a cóż ty zowiesz pracą użyteczną? jeśli pewien gatunek zatrudnienia – to mu każ drzewo rąbać lub opis jego podróży drukować, jeśli zaś użyteczną pracą ma być praca moralna dla bliźnich plonująca, praca, która im światła i ciepła, mądrości i siły ku cnocie dostarcza – to mu żadnych nie dawaj rozkazów. Możesz z niego bardzo piękną wyrobić kariatydę, możesz biegłego dziennikarstwu przysposobić korespondenta, lecz młody i pełen zdolności Alcybiades już nie zmartwychwstanie – złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy nie dorósł swej miary. Oho! praca użyteczna!... Toć nie ma innej, tylko chrześcijańska, ofiarna. Ofiarna nie

przez cierpienie koniecznie, jak sobie wielu dziś wyobraża, jak niejednen tłumaczy i uczy, ofiarna nie przez krzyż, od którego mdleją nam ramiona – ale ofiarna przez krzyż, który utwierdza nas i okupuje ode złego, ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy, ofiarna przez datek i przez prawdziwą, widomą ofiarę. Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, kto im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać – pieniądz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia... Cóż ty chcesz, by im dzisiaj przyniósł ten Benjamin upadły, biedny, nie kochany, zginiony?

– Niech im da czas swój tylko – odpowiedziała Tekla – na początek ja więcej nie wymagam; niech da godzinę po godzinie, dzień po dniu, lata po latach, a zobaczycie, jak z wolna życiem pierś jego się napelni, światłością myśli rozploną – bo praca dla bliźnich, Felicjo, nie tylko jest samym wydatkiem, ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi, ona nie tylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca – więcej przyjmujemy, niż nam dać jest podobnym. Oto spróbujcie tylko, dajcie pracować Benjaminowi – choć się razu w tę lub ową stronę zachwieje, podtrzymajcie go na tej i na owej stronie. Sami wkrótce się przekonacie, jaki nam z niego wyrobnik przybędzie.

– Za późno już! Za późno – rozbrzmiał jak wyrok surowy głos Seweryny. – Użyteczna praca nie może być ani jako ćwiczenie, ani jako zachęta uważana. Pan Bóg ją tylko na nagrodę dla wybranych swoich zachował. Spójrzycie dokoła, moi państwo – widzicie, ile to ludzi gimnastykuje się, trudzi, poci, krząta, zwija – a ilu jest takich, którym użytecznie pracować wolno? Garstka maleńka, z krociowego tłumu chętnych garstka wyłączona kapłańska... garstka, do której może nawet z nas, tu siedzących, żaden imienia swego nie dopisze w przyszłości – bo ku temu innych stygmatów i nowych sakramentów trzeba – a wam się zdaje, że ten biedny, ten bezduszny na próżnię swego znicestwienia stygmata przyjmie właśnie i sakrament otrzyma? – Daremne wasze zabiegi! Zostawcie go lepiej na tej, którą obrał, przepadłej i odpadłej drodze jego. Niech się wywiązuje z długów zaciągniętych względem społeczeństwa jedyną, jaką może złożyć nam, korzyścią – niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadkiem swego przykładem.

– Nie, nie! – z pośpiechem zaprzeczyła Emilia – musi być przecież i dla niego środek jakiś wybawczy, nie godzi się tracić nadziei ocalenia...

– Ach! gdyby ten Benjamin mógł się modlić! – westchnęła Tekla. Benjamin westchnął także.

– Ach! gdyby ten Beniamin mógł się we mnie pokochać!...
dźwięcznym półgłosem szepnęła Augusta.

Beniamin nie wznosząc nawet oczu równie półgłosem szepnął:

– Fenariotka!...

W tej chwili Henryk zerwał się z miejsca, obie ręce jak do uścisku i
pieszczoty ku Beniaminowi wyciągnął:

– Bracie mój! Bracie! Gdybyś ty miał matkę!... – zawołał takim
przejętym, takiej głębokiej prawdy wykrzykiem, że się jego echo o
wszystkie nasze serca odbiło.

– Gdybym miał matkę! – powtórzył Beniamin i także wstał z miej-
sca swojego, usta mu drżały, łza w oku błysnęła – gdybym miał matkę!
O, pewnie, z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może...

– Więc słuchaj, powiem ci, Beniaminie, wszak wierzysz w ducha
nieśmiertelność...

Ale Beniamin nie słuchał już – wolnym krokiem ku drzwiom po-
stąpił i wyszedł „nie żegnany, nie żegnający” – a co się z nim później
stało? próżno pytać. Łysy Humboldt od owego wieczoru nigdy przy
kominkowym ogniu, wśród gromadki naszej, miejsca swojego nie za-
jął.

Przez jakiś czas tylko z jego wspomnienia snuły się zawsze długie
dysputy o potrzebie lub o niebezpieczeństwach wyłącznej miłości. Raz,
gdy się zdarzyła nowa pod tym względem wątpliwość, nowych do roz-
trząśnienia przyrzekłam dostarczyć faktów i powiedziałam moim uko-
chanym, że im odczytam rękopis, który się przypadkowo w moje ręce
dostał, a który mógłby niejeden ciemniejszy punkcik rozjaśnić. Wszy-
scy na to bardzo chętnie przystali i zaczęłam pierwszy mój odczyt
Książki pamiątek – drugi bez przerwy po pierwszym nastąpił, trzeci nie
bardzo się odwlekał, ale później między odczytem a odczytem coraz
dłuższe zapadały odstępy, każdy z nas miał coś ważniejszego, coś zu-
pełniej egoistyczniejszego na myśli, więc i czytania szły nader powol-
nie – kartek się odwracało niewiele... aż przyszło do tego *na koniec*...

Lecz o tym właśnie „teraźniejsi” moi czytelnicy na końcu się do-
wiedzą.